William MacLeod Raine

Za wszelką cenę

(Hell And High Water)

Pierwsze wydanie: 1943

Rozdział 1
Tańce w stodole

Kurz wzbijany przez końskie kopyta wciskał się w każdą szczelinę ich ubrań. Pomimo ochronnych bandan, jego drobne cząsteczki wlatywały do gardeł i nozdrzy. Mokre od potu kłęby zwierząt, pokryte były jego smugami.

Niczym nieprzesłaniane promienie słoneczne lały się na nich, od czasu gdy przekroczyli Little Blue. Słońce zaszło w pełnym blasku za fioletowymi wzgórzami, na długo przedtem, zanim przejechali przez Durant. Zmierzch ustąpił już miejsca nocy, a uprzejma ciemność złagodziła szczegóły aż nazbyt surowej i twardej krainy.

Nad horyzontem pojawił się wielki i czerwony księżyc, a niebo pokryło się gwiazdami. Wypełniły one świat jaskrawym pięknem, którego nie można było oglądać za dnia. Noc wypełniała srebrzysta magia, nuta tajemniczości, która budziła w Bobie Lee dawno zapomniane wspomnienia i marzenia, których realizacji już się nie spodziewał.

Poza chwilami, gdy Bob wybuchał śpiewem lub wygłaszał uwagi, które wywoływały gardłowe pomruki jego towarzysza, jechali w milczeniu. Cleburn Hightower był pełnej krwi Indianinem z plemienia Choctawów, oszczędnym w słowach i niechętnym do lekkich i swobodnych rozmów.

Obaj przyjaciele jechali szlakiem, równym tempem. Nie spieszyli się. Od momentu opuszczenia J A B przejechali prawie czterdzieści mil, a wcześniej od samego rana siedzieli w siodle i pracowali przy inwentarzu. Spodziewali się przetańczyć większość nocy i wrócić na ranczo około południa. Tam przerzucą siodła na świeże wierzchowce i dołączą do poszukiwań zagubionych zwierząt na wzgórzach.

Gdy podjechali pod wielką, nową stodołę Merrilla w Cale Station, usłyszeli piskliwą muzykę skrzypiec, szuranie stóp i szum głosów, nad którymi unosiło się śpiewne skandowanie wodzireja. Uwiązali swoje konie, wraz z dwudziestoma innymi, w topolowym gaju. Z troków na tyle popręgu odwiązali derki, w których mieli zawinięte ubrania, do założenia na tańce. Swoje nogawice zawiesili na łękach siodeł.

Wycofali się do korralu, gdzie klikał wiatrak pompy, rozebrali się i wykąpali w końskim korycie, po czym powiesili wybrudzone pyłem ubrania na ogrodzeniu zagrody.

Kiedy obaj mężczyźni ruszyli w kierunku stodoły, tworzyli znaczny kontrast swoim wyglądem. Indianin poruszał się długim krokiem w płaskich butach. Był wysoki, wyprostowany, miał szerokie ramiona, oraz wystające kości policzkowe i ciemnego koloru skórę, charakterystyczne dla jego rasy. Lee miał bystre oczy i ruchliwą twarz. Drobny i lekki, poruszał się z rytmiczną swobodą, niemal żwawo, pomimo butów na wysokim

obcasie, które przesuwały ciężar jego ciała do przodu i utrudniały chodzenie.

Odgłosy ze stodoły niosły się w cichą noc. Podekscytowane „Hi-yi!” tancerzy przebijały się przez tupot stóp w kadrylu.

— Wygląda na to, że jak mówił Citizen, wszyscy dobrze się bawią — mruknął Lee.

Hightower chrząknął potwierdzająco. Jego odpowiedź bez słów nie zirytowała drugiego z przybyszy. Stanowili jedną drużynę, choć Lee był biały, a więc nie należał do Narodu. Obaj przetestowali się nawzajem w śnieżnych zamieciach i popłochach bydła, a prowadząc stada na szlakach, przepłynęli razem wiele wezbranych rzek.

Jak to zwykle bywało na wiejskich zabawach, wokół szerokich drzwi stodoły skupiło się koło tuzina mężczyzn. Zmiana pozycji jednego z nich ukazała na chwilę w pełnym świetle jego lisią twarz o ostrych rysach.

— Dyke Sims znów sprzedaje ten swój trujący wywar — skomentował Lee z urazą. — Merrill powinien go zmusić, żeby dał sobie spokój.

Obserwował, jak Sims odłącza się od grupy i kieruje w stronę południowego krańca zagajnika. Zauważyli tam wózek. Przemytnik zamierzał nalać z niego kolejny dzban alkoholu na sprzedaż. Kowbojem zawładnął demoniczny impuls. Chciał zepsuć łajdakowi zabawę, przynajmniej w tę jedną noc.

— Cześć, Dyke — zawołał. — Z pewnością jesteś prawdziwą oazą na tej spragnionej ziemi. Zaprowadź nas do źródełka swojego piwa Choctawów.

Piwo Choctawów było lokalną miksturą uwarzoną z jęczmienia, chmielu i jeżyn oraz pewnej ilości kiepskiej whisky. Była to surowa, podstępna mieszanina.

— To właśnie z chęcią słyszę od młodych ludzi — odpowiedział Sims. — Trzeba się dobrze zabawić.

— Za chwilę właśnie się zabawię — odparł Lee ze śmiechem.

W drodze do zagajnika Lee podniósł z ziemi kij o grubości dwa na cztery cale i długości około trzech stóp. Wspiął się na koło wózka i dwoma uderzeniami kija zmiażdżył górną część stojącej na nim beczki. Przechylając ją na bok, pozwolił, by alkohol wylał się z wózka na ziemię.

Sims popatrzył na niego z gniewnym zaskoczeniem.

— Co ty wyprawiasz, głupcze? — wrzasnął i sięgnął po rewolwer na biodrze.

Silne palce Indianina zacisnęły się na nadgarstku mężczyzny, wyrwały mu rewolwer z ręki i wyrzuciły go z zagajnika w wysoką trawę, pięćdziesiąt stóp dalej. Podczas gdy Lee opróżniał drugą beczkę, przeklinający handlarz usiłował wyrwać się z uścisku Hightowera. Na jego chudej twarzy malowała się jadowita nienawiść. Groził straszliwą zemstą.

Bob Lee nie zwracał uwagi na jego wywody.

— Natychmiast masz się stąd wynosić w podskokach — polecił.

— Zobaczymy, co Hickory będą mieli do powiedzenia na ten temat — burknął handlarz.

— Niczego nie będziesz oglądał, co ktokolwiek ma do powiedzenia — odparł Lee. — Inaczej dostaniesz za swoje.

Choć Pięć Narodów ustanawiało własne prawa i je egzekwowało, Stany Zjednoczone postawiły jeden warunek. Na Terytorium nie wolno było wwozić alkoholu ani go na nim produkować. Było wiele naruszeń tego prawa, ale Sims wiedział, że kara za udowodnienie takiego czynu białemu człowiekowi, była bardzo surowa. Gdyby został aresztowany przez jednego z indiańskich policjantów i przekazany szeryfowi Stanów Zjednoczonych, zostałby zawleczony przed sąd sędziego Parkera w Fort Smith i prawdopodobnie skazany na długi pobyt w więzieniu. Szlochając z wściekłości, przemytnik zaprzągł konie do swojego wozu i odjechał w noc.

Gdy kowboje zbliżyli się do stodoły, powitał ich wesoło rudowłosy młodzieniec.

— Ludziska z J A B! — krzyknął. — Wchodźcie i niech was nogi rozbolą.

Funkcjonariusz plemiennej policji Choctawów, Timmy Boggs, również pozdrowił przybyszów.

— Cześć, Bob-Cle! Wszystko dobrze na ranczu?

— Raczej średnio-dobrze, Timmy. Potrzebujemy deszczu. — Bob uśmiechnął się do Boggsa. — Nie mamy przy sobie broni, jeśli to cię gryzie. Tacy spokojni chłopcy jak my, nie przynieśliby żelastwa na tańce.

— To cholernie dobrze — zgodził się policjant.

Kowboje z J A B pozostali przez kilka minut w szpalerze samotnych kawalerów przy drzwiach, wymieniając pozdrowienia ze znajomymi. Niektórzy z nich byli biali, ale większość stanowili obywatele Narodu, w których żyłach płynął co najmniej procent indiańskiej krwi. Merrill, gospodarz, był ćwierćkrwi Indianinem.

Rudowłosy stał za Lee, który wspiąwszy się na palce szukał wzrokiem ponad ramieniem stojącego przed nim mężczyzny, dziewczyny, którą był najbardziej zainteresowany.

— Cóż za wspaniałe towarzystwo dzisiaj tu mamy — rudowłosy Floyd mruknął ironicznie do ucha Lee. — Hickory też tu są - prawie cała ich gromadka - wielcy jak Cuffey i brzydcy jak grzech.

Było to zaskakujące i nieco niepokojące. Zwykle Hickory nie uczestniczyli w sąsiedzkich zabawach. Trzymali się na uboczu i drwili z tańców oraz spotkań towarzyskich. Błądzące po pomieszczeniu spojrzenie Boba, wypatrzyło Jake'a Hickory. Obserwował on przez całą długość parkietu Willie May Broderick. Nigdy jej jeszcze nie spotkał. Był poza nawiasem towarzystwa, wyklęty przez złą reputację rodziny i obciążenie mieszanej krwi.

Zuchwałość tego pożądliwego spojrzenia wzbudziła w kowboju oburzenie. Bob pracował dla J. A. Brodericka, a kiedy jego córka była małą dziewczynką, chodził z nią do szkoły w Teksasie. Nawet wtedy drobna panienka w warkoczykach, chociaż nie miała jednego z przednich zębów, była kimś ważnym dla prostego chłopca. Jej wesoły, przyjazny uśmiech dodawał mu otuchy.

Wszyscy Hickory byli złymi ludźmi. Ich ojciec był białym z Arkansas, bezwartościowym włóczęgą, który przekroczył granicę i ożenił się z półkrwi dziewczyną z plemienia Choctawów, aby uzyskać obywatelstwo Narodu. Pięciu synów, z których każdy był rosłym, twardym łobuzem, podejrzewano o przepędzanie cudzego bydła przez południowe hrabstwa,

do Kansas i Nowego Meksyku. Żaden z nich nie pracował, ale swobodnie szastali pieniędzmi. Skąd je brali, było tajemnicą, jeśli nawet miały one legalny charakter.

Kiedy kadryl dobiegł końca, spojrzenie Lee podążyło za Willie May, która usiadła na ławce pod ścianą. Jej partnerem był Hiram Sugg, przystojny, dobrze ubrany mężczyzna, o wesołym i beztroskim uśmiechu. Miał płaskie plecy i szerokie ramiona, nosił się z wdziękiem. Ludzie mówili o nim, że jest człowiekiem, który zasłużenie pokona długą drogę do sukcesu. Panna Broderick nigdy nie patrzyła na Boba ani na żadnego innego mężczyznę z takim rozświetlonym podziwem, z jakim spoglądała na Sugga.

Jake Hickory przeszedł na drugą stronę parkietu, jego wężowy wzrok utkwiony były nieustannie w Willie May. Bob domyślał się, co mu chodzi po głowie i podążył za nim, nie mając innego planu, jak tylko być pod ręką, gdyby dziewczyna go potrzebowała. Nie podobała mu się ta sytuacja. Hickory wpatrywał się w pannę Broderick czarnymi, głodnymi oczami. Nigdy nie tańczył z tą złotowłosą dziewczyną. Nigdy z nią nie rozmawiał. Ale buzowało w nim teraz wystarczająco dużo alkoholu, by dać mu odwagę, która pozwalała na podjęcie próby zasypania przepaści społecznej.

Willie May od razu się zorientowała, co ten człowiek chce zrobić. Spojrzała na Boba Lee, który deptał mu po piętach.

— Chodź i podepcz mi stopy, dziewczyno — oznajmił Hickory.

Uśmiechnęła się lekko, formalnie, lecz w jej głębokich, niebieskich oczach, które spoglądały w oczy intruza, nie było widać uśmiechu.

— Tańczę teraz z panem Lee, proszę pana.

Jake odwrócił się i spojrzał na Boba.

— Przyszedłem pierwszy — warknął.

Bob nie szukał kłopotów z żadnym z Hickorych, ale też nie uchylał się od obowiązków, które na nim spoczywały. Opieka nad Willie May również do nich należała, jako do pracownika jej ojca i starego znajomego. Co więcej, sprawiało mu to ogromną przyjemność.

— Słyszałaś pannę Broderick — powiedział spokojnym tonem.

— Tak, słyszałem. Twierdzisz, że jesteś lepszy ode mnie, ty krowi pastuchu za dwa centy?

— Niczego nie twierdzę, poza tym, że to ja teraz tańczę z panną Broderick. — Bob podał jej rękę i wyszli na parkiet.

Naprzeciwko, po drugiej stronie parkietu, stali Sam Hickory i Jessie MacPherson. Kolejne kłopoty, pomyślał Lee. Ta łagodna dziewczyna o miękkich oczach, po części Szkotka, a po części Indianka, była dziewczyną Cleburna Hightowera. Jeśli nie byli zaręczeni, to byli bardzo tego bliscy. A jednak Sam próbował okazywać jej otwartą i obraźliwą zażyłość.

— Kolejny z Hickorych — powiedział Bob do swej partnerki przyciszonym głosem.

— Jak śmie przychodzić tu po alkoholu i próbować tańczyć z przyzwoitymi dziewczynami? — spytała Willie May, a jej policzki rozgrzały się do czerwoności.

Lee nie odpowiedział. Pierwsze figury kadryla przeszkodziły w dalszej swobodnej rozmowie. Posłuszny poleceniom wodzireja, zostawił ją, aby wkrótce powrócić, z dziwnym szczęściem w sercu. Tańczył z nią już wcześniej, tak samo jak każdy przypadkowy znajomy, czując pewną nieśmiałość i zażenowanie, kiedy obejmował ją ręką. Teraz jednak, było to coś zupełnie innego. Zwróciła się do niego, aby wybawił ją z niezręcznej sytuacji, nie dlatego, że był wynajętym przez jej ojca konnym pracownikiem, lecz z tego powodu, iż znała go na tyle dobrze, aby czuć się w jego towarzystwie pewnie. Zbliżył się do niej o krok i nie zamierzał stracić tej przewagi, jeśli tylko zdoła.

Powiedziała niskim, pięknym głosem, bogatym w tony i lekko ochrypłym:

— Spogląda na nas z żądzą mordu w oczach. Nie sądzisz…?

Panowie okrążali panie, a Bob przy okazji rzucił spojrzeniem w stronę Jake'a Hickory. Mężczyzna stał pod ścianą i patrzył na niego gniewnie. Willie May celowo przesadziła w słowach, których użyła do opisu jego spojrzenia. Młody mężczyzna nie był jednak pewien, czy naprawdę tak było. Kilka lat wcześniej na drodze Hickorych stanął młody Chickasaw. Pewnego dnia zniknął i nigdy więcej nie widziano go żywego. Kilka miesięcy później jego szkielet odnaleziono na bagnach.

— Zauważyłeś? — szepnęła dziewczyna, gdy Bob popatrzył z powrotem na nią. — Myślisz, że nie będzie sprawiał kłopotów?

— Jeśli mu się to nie podoba, to nie jest to ani moja, ani twoja sprawa — odparł lekkim tonem.

I tak właśnie w tej chwili uważał. W jego ramionach spoczywało lekkie, giętkie ciało dziewczyny, ciepłe i czułe. Jej uśmiechnięta, śliczna twarz zwrócona była w jego stronę. Wszyscy Hickory na świecie nie mogli mu w tym przeszkodzić.

— Może nie powinnam była tu przychodzić — zasugerowała Willie May. — Nigdy wcześniej nie byłam na tego rodzaju imprezie. — Miała na myśli tańce zorganizowane przez członka Narodu. — Ojciec uważał, że nie powinnam, ale pozwolił mi przyjść, tylko tym razem - z panem Suggiem.

Bob nie wyraził swojej opinii, choć prywatnie zgadzał się z Broderickiem. J. A. był hodowcą bydła z Teksasu, który wydzierżawił i ogrodził duży teren w ziemi narodu Choctawów. Był jednak człowiekiem z zewnątrz, który nie miał nic wspólnego z życiem plemienia. Pozwolenie swojej córce na choćby niewielką przygodę, mogło przynieść nieprzyjemne komplikacje, ponieważ obowiązujące tutaj zwyczaje nie były jej zwyczajami. Była tutaj nie na miejscu. Dziewczyna kształciła się w Austin w akademii dla młodych dam. Urodziła się w zamożnej rodzinie. Chociaż Choctawowie byli cywilizowanym plemieniem, żyjącym w systemie prawnym zaadaptowanym z Arkansas, ich kultura była niezbyt wyrafinowana, a metody egzystencji bardzo proste.

Podkreśliła swój punkt widzenia, spoglądając na niego ukradkiem.

— Uważasz, że nie powinno mnie tutaj być — oznajmiła prosto z mostu.

To, co on uważał, nie miało znaczenia. Był jednym z pięćdziesięciu poganiaczy krów, wynajętych przez jej ojca. Czasy się zmieniły, odkąd jej

rodzina i jego, byli sąsiadami w Lampasas. Ale skoro poprosiła go o opinię, to powinna ją otrzymać.

— Myślę, że wielu Choctawów to porządni ludzie. Większość z nich jest nawet przyzwoitsza niż wielu białych w tym kraju. To jednak dzikie miejsce, a przestępcy napływają tu ze wszystkich stron. Na publicznych potańcówkach, takich jak ta, na pewno pojawią się jakieś szumowiny. Na ogół zachowują się porządnie, ale czasami nie, zwłaszcza jeśli wypiją za dużo kiepskiej whiskey.

— Więc powinnam zostać na ranczu.

— Tak.

— Ale oczywiście ty mogłeś sobie tutaj przyjechać.

Przyjęła postawę ptaszka w klatce, a on dołączył do innych mężczyzn, którzy ją w niej trzymali. Kiedy znów spotkał się z nią w tańcu sam na sam, odpowiedział.

— Słyszałaś, jak Hickory nazwał mnie krowim pastuchem za dwa centy. Dla mnie wizyta tutaj jest czymś w porządku, ale ty jesteś panną Broderick.

Miał rację. Wiedziała o tym, gdy zobaczyła, jak Sam Hickory wywinął Jessie MacPherson tak gwałtownie, że upadła na ziemię. Mężczyzna był oczywiście pijany.

Cleburn Hightower przyglądał się Jessie i Samowi Hickory, a w jego beznamiętnych oczach nie było widać ani krzty urazy, która w nim płonęła. Podszedł do leżącej dziewczyny i pomógł jej wstać. Gdy zaczął odprowadzać ją na miejsce, Sam Hickory zagrodził mu drogę.

— Tańczę z tą dziewczyną — warknął.

Hightower sprostował to stwierdzenie.

— Tańczyłeś. Teraz ona już nie tańczy.

Pijany mężczyzna chwycił nadgarstek przerażonej dziewczyny, ale Cleburn wbił mu umięśnione przedramię pod brodę i odrzucił go do tyłu. Pijany brutal wydał z siebie ryk wściekłości i zaatakował. Choctaw złapał go za włosy na głowie, jednocześnie przesuwając stopę do przodu. Mocne szarpnięcie w bok przerzuciło rozwścieczonego mężczyznę przez wyciągniętą nogę i posłało go ruchem ślizgowym po podłodze. Dwóch jego braci wybiegło do przodu, ale Timmy Boggs był na miejscu pierwszy.

— Zachować mi tu spokój — rzucił pośpiesznie i stanął przed Cleburnem i Jessie, twarzą do rozzłoszczonych mężczyzn.

Sam podniósł się z podłogi, wściekły z powodu upokorzenia. Jake i Ed Hickory powstrzymali go. Choć gang był potężny, nie mógłby przeciwstawić się policji Narodu Choctaw.

Szerokie ramiona Hirama Sugga przepchnęły się przez tłum.

— Nie wolno tu urządzać bijatyk, chłopcy — zarządził surowo. — Są tu obecne damy. Wszelkie drobne problemy można rozwiązać później.

— Ten zostanie rozwiązany! — wrzasnął Sam. — Możesz się o to założyć.

— Ale nie tutaj. Nie zgodzimy się na to.

— To ty tak mówisz.

Sugg nie spuszczał z niego wzroku.

— Tak właśnie mówię.

Ich gospodarz Jim Merrill miał coś do dodania.

— To przyjacielskie tańce, Sam. Nie zebraliśmy się tu po to, aby mieć kłopoty.

— I żadnych nie będzie — dodał zdecydowanie Sugg. Uśmiechnął się do Jake'a Hickory, ale uśmiech ten zawierał w sobie wyraźne ostrzeżenie. — Chłopcy mają na to za dużo rozumu.

To nie był czas ani miejsce na sprawianie kłopotów, zdecydował Jake.

— Nikt nie szuka kłopotów — kwaśno oznajmił. — Chyba, że mówimy o tym wtrącającym się w nieswoje sprawy głupku Hightowerze lub jego kumplu Lee. Ta sprawa może chwilę poczekać, ale nie zostanie odłożona w niepamięć.

Bob oddał Willie May pod opiekę pani Merrill i stanął obok Cleburna.

— To tylko małe nieporozumienie — wyjaśnił spokojnie. — Trzeba oczyścić parkiet i można rozpocząć kolejny taniec.

Czarne, paciorkowate oczy Jake'a Hickory wbiły się w niebieskoszare oczy kowboja z J. A. B.

— Kolego — zagroził, a jego głos zmienił się w ochrypły pomruk — mam zamiar rozerwać cię na strzępy i to już wkrótce.

Bob nie spuszczał z niego wzroku. Jego odpowiedź nie była głośniejsza niż szept. To była sprawa osobista, nie przeznaczona dla wszystkich obecnych.

— Będę czekał przy bramie, obiecuję — odpowiedział.

Merrill skorzystał z rady Lee. Stanął na ławce i klasnął w dłonie na znak ciszy.

— Oczyścić parkiet, panie i panowie. Przygotujcie partnerów do następnego tańca.

Hickory i ich poplecznicy z Hackberry Creek powoli ruszyli w stronę wrót i wyszli na zewnątrz. Kilka minut później do stodoły powrócił jeden z ich grupy, gruby, rudy człowiek z ognistą brodą, o imieniu Rush Greer. Podszedł do Boba Lee i powiedział coś przyciszonym głosem.

Lee odpowiedział mu chłodno.

— Powiedz Jake'owi, że będzie musiał poczekać. Dzisiejszej nocy jestem zbyt zajęty, by pójść i dać mu się obedrzeć ze skóry.

Timmy Boggs, stojący w pobliżu, usłyszał te słowa. Natychmiast opuścił salę i znalazł Hickorych na zewnątrz.

— Nie zaczynajcie żadnej awantury, chłopcy — oznajmił im łagodnie. — Moja rada brzmi: idźcie do domu, prześpijcie się.

— Pójdziemy do domu, kiedy będziemy mieli na to ochotę — odpowiedział Sam. — Żadna żywa istota nie może mnie przewrócić, tak by uszło jej to na sucho.

Sugg dołączył do grupy.

— Pozwól mi pogadać z chłopcami w cztery oczy — powiedział do Timmy'ego

Policjant od razu się zgodził. Sugg oddalił się z awanturnikami o kilka kroków od stodoły. Rozmawiał z nimi, jego głos brzmiał cicho i nagląco. Obserwujący od drzwi dostrzegali, że Hickory czuli się urażeni jego ingerencją. Od czasu do czasu głos jednego lub drugiego unosił się

gniewem. Sam odłączył się od grupy i ruszył w stronę stodoły, ale Sugg przytrzymał go za płaszcz.

— Nie bądź głupcem — nalegał.

Na wpół odruchowo Sam uderzył go w szczękę. Ręka Sugga strzeliła potężnie i trafiła desperado tuż pod podbródkiem. Awanturnik padł jak rażony piorunem.

Timmy Boggs i Bob Lee podbiegli, by bronić Sugga, lecz na jego ostry rozkaz wycofali się.

— Nie wtrącajcie się — warknął. — Ja się tym zajmę.

Hickory spojrzeli na niego, ale nie zaatakowali od razu.

— Nie możesz nam tego zrobić! — krzyknął Ed.

— Użyjcie swoich głów — odpowiedział surowo Sugg. — To zaszło już za daleko. Dopnijcie siodła i jedźcie do domu.

Jake zdawał sobie sprawę, że w tej chwili musi powstrzymać swoich ludzi albo stanie w obliczu poważnej sytuacji, w której wszyscy będą wiedzieli, że Hickory nie mają racji. Złapał Sama za ramię i podciągnął go na nogi.

— Wynośmy się stąd! — zawołał gniewnie. — Zanim stracimy panowanie nad sobą i zmieciemy z powierzchni ziemi bandę tych idiotów.

Podążając za resztą swojej bandy, poszedł do lasu topoli, dosiadł konia i odjechał.

Sugg zdecydował, że jeśli chodzi o pannę Broderick i jego, tańce się skończyły. Dłuższy pobyt nie sprawiłby jej już żadnej przyjemności. Powiadomił drugą parę, która przyjechała razem z nimi w czteromiejscowym powozie.

Gdy pomógł Willie May wsiąść na bryczkę, zauważyła, że knykcie jego prawej dłoni są pozbawione skóry. W tej chwili nic na ten temat nie powiedziała, ale po kilku minutach jazdy nawiązała do tej kwestii.

— Zraniłeś się w rękę — powiedziała.

Spojrzał niedbale na dłoń.

— Uderzyłem nią w kloc drewna — odparł.

Do niej jednak dotarła już plotka o jego kłopotach z Hickorymi.

— Czy… miałeś jakieś kłopoty z tymi łobuzami? — spytała.

Roześmiał się wesoło.

— Żadnych kłopotów. Powiedziałem im, żeby lepiej poszli sobie do domu - i poszli.

Merrill podszedł do Boba, gdy chłopiec przyglądał się, jak powóz znika w oddali.

— Źle się stało — powiedział. — Ci łajdacy zrobią wam coś złego, równie pewne, jak to że masz więcej niż stopę wysokości - zarówno tobie, jak i Cle.

— Jeśli tylko będą mieli okazję — zgodził się Bob. — Zastanawiam się, co zrobią Suggowi.

— Może nic. Jest dla nich za dużą zwierzyną. Więc zaatakują was - niespodziewanie - z krzaków. Cały czas miejcie oczy szeroko otwarte.

Bob skinął głową.

— Nie zamierzam kłaść się jeszcze do grobu — oświadczył.

Rozdział 2
„Zostajesz na własne ryzyko, synu”

J. A. Broderick siedział na szerokim ganku białego domu ranczerskiego i rozmawiał z nowo przybyłym nadzorcą kowbojów swojego teksańskiego oddziału, starym wyjadaczem, który przebył kilkaset mil, aby złożyć raport i otrzymać instrukcje. Broderick był dokładnie takim człowiekiem, jakim uczyniły go wiatr, słońce i twarde pogranicze. Był potężnie zbudowanym mężczyzną po czterdziestce, a jego ubranie było tak zniszczone, jak u najbardziej zapracowanego jeźdźca. Buty spoczywające na poręczy werandy były zniszczone na piętach, a o czubek buta zaczepiła się jedna nogawka dżinsowych spodni. Z mocnej, skórzastej twarzy spoglądały bystre szare oczy. W jego głosie słychać było teksański akcent, lecz brzmiała w nim nuta autorytetu. Nikt nie próbował „robić w konia” szefa J A B.

W tej chwili rozmawiali właśnie o kłopotach z Hickorymi na tańcach w stodole.

— Lepiej odeślij Lee ze mną do Lampasas — zasugerował nadzorca.

Broderick chrząknął.

— Świetnie. Jeśli będzie chciał jechać. Ale ten uparty młody osioł tak tego nie widzi. Mówi, że Hickory nie mogą go przepędzić z tej okolicy. Podoba mi się jego odwaga. Nawet choćby waliło się niebo, też by mnie to nie przepędziło, w jego wieku.

— Ani w obecnym — poprawił brygadzista z uśmiechem.

Szef zignorował tę uwagę.

— Ten kraj pozostaje dwadzieścia lat z tyłu, za dzisiejszymi czasami — wyjaśnił. — To, czego tutaj potrzeba, to banda Strażników Teksasu, którzy oczyszczą okolicę ze złych ludzi. A tak, to co tutaj mamy, to szalony, patchworkowy rząd, Spud.

— Nie do końca to rozumiem — odparł Spud. — Macie tutaj przecież szeryfów, policję i szeryfów federalnych. Dlaczego nie zmiotą tych wszystkich łajdaków z powierzchni ziemi?

J. A. wyjaśnił mu dokładnie, jak wygląda sytuacja prawna. Każde z pięciu cywilizowanych plemion było bytem samym w sobie. Miało własne sądy, urzędników i zgromadzenia ustawodawcze. Władza tych sądów była ostateczna w stosunku do obywateli danego narodu, z wyjątkiem sporów z białymi, w których to przypadkach, sprawy były kierowane do sądu sędziego Parkera w Fort Smith w Arkansas. Policja indiańska mogła aresztować białych, ale tylko w celu przekazania ich szeryfom Stanów Zjednoczonych.

— Bajzel polegający na przerzucaniu odpowiedzialności — skomentował Spud.

— Kłopot w tym, że my, przybysze z zewnątrz, nie mamy żadnych praw w Narodzie, choć liczebnie przewyższamy Choctawów trzy do jednego — burknął Broderick. — Biały człowiek nie może głosować. Jeśli zbuduje dom, to nie jest on jego. Miasteczka się rozrastają, a ich mieszkańcy nie mają własnych domów. Jedyne, co mogą zrobić, to dzierżawić je od Narodu. Płacą podatki i nie otrzymują nic w zamian - żadnej ochrony przeciwpożarowej ani lepszych ulic. To cholerna sytuacja dla wolnych Amerykanów.

— Wygląda na to, że potrzebujemy kolejnej wojny o niepodległość — odezwał się Spud.

— Choctawowie też mają swoje prawa — przyznał Broderick. — To jest ich ziemia. Nie musieliśmy się tu wdzierać. To spokojni, pokojowo nastawieni ludzie, którzy mają o wiele więcej szacunku dla prawa niż ci wszyscy desperaci, którzy tu przybyli i wzniecają zamęt. Weźmy na przykład Hickorych. Oni są do szczętu źli, zgnili na wskroś.

Bob Lee podjechał pod dom i ześlizgnął się z siodła.

— Na południowym pastwisku były w ruchu nożyce do cięcia drutu — poinformował. — Wjechali i wyjechali ponownie.

— Zabrali jakiś nasz inwentarz? — spytał Broderick.

— Nie, proszę pana. Zbadałem uważnie ślady. Przez dziurę nie przeszła żadna krowa. Sukinsyny wybrały złą noc. Właśnie wczoraj zapędziliśmy bydło na duże pastwisko.

— Dobrze. Ilu łajdaków rozpoznałeś po śladach?

— Powiedziałbym, że czterech lub pięciu.

— Wasi przyjaciele, Hickory? — zaryzykował domysł Spud, z zawadiackim uśmiechem na twarzy.

— Możliwe — przyznał właściciel J A B. — Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

— Tropy były świeże — dodał Bob. — Założyłbym się, że nie minąłem się z tymi gośćmi więcej niż o godzinę.

— Cieszę się, że ich nie spotkałeś. Jake z przyjemnością by cię zdmuchnął. Trzymajcie się blisko tego krańca rancza, chłopcze, ty i Cle. Spud zgadza się ze mną, że lepiej by było, gdybyś wrócił do Lampasas. Nie podoba mi się ta sprawa, Bob. Twoja matka spodziewa się, że będę cię pilnował, choć nie powiedziała mi tego wprost. Nie chciałbym odwozić cię do domu w drewnianej skrzyni.

Bob uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami.

— Będę żył jeszcze pięćdziesiąt lat. Jeszcze nie wyprodukowano kuli, która mnie zabije.

Hodowca zmierzył wzrokiem Lee, wesołego i pewnego siebie młodzieńca, który bez lęku kroczył drogą silnych ludzi. Jego biały kapelusz z szerokim rondem, przechylony był lekko na bok. Mięśnie szyi kowboja pięknie schodziły ku muskularnym ramionom. W jego opanowanej sylwetce kryła się pewność doskonałej koordynacji umysłu i ciała. Ranczer pomyślał, że chciałby mieć syna tak opanowanego jak ten chłopiec. Choć poradził mu, by wybrał szlak do Teksasu, byłby rozczarowany, gdyby Lee zastosował się do tej sugestii. Ta ziemia była dziką, surową krainą, do

której napływało wielu łotrów, ale żaden szanujący się człowiek nie mógł z niej uciekać, tylko dlatego że padł na niego cień niebezpieczeństwa.

— Zostajesz na własne ryzyko, synu — zauważył.

— Za każdym razem, gdy człowiek dosiada wierzgającego mustanga, robi to na własne ryzyko, a jednak nie trzyma się z dala od niego — odpowiedział wesoło Bob.

— Ci ludzie to czysta trucizna. Całe szczęście, że ktoś nie zginął. Słyszałem, że został w to wmieszany Hiram Sugg.

Bob uśmiechnął się.

— To on był gwoździem programu. Z pewnością źle go oceniłem, panie Broderick. Jest odrobinę pulchny i ma różową twarz. Wygląda na miękkiego. Muszę powiedzieć, że ten wygląd jest mylący. Pan Sugg jest równie miękki jak stalowe drzwi. Trzeba było go widzieć, jak walnął i znokautował Sama Hickory.

— Sugg to zrobił? — spytał hodowca, zaskoczony tą wiadomością.

— Tak, proszę pana.

— A Hickory… co oni na to?

— Zwinęli się jak baranki. Całą gromadą. Jake wyglądał, jakby chciał coś zacząć, ale pan Sugg po prostu stał i patrzył mu w oczy. Zmusił Jake’a do spokoju.

Broderick był zadowolony.

— Nie wiedziałem, że Sugg jest takim twardzielem — zaśmiał się.

Willie May wyszła na werandę z dzbankiem lemoniady i dwiema szklankami. Widziała nadjeżdżającego Boba, ale na jego widok okazała właściwe zaskoczenie.

— Przyniosę jeszcze jedną szklankę — zaproponowała.

Dzień był gorący i parny. Bob z wdzięcznością przyjął chłodny napój, ale nie ostudziło to podniecenia, które w jego żyłach wywołało jej pojawienie się, emocji całkowicie daremnej, ponieważ wiedział, że jej myśli były przy innym mężczyźnie.

— Widziałeś tych Hickorych po tym, jak wyszliśmy z tańców? — spytała.

— Nie. — Lee uśmiechnął się, jakby sam nie wierzył w to, co mówi. — Pewnie mógłbym ich znaleźć, gdybym ich szukał, ale nie zgubiłem żadnego z Hickorych.

— Właśnie mu mówiłem, żeby trzymał się z dala od tych śmieci — wspomniał Broderick swojej córce. — To banda złych hombre.

— Muszę przyznać, że to prawda — zgodziła się stanowczo Willie May. — Jeden z nich wyglądał, jakby chciał pożreć Boba.

— Nie powinienem był puszczać cię na te tańce — odparł jej ojciec. — Wiedziałem o tym przez cały czas i dałem się namówić.

— Ale przecież miałam taką troskliwą przyzwoitkę — odgryzła się rodzicowi, ze złośliwym uśmieszkiem. — Bob był dla mnie jak miła, stara babcia. Skarcił mnie i powiedział, że powinnam być w domu, w łóżeczku.

Bob poczuł, jak rumieńce wypływają mu na policzki. Lecz choć był zakłopotany, stanowczo zaprzeczył.

— Nic takiego nie powiedziałem, panno Willie May.

— Nie przejmuj się tym, co ona mówi, Bob — wtrącił spokojnie hodowca. — Nie karciłem jej wystarczająco, kiedy była mała, i widzisz, na jaką bezczelną łobuziarę wyrosła.

Teraz Willie May sama się zarumieniła, ale uniosła podbródek i tuż przed zniknięciem we wnętrzu domu spytała zadziornie, czy mleko już się nie rozlało.

Broderick bezradnie potarł nieogolony podbródek.

— Faktem jest, że ojciec nigdy nie wie, jak dobrze wychować dziewczynę — wyjaśnił Lee. — Nie da się jej wychowywać tak, jak syna. Odkąd straciłem jej matkę, rozpieszczam Willie May.

Bob pomyślał sobie, że nawet jeśli dziewczyna jest rozpieszczona, to właśnie taka mu się podoba, lecz domyślił się, że Broderick mówi to sam do siebie i nie prosi o żadne komentarze swego poganiacza bydła za trzydzieści dolarów miesięcznie. Odszedł więc, pozostawiając swoją opinię dla siebie.

Rozdział 3
Walka w Four Corners

Czterech ludzi z J A B wypalało strefę zabezpieczającą przed pożarem. Najpierw zaprzęgi mułów wyorały dwie bruzdy wzdłuż brzegów pasa o szerokości dwudziestu stóp. Tę zamkniętą przestrzeń przemierzał potem konny kowboj, ciągnąc przez wysoką trawę płonący worek nasączony naftą, który był przymocowany drutem do łęku siodła. Pozostali ludzie podążali za nim z workami tryskającymi wodą, gasząc płomienie za każdym razem, gdy przeskakiwały one przez wyoraną bruzdę. W pobliżu znajdował się wóz z beczką wody, która służyła do napełniania worków.

Jeden z walczących z ogniem zatrzymał się, aby otrzeć pot z twarzy rękawem koszuli. Kciukiem wskazał na poruszający się po prerii wóz.

— Kolejny szukający gniazdka gość, dryfuje tutaj na śmierć głodową — zawołał do jednego ze swoich towarzyszy.

Człowiek, do którego mówił, odwrócił poczerniałą, brudną twarz w stronę zbliżającego się zaprzęgu strachów na wróble. Jednym ze zwierząt był jasnogniady muł, a drugim biała klacz, na obu kości sterczały na całym ciele.

— Powiedziałbym, że ten już przemyślał sprawę i zaczął zawczasu głodować — zaryzykował zsiadający z konia jeździec.

Przybysz podjechał, aby uzyskać informacje. Był to drobny człowieczek o pociągłej twarzy i wąskich ramionach. Na siedzeniu obok niego, siedziała chuda kobieta w czepku i połatanej sukni. Na kolanach trzymała małe dziecko.

— Nasze dziecko jest chore — oznajmił przybysz pełnym znużenia głosem. — Gdzie mogę znaleźć lekarza?

Curt Simson podrapał się po głowie.

— Nie wiem. Doktor Taylor może być w Boggy Depot albo w Four Corners. Może też być w dowolnym miejscu w promieniu czterdziestu mil i szukać jakiegoś kowboja, który złamał nogę.

— Nasz zaprzęg jest wyczerpany — zaapelował woźnica. — Na miłość boską, chłopcy, pomóżcie nam zawieźć dziecko do lekarza. Jest bardzo chore.

— Jasne, że pomożemy — odpowiedział Curt. — Sprowadzimy dla was doktora Taylora. Chłopcy, zabierzcie tę beczkę z naszego wozu. Cle, zawieź tych ludzi do Four Corners. Jeśli Doca tam nie będzie, niech Cal Judson rzuci na dzieciaka okiem. Jest równie dobry jak regularny lekarz. Studiował gdzieś przez rok, żeby nim zostać, a potem zrezygnował. Ja pojadę za tobą zaprzęgiem obcych. Jest mocno wyczerpany, więc nie czekaj na mnie. Jeśli doktora nie będzie w Four Corners, jedź po niego, Cle.

Hightower przywiązał konia do tyłu wozu z rancza i chwycił w dłonie lejce. Kobieta usiadła koło niego, trzymając dziecko. Jej mąż stanął z tyłu, za siedzeniem.

— Nazywamy się Todd — poinformował przybysz.

Choctaw nie skomentował tego, wymieniając w zamian tylko swoje nazwisko. Podczas podróży nie odzywał się, zachowując typowe dla swojej rasy ciężkie, niewzruszone milczenie, z wyjątkiem sytuacji, gdy Todd lub jego żona zadawali mu jakieś pytania. Kiedy dotarli do Four Corners, zaczepił lejce i odwiązał od tyłu wozu swojego wierzchowca. Todd już śpieszył się do sklepu. Hightower podążył za nim bez pośpiechu. Zanim dotarł do budynku, usłyszał wysoki głos przybysza, który rozpytywał, gdzie jest lekarz.

Na szczęście doktor Taylor był u siebie, w drewnianym domu położonym sto metrów od sklepu. Po dziesięciu minutach uspokoił zatroskanych rodziców. Dziecko miało wysoką gorączkę z powodu rozstroju żołądka. Powiedział im, aby przez dzień lub dwa karmili je wyłącznie mlekiem i dali mu dużo odpoczynku. Byłoby lepiej dla nich, gdyby przez resztę tygodnia pozostali w cienistym gaju bawełnianym koło miasteczka. Mogliby zaprowadzić swoje zmęczone, wychudzone zwierzęta zaprzęgowe na pastwisko doktora, na tak długo, na ile by chcieli.

Todd był zakłopotany. Nie miał pieniędzy, jak wyjaśnił. Nie był w stanie obecnie zapłacić ani za mleko, ani za usługi doktora Taylora. Kiedy zdobędzie pieniądze, przyśle mu je.

Doktor był szorstkim, mężczyzną o piaskowych włosach i dużej brodzie.

— A kto tutaj, u licha, mówi o pieniądzach? — spytał szorstko. — Zapłacisz mi, kiedy je zdobędziesz. Zaś od mojej żony możesz dostać tyle mleka, ile tylko będziesz chciał. A jak stoicie z mięsem?

Przyjezdny zarumienił się. Powiedział, że ma go dużo, ale w krzyżowym ogniu ostrych pytań Taylora załamał się i przyznał, że nie ma niczego do jedzenia poza odrobiną mąki kukurydzianej i melasy. Lekarz popatrzył na niego.

— Nic dziwnego, że twoje dziecko jest chore. Jest wygłodzone. Nie wiem, co wy sobie myślicie, przyjeżdżając na Terytorium bez grosza przy duszy. Idź do Cala Judsona i powiedz mu, że pozwoliłem ci wziąć dziesięć dolarów kredytu i obciążyć nim mnie... Nie musisz mi dziękować. Każdemu kowbojowi, który wpadnie do Four Corners, dorzucę po dolarze, dopóki mi się to nie zwróci.

Podczas gdy Hightower zajmował się zbieraniem drewna w zagajniku, aby rozpalić ognisko, na którym można będzie podgrzać mleko, pod sklep podjechało czterech mężczyzn i przywiązało konie do poręczy przed nim. Weszli do środka, brzękając ostrogami. Cal Judson, właściciel sklepu, oznajmił, że cieszy się na ich widok. Stał z uśmiechem za ladą, czekając, aż zamówią to, co chcieli kupić. Jednak ani jego słowa, ani uśmiech nie były prawdziwe. Niewielu przyzwoitych obywateli cieszyło się na widok gangu Hickorych, choć mądrze było ukrywać swoje uczucia.

Dyke Sims, obwoźny handlarz piwem Choctawów, był właśnie w sklepie i rozmawiał z właścicielem. Przestępcy rzucili mu niedbałe

pozdrowienia. Bart Hickory przekazał mu, że dobrzy by było, gdyby wpadł następnego dnia na ranczo, z kilkoma galonami płynnego towaru.

Sam Hickory podszedł do pudełka z cygarami.

— Skoro tak się cieszysz, że nas widzisz, to może poczęstujesz nas cygarem - dobrym, a nie jednym z tych tanich, które sprzedasz tym nędznym poganiaczom bydła za trzydzieści dolców na miesiąc.

Judson roześmiał się w wymuszony sposób, lecz uznał, że lepiej nie odmawiać. Wyjął ze skrzyni pudełko cygar i podał je bandycie. Sam parsknął i wziął sobie trzy. Towarzysze poszli za jego przykładem. Kiedy jednak Sims wysunął się do przodu, aby również zapalić, handlarz jakby go nie zauważył i schował pudełko z powrotem do skrzyni.

— Nie spotkałem jeszcze tak hojnego faceta jak ty, od czasu gdy Boże Narodzenie wypadało w niedzielę — zaszydził Rush Greer, klepiąc mocno Judsona po plecach dłonią wielką jak szynka.

Do sklepu niepewnie zajrzał Todd. Niechętnie przekazywał wiadomość od doktora w obecności tylu nieznajomych. Ale Judson odetchnął z ulgą, widząc, że uwaga bandytów skupiła się teraz na przybyszu. Gdy włożył pudełko z cygarami do skrzyni, zapytał Todda, co może dla niego zrobić.

— Doktor Taylor powiedział, żeby udzielił mi pan dziesięciu dolarów kredytu i obciążył nim jego rachunek — odpowiedział nieśmiało mały człowieczek, a jego głos zmienił się niemalże w szept.

— Żadnych tajemnic między dobrymi przyjaciółmi — zadrwił Sam Hickory. — Mów głośno i wyraźnie w naszym towarzystwie, gnojku.

Judson starał się zignorować ten wtręt.

— W porządku. Doktor ma taką możliwość. Wybierz sobie, co zechcesz.

— Zgadza się. Ile tylko zechcesz. Poczęstuj się dobrymi cygarami. — To powiedział Cass Hickory, najmłodszy z braci.

— Do diabła, on nosi szelki — zadrwił Sam, okrążając przybysza, jakby był jakąś ciekawostką. — Wielki pan ze Stanów. Pogoni psami nas, biednych osadników.

Todd wiedział, iż znęcają się nad nim tylko dlatego, że jest słaby i bezbronny. Żałował, że z powodu upału zdjął płaszcz, ale w końcu noszenie szelek nie było przestępstwem, nawet jeśli mężczyźni w tej części kraju ich nie używali.

— Wygląda na niezłego twardziela — dorzucił swoje Bart Hickory. — Nie denerwujcie go, bo nas wszystkich obsobaczy jak bure suki.

Uszy Todda zrobiły się czerwone, lecz udawał, że tego nie słyszy. Miał cienką skórę i takie bezpodstawne zastraszanie raniło go, lecz starał się skoncentrować na zakupach.

— Chciałbym dwadzieścia funtów mąki, szynkę i pudełko kawy Arbuckle'a[1]. Resztę kupię jutro.

— Idź dalej z tymi zakupami — ponaglił Cass. — Pomożemy ci. Daj mu galon melasy w papierowym worku, Judson.

[1] Kawa Arbuckle'a była wykorzystywana niemal wyłącznie przez klasę posiadaczy ziemskich z południowego zachodu (przyp. Autora).

— Zaraz na nas naskoczy — ostrzegł Greer z udawanym niepokojem. — Uważajcie, chłopcy.

— Jestem niemal pewien, że się go boję — wtrącił handlarz whiskey, okazując w ten sposób chęć współpracy z Hickorymi.

Todd miał już dość. Odwrócił się, by odejść.

— Przyjdę po towar później — powiedział do właściciela sklepu.

Greer zagrodził mu drogę.

— Co się tak spieszysz? — uśmiechnął się, pokazując nad wielką rudą brodą garnitur poplamionych tytoniem zębów. — Nie podoba ci się nasze towarzystwo?

Jego owłosione paluchy złapały za chude ciało pod żebrami przyjezdnego i zacisnęły się na nim mocno.

Mały człowieczek krzyknął z bólu.

— Moje dziecko jest chore. Muszę iść — błagał.

W drzwiach pojawiła się jakaś postać. Uchwyt palców Greera rozluźnił się. Jeśli chodzi o gang Hickorych, Todd w jednej chwili przestał istnieć, ponieważ do sklepu wszedł Cleburn Hightower. Skupiło się na nim pięć par błyszczących oczu.

Hightower od razu wiedział, że znalazł się w kłopotach. Cass Hickory siedział na ladzie po jego lewej ręce, niecałych tuzin stóp od niego. Bart usiadł na nieotwartej jeszcze beczce mąki, a jego brat Sam opierał się o domowej roboty biurko w głębi pomieszczenia. Najbliżej z nich znajdował się Rush Greer, który stał na środku sklepu, wpatrując się w niego z otwartymi ustami.

Sam odezwał się jako pierwszy.

— Czekałem na to spory kęs czasu — cicho oznajmił.

— Nie szukam kłopotów — odparł Indianin.

— Nie? — W głosie Sama pojawiła się nutka okrutnego rozbawienia. — No cóż, i tak je znalazłeś.

Odszedł od biurka i ruszył do przodu z kocią płynnością. Greer cofnął się, aby zrobić mu wolną drogę. Sims przeskoczył przez ladę i zniknął za nią. Wszyscy bandyci nie spuszczali wzroku z Hightowera. To Sam miał zacząć, ale jeśli zajdzie taka potrzeba, oni dołączą później.

Cleburn Hightower uważał się już za trupa. Szanse przeciwko niemu były zbyt duże. Nie mógł przeżyć ataku, który miał zostać przeciwko niemu skierowany. Próba wzięcia nóg za pas, również nie byłaby bezpiecznym rozwiązaniem. Kule rozerwałyby mu plecy podczas ucieczki. Stał w miejscu, czekając, z beznamiętną twarzą i brązową dłonią zaciśniętą na pasie, przy którym zwisał jego rewolwer.

— Mówiłem ci, jak to się skończy — przechwalał się Sam, a jego słowa były ciche i ciężkie.

Kowboj z J A B nie odpowiedział. Stał nieruchomo jak posąg. Jego czarne oczy wpatrywały się w Sama. Sygnał miał wyjść od niego.

— Dokładnie tej cholernej chwili, mam zamiar cię załatwić.

Zanim te słowa ucichły, pistolet Sama był już w jego ręku i huczał wystrzałami. Zaledwie chwilę później czterdziestka piątka Hightowera zaczęła pluć pociskami w Hickory'ego. Zobaczył, że Cass zsuwa się z lady i wkracza do akcji. Kłęby dymu unosiły się po całym pomieszczeniu. Huk

rewolwerów był niemal nieprzerwany przez kilka sekund, jakie trwała walka. Uwaga Cleburna była w pełni skoncentrowana na kulących się przed nim postaciach i szarpiącym się rewolwerze w jego dłoni. Dopiero po półgodzinie przed oczyma stanęło mu wspomnienie Judsona rzucającego się za beczkę z mąką, i nowoprzybyłego woźnicy odpychającego się plecami od wielkiego pieca.

Cleburn wycofywał się tyłem w stronę drzwi. Kula wbiła się mu w ramię. Kolejna zerwała mu kapelusz z głowy. Ostatnią rzeczą, jaką zauważył, zanim odwrócił się do ucieczki, był widok Sama Hickory padającego na podłogę. Mężczyzna pochylał się do przodu, trzymając się za brzuch, z wyrazem ogromnego bólu na twarzy.

Kowboj popędził w stronę swojego konia. Co za szczęście, przemknęło mu przez głowę, że odwiązał wodze i zostawił pony w pobliżu sklepu. Rzucił się na siodło i poderwał zwierzę do galopu. Jego wrogowie byli już na zewnątrz budynku, strzelając do niego, ale każdy skok bronco wynosił go coraz dalej poza zasięg ich ognia.

Kiedy obejrzał się za siebie, dwóch z nich wskakiwało na siodła. Miał przewagę na starcie i szybkiego konia. Jechali za nim przez około milę, po czym zrezygnowali z pogoni.

Rozdział 4

Bob Lee bierze sprawy w swoje ręce

Bob Lee podkuwał jednego z koni zaprzęgowych, gdy na zmęczonym dereszowatym wałachu, na podwórze wjechał Curt Simson. Zsunął się z siodła koło kuźni.

— W Georgii rozpętało się piekło — oznajmił. — Cle Hightower miał problemy z Samem Hickory i zabił go.

Lee wpatrywał się w niego, pozwalając, by ta wiadomość dotarła do jego świadomości.

— Gdzie jest Cle? — spytał. — Został ranny?

— Został ranny. Nie wiem, jak ciężko. Uciekł w te pędy na koniu, pod ogniem całej gromady Hickorych. Nie zdążył jednak zostawić żadnego adresu.

— Jak to się stało?

— Nie było mnie tam. Wiem tylko to, co Hickory i Cal Judson później mi powiedzieli.

— Cal Judson? Czy strzelanina była w Four Corners?

— Tak. — Simson opowiedział o przyjezdnym i jego chorym dziecku. — Wygląda na to, że Cle wpadł prosto w bandę tych piekielnych Hickorych, w ogóle nie wiedząc, że są gdzieś w pobliżu. Z tego, co opowiadały te skunksy, Cle natychmiast wyciągnął rewolwer i zabił Sama, po czym próbowali go aresztować, ale im uciekł.

— A co powiedział Judson?

— Ani słowa więcej niż musiał. Ale wydaje mi się, że zamierza poprzeć historię Hickorych. Mają na niego indiańskie sposoby. Śmiertelnie boi się tych łotrów.

Bob skinął głową.

— Nie musisz mi nawet mówić o tym małym skunksie Simsie. Powiedział Cle i mnie, że zemści się na nas za wylanie jego piwa Choctawów. Teraz ma na to szansę. Przysięgnie na cały stos Biblii, że to Cle zaczął. A więc, jeśli Hickory zabiją Cle, jego zeznania będą dla nich swego rodzaju usprawiedliwieniem.

— Zgadza się.

— Nikt inny nie widział walki?

— Tylko ten przyjezdny, gościu o nazwisku Todd, facet w rodzaju tych, co to nawet swojej duszy nie mogą nazwać ich własnością.

Bob zdjął kowalski fartuch.

— Zobaczmy, czy J.A. jest w domu.

Nie było go. Jego córka powiedziała, że pojechał na południowe pastwisko, aby dopilnować spędu cieląt.

— Co się stało? — spytała.

— Nie mówiliśmy, że coś jest nie tak — wykręcał się Lee.

Uśmiech na jej twarzy był wyraźnie szyderczy.

— Wykrzykujecie to głośniej niż słowami.

Lee pomyślał, że równie dobrze może jej powiedzieć co się stało. Wkrótce i tak wszyscy się dowiedzą.

— Cle Hightower spotkał się Hickorymi w Four Corners. Zabił Sama, tego, który tańczył po drugiej stronie parkietu, na zabawie w zeszłym miesiącu. Ranili go, ale uciekł.

— Gdzie on jest?

— Nie wiem, ale trzeba go odnaleźć. Mógł spaść z konia i leży gdzieś w krzakach.

— Czy był ciężko ranny?

— Nie wiemy. Powiesz panu Broderickowi, że go szukam? Nie wiem, kiedy wrócę.

— Nie zrobisz nic głupiego? — spytała ostro dziewczyna, z pobladłą twarzą.

— Jeśli masz na myśli szukanie zamieszania ze ludźmi Hickorych, to nie.

— Nie wierzę, że to Cle Hightower wszczął te kłopoty — powiedziała Willie May.

— Jestem święcie przekonany, że tego nie zrobił, ale mogą to na niego zwalić.

— Sprowadź go tutaj, jeśli będzie mógł jechać.

— Najpierw trzeba go odnaleźć. Potem będę musiał ukryć go w miejscu, w którym Hickory nie będą mogli go dopaść.

— Nie odważyliby się przyjechać na ranczo, żeby go szukać — obruszyła się dziewczyna.

— Nie, ale gdyby wiedzieli, że tu jest, wykorzystaliby to przeciwko panu Broderickowi. Znajdę miejsce, żeby go zabrać.

— Ojca nie obchodzi, co myślą o nim bandy łotrów i przestępców — powiedziała Willie May z nutą oburzenia w głosie.

— Nie, ale sądzę, że sam Cle by się tym przejął, gdyby z jego powodu wszczęły się jakieś kwasy. Powiedz panu Broderickowi, że zgłoszę się, kiedy tylko będę miał jakieś wieści.

Simson przekazał Lee dwie pocieszające informacje. Po pierwsze, Cleburn nie jechał jak człowiek śmiertelnie ranny. Drugą było to, że Hickory wrócili z pościgu, nie doganiając go. Jako jego przyjaciel muszę jak najszybciej skontaktować się z matką Cle, pomyślał Lee, aby złagodzić jej niepokój. Lepiej, się z nią spotkać osobiście.

Mieszkała w Middle Boggy niedaleko Atoka. Kiedy Lee dotarł na małą farmę o powierzchni dziesięciu akrów, którą odziedziczyła po mężu, zastał ją robiącą masło. W młodości nazywano ją Fleet Foot, i choć przekroczyła już pięćdziesiątkę, jej sylwetka wciąż była prosta, a krok lekki. Na jej twarzy widoczne było spokojne, zrównoważone piękno. Widząc ją, stało się jasne, skąd jej syn wziął swoją godność i silną sylwetkę. Jej ojciec był wodzem, który zginął tragicznie, a ona sama kształciła się w słynnej szkole misyjnej Armstronga.

— Czekałam na twoje przybycie — stwierdziła prosto po pierwszych powitaniach.

Był zadowolony z tych słów. Wiedziała, że nie opuści przyjaciela teraz, kiedy znalazł się on w tarapatach.

— Przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem — odpowiedział. — Masz jakieś wieści o Cle? Chcę do niego pojechać.

— Jest w Wapanucka. Na farmie swojego wuja. Będziesz ostrożny, aby żaden z Hickorych nie pojechał tam za tobą?

— Tak. Czy jest ciężko ranny?

— Wkrótce wyzdrowieje. Potem stanie przed sądem.

Lee był zaskoczony.

— Przed sądem Choctawów? Ale on zabił w obronie własnej. Jestem tego pewien.

— Ja też jestem pewna. Ale Jake Hickory złożył przeciwko niemu oskarżenie o morderstwo. Jak tylko wróci do sił, Cleburn podda się i stanie przed sądem.

Młody kowboj był zaniepokojony. Znał niepisane prawo Narodu - życie za życie. Dawne czasy, kiedy krewni zabitej ofiary mogli legalnie zabić zabójcę, już minęły, ale *lex talionis* tkwiło głęboko w dziedzictwie plemienia. Jeśli dowody wykażą, że to Hightower był agresorem, zostanie skazany na śmierć - a Hickory nie cofną się przed fałszywymi zeznaniami, żeby doprowadzić do jego skazania. Bardzo prawdopodobne, że Cleburnowi udałoby się uciec, ale był on pełnej krwi Choctawem, dumnym i nieustraszonym. Bob obawiał się, że nie da się go przekonać do ucieczki. Istniały poważne szanse, że zostanie i poniesie konsekwencje swojego czynu. W podobnej sytuacji Bob nie byłby aż tak skrupulatny. Gdyby został niesłusznie oskarżony o przestępstwo, z dużą szansą na skazanie, wyjechałby w nieznane bez śladu poczucia wstydu.

Coś z jego uczuć musiało zostać zauważone przez Indiankę.

— On jest synem wodza Choctawów — odpowiedziała surowo. — Nie będzie uciekał jak kojot. Stanie otwarcie i stawi czoła swoim wrogom.

W drodze do Wapanucka Bob zatrzymał się na farmie MacPhersonów. Na jego widok łzy napłynęły do brązowych oczu Jessie. Była tylko ćwierć krwi Indianką i nie miała w sobie stoickiego męstwa matki Cleburna. Tragiczna przyszłość przytłaczała ją. Mężczyzna, w którym była zakochana, został ranny i groziło mu niebezpieczeństwo. Hickory znajdą go i zabiją, albo zaplanują jego zniszczenie przy pomocy fałszywych zeznań.

Bob ujął drobne dłonie dziewczyny w swoje i poczuł, jak przywierają one do jego palców, szukając wsparcia.

— Boję się — szlochała. — Oni mają zamiar zabić Cle. Co mam zrobić, Bob? Jak mogę go uratować?

W jego prostym, silnym spojrzeniu znalazła pocieszenie.

— Nie — obiecał jej. — Nie zabiją go. Ma jeszcze przyjaciół. Będziemy przy nim.

— Hickory go szukają. Jake był tu godzinę temu, próbując dowiedzieć się, gdzie jest Cle.

— Nie dowiedział się? — spytał Bob, zaskoczony tą wiadomością.

— Nie. Ojciec tu był. Powiedział Jake'owi, że nie wiemy. Dla niego zresztą, była to prawda. Rzeczywiście nie wiedział. Ale Jake zarzucił mu, że kłamie. — Jej głos wzniósł się do poziomu rozpaczliwego krzyku. — Chcą go zniszczyć w ten czy inny sposób.

— Na pewno chcieliby to zrobić. Ale nie martw się, Jessie. Był już w gorszych tarapatach niż te i wyszedł z tego cało.

Bob znalazł jednego z kuzynów Cleburna, Ridge'a Billee, siedzącego przed drzwiami domu ojca z długim karabinem na kolanach. Kowboj z J A B zsiadł z konia i podszedł do niego.

— Jeśli polujesz na jelenia, Ridge, to nie możesz liczyć na to, że go dopadniesz, kiedy tak siedzisz na tyłku — stwierdził z uśmiechem.

— Po pierwsze, na wilka, nie na jelenia — odparł Indianin. — I wcale na niego nie poluję. Po prostu jestem gotów. To on może polować na Cle.

Lee wszedł do domu i został zaprowadzony do pokoju, w którym Hightower siedział na łóżku z zabandażowanym ramieniem.

— Jak tam, Kilkenah! — przywitał go Bob, określając przyjaciela tubylczym imieniem, pod którym był znany.

Kula przebiła mięśnie ramienia Cleburna. Doktor Taylor obiecał mu, że za tydzień lub dwa będzie jak nowy, jeśli tylko nie pozwoli sobie na dziury po kolejnych kulach z rewolwerów.

— Jedynym sposobem na uniknięcie tego jest ucieczka z kraju — zauważył Bob.

— Terytorium Narodu jest moim krajem — odpowiedział Hightower. — Zostaję tutaj.

Bob był zirytowany uporem swojego rozmówcy.

— No to zostań tutaj i daj się wrobić w kłamstwa Hickorych — odparł.

— Być może. Nie wiem. Ale zostaję.

Nie było sensu dalszej rozmowy. Nic by to nie dało, ale Bob zasugerował Tuni'emu, wujowi Hightowera, że skoro prawdziwe fakty mogą nie zostać ujawnione podczas procesu, to Cleburn nie ma obowiązku zostawać i poświęcać się na ołtarzu fałszywych zeznań.

Tuni opowiedział mu historię dziadka Hightowera, Sans-bois, wodza plemienia Choctaw. Jego brat został skazany za zabicie innego Indianina i zgodnie ze zwyczajem plemienia został zwolniony po złożeniu obietnicy powrotu w celu poddania się karze, w czasie i miejscu wyznaczonym na egzekucję. Sans-bois zauważył z głębokim niepokojem, że w miarę zbliżania się wyznaczonego dnia, skazaniec wykazywał oznaki strachu i najwyraźniej rozważał ucieczkę. Wódz był wstrząśnięty i złożył słabeuszowi propozycję.

— Mój bracie, boisz się umrzeć. Nie jesteś dobrym Indianinem. Nie masz w sobie ogromnych pokładów odwagi, lecz tchórzostwa. Ja się nie boję. Żyj i opiekuj się moją kobietą i dziećmi. Ja umrę zamiast ciebie.

Oferta została przyjęta, a Sans-bois poszedł na śmierć zdecydowanym krokiem i z niewzruszoną twarzą. Przez resztę życia zawstydzony brat musiał nosić kobiece ubrania. Kiedy jego współplemieńcy spotykali go, mijali go, udając że go nie znają. Stał się pariasem.

— To było pięćdziesiąt lat temu — przekonywał go Bob. — Żyjemy w innych czasach i w innym społeczeństwie.

— Mój bratanek Kilkenah jest dzielnym człowiekiem — odparł dumnie Tuni. — On jest wodzem Choctawów.

Bob zdał sobie sprawę, że został pokonany. Z indiańską dumą nie można było walczyć. Punkt widzenia Choctawa nie był taki sam jak białego. Nie dało się go zmienić argumentami. Cleburn wolałby umrzeć, niż pozwolić się zhańbić.

Choć nie sądził, by przyniosło to jakikolwiek pożytek, następnego dnia Bob sprowadził do domu Cle najsilniejsze działa, jakie był w stanie zgromadzić. Ściągnął Jessie MacPherson, by sama spotkała się z rannym. Dziewczyna szybko podbiegła do łóżka, uklękła przy Cle, objęła go ramionami i pocałowała. Bob zamknął drzwi i nie widział już niczego więcej. Lecz kiedy pół godziny później Jessie wyszła z pokoju, jedno jej spojrzenie powiedziało mu, że nie udało jej się zmienić zamiarów Cleburna.

Bob nie załamał rąk. Skoro Cleburn był zdecydowany ponieść wszelkie konsekwencje zastrzelenia Sama Hickory, obowiązkiem jego przyjaciół było dopilnowanie, by miał uczciwy proces i został uniewinniony. Zorientował się, że w okolicy krąży wiele plotek i widział, że Hickory oraz ich sprzymierzeńcy zajęci są wzniecaniem nastrojów przeciwko Hightowerowi.

Lee napisał list do Brodericka i wysłał go przez młodszego brata Ridge'a Billee. Wyjaśnił w nim, że nie może wrócić do pracy przez kilka dni, ponieważ zostaje, aby chronić przyjaciela przed ewentualnym atakiem. Nie rozumiał, dlaczego Hickory nie podjęli jeszcze żadnej próby schwytania Cleburna, ponieważ do tego czasu [tak napisał] musieli już wiedzieć, gdzie on jest. Snuł domysły, że nie zamierzają mścić się na nim osobiście, skoro uda im się doprowadzić do skazania go przez sąd oraz do egzekucji. Lee nie sądził, aby mogło im to się udać, mimo że Cleburn nie miał żadnych świadków na potwierdzenie swego działania w samoobronie, z wyjątkiem przybysza i Judsona. Tego węża Dyke'a Simsa, nie liczył. Z tej pierwszej dwójki jeden uciekł, a drugi był podobno tak przerażony, że nie odważył się sprzeciwić Hickorym. A jednak Lee był zaskoczony, jak przyznał, jak wielu ludzi stanęło przeciwko poganiaczowi z J A B. Było w tym coś, czego nie rozumiał. Hickory byli praktycznie przestępcami. Dlaczego więc obecnie tak wielu ich popierało?

Rozdział 5

Hightower mówi „nie”

Broderick rozumiał lepiej niż jego młody kowboj, jak ważne siły stały za tym procesem. Los Cleburna Hightowera uwikłał się w wielkie interesy finansowe i polityczne. Stał się trybikiem w sprzecznych prądach, które sięgały aż do sal Kongresu w Waszyngtonie.

Wystrzał czterdziestki piątki, który zabił Sama Hickory, wzniecił iskrę problemu wznowienia debaty na temat przetrwania Pięciu Narodów. Rok lub dwa lata wcześniej Komisja Dawesa ogłosiła, że własność plemienna, wspólna dla wszystkich indiańskich obywateli, została przejęta na użytek i ku korzyściom nielicznych, kosztem wielu. Nastroje na rzecz zniesienia zarządu Narodów i otwarcia tej części kraju na osadnictwo, szybko rosły. Argumentowano, że zawsze będą kłopoty, dopóki w ramach jednego dużego, będą istnieć małe, niezależne narody.

Większość osób mieszkających na Terytorium chciała, aby Stany Zjednoczone przejęły nad nim władzę, aby zagwarantować lepszy im tytuł prawny do własności lub umożliwić eksploatację gospodarstw tubylców. Poza samymi Indianami niemalże jedynymi przeciwnikami tej idei byli hodowcy bydła, drobni handlarze, handlarze whisky i wyjęci spod prawa. Hodowcy krów chcieli utrzymania obecnego reżimu, ponieważ dzierżawili od Narodów duże połacie pastwisk. Handlarze alkoholem i źli ludzie woleli działać w regionie położonym z dala od rządów silnej ręki prawa.

Niestety dla uczciwych hodowców bydła, takich jak J. A. Broderick, wielu z ich dzikich kowbojów stało się przestępcami. Z jeźdźców tylko dwóch rancz wywodzili się Daltonowie, Doolin, Broadwell, Powers, Newcomb, Bryant i Pierce, wszyscy oni byli znanymi rabusiami pociągów i zostali zastrzeleni, z wyjątkiem (jeśli chodzi o gwałtowną śmierć) Emmetta Daltona.

Cleburn Hightower był w odmiennej sytuacji niż ci bandyci. Nie był ani przestępcą, ani białym człowiekiem. Ponieważ podlegał prawu Choctawów, jego sprawa była rozpatrywana przez członków jego własnego plemienia. Było to niekorzystne, ponieważ gazety nadały zabójstwu Sama Hickory duży rozgłos. Czasopisma w St. Louis, Little Rock i Memphis wskazywały na to, jako na kolejny przykład bezprawia wielkich imperiów bydlęcych. W jednym z artykułów redakcyjnych napisano, że dopiero teraz okaże się, czy sąd będzie w stanie wymierzyć sprawiedliwość pracownikowi jednej z dużych firm hodowlanych, która była przyjazna Narodowi w toczącej się obecnie dyskusji.

Broderick był zdania, że sąd Choctawów, nawet jeśli jego członkowie nie lubili Hickorych i sympatyzowali z Hightowerem, będzie skłaniać się ku literalnemu potraktowaniu dowodów, pomimo podejrzeń, że są one

fałszywe. Uwolnienie Cleburna wywołałoby burzę krytyki, która mogłaby przechylić szalę na stronę zwolenników rozwiązania Narodów.

J. A. pojechał z Bobem Lee na farmę Tuni i omówił sytuację z Hightowerem i jego wujem.

Zaproponował sprowadzenie znanego adwokata z Fort Smith, ale Cleburn powiedział, że woli być reprezentowany przez kuzyna, który studiował za granicą. Chciał, aby ława przysięgłych usłyszała prawdę, bez zbędnej elokwencji.

— Ale ława przysięgłych nie usłyszy prawdy — stwierdził bez ogródek Broderick. — W sprawę uwikłała się polityka. Hiram Sugg bardzo aktywnie działa przeciwko tobie. Nie żeby miał coś przeciwko tobie osobiście. On chce, aby Terytorium Narodów zostało przejęte przez Stany Zjednoczone. Jesteś tylko pionkiem w jego grze. Ten przybysz, zniknął. Jak mówi Bob, Sims jest wężem czyhającym na możliwość ataku. Judson zawsze był za otwarciem tego kraju na osadnictwo, a poza tym nie ma odwagi stanąć i powiedzieć prawdy, kiedy słucha go cały gang Hickorych. Nie masz żadnego świadka na swoją korzyść. Potrzebujesz jednego z tych prawników, którzy czynią cuda z ławami przysięgłych.

Cleburn powiedział:

— Nie, mój kuzyn wygłasza proste mowy.

Bob rzucił się ku przyjacielowi.

— Niech to diabli! Co cię gryzie, stary? Pan Broderick przyjechał czterdzieści mil, żeby ci pomóc. Ja zamartwiam się tak, że nie mogę spać, myśląc o tym, jak wyciągnąć cię z tej opresji, a ty nie kiwniesz nawet palcem. Wbij to sobie do głowy. Oni są przekonani, aby uznać cię za winnego. Chcesz usiąść pod ścianą, z dwoma facetami trzymającymi cię za ręce, podczas gdy inny wbije ci kołek w serce? Tak będzie, Cle, chyba że się obudzisz i zaczniesz walczyć.

— Powiem prawdę ławie przysięgłych.

— Wszyscy trzej Hickory będą kłamać, a Judson i ten ich przydupas Sims będą ich wspierać. Boję się, Cle. Nie możesz tak po prostu na to pozwolić. Twoi przyjaciele wiedzą, że to była samoobrona, ale ci ludzie w ławie przysięgłych będą ci obcy. Usłyszą gładką historyjkę od tych łajdaków, którzy chcą cię dopaść. Nie powinieneś siedzieć z założonymi rękami.

Indianin położył dłoń na ramieniu Lee, uśmiechając się do niego.

— Dobry z ciebie przyjaciel, ale nasze zwyczaje nie są twoimi. Ja jestem Choctawem, ty białym człowiekiem.

Broderick skinął głową.

— No dobrze, Cle. Człowiek sam musi zdecydować, co jest słuszne. Może tak będzie najlepiej. Ława przysięgłych słuchając mądrego prawnika ze Stanów mogłaby uznać go za zbyt przebiegłego i nie uwierzyć w jego słowa. Skoro tak chcesz, niech broni cię twój kuzyn.

W drodze do domu zatrzymali się w Boggy Depot, aby kupić trochę tytoniu, o który Simson poprosił Boba. Gdy wyszli z punktu handlowego, zastali trzech ludzi przyglądających się znakom na koniach J A B. Byli to Jake i Bart Hickory oraz Dyke Sims.

Bob pomyślał, że skoro i tak jest w to zamieszany, to równie dobrze może przenieść wojnę do kraju wroga.

— Niełatwo byłoby ci to zatrzeć — rzucił lekko, z kpiącym uśmieszkiem na ustach.

Jake Hickory obrócił się, a jego palce powędrowały na kolbę rewolweru na biodrze. Spoglądał gniewnie na drobnego kowboja i rozpalała się w nim coraz większa nienawiść, zupełnie nieproporcjonalna do przyczyny ich waśni. Kiedy ich oczy spotkały się po raz pierwszy, już wiedział, że nie lubi tego eleganckiego Teksańczyka o lekkich ruchach, którego chłodne spojrzenie było takie szydercze i nieustraszone.

— A więc to ty — warknął.

Broderick wtrącił się, zanim Bob zdążył odpowiedzieć.

— Zabierz rękę z tej broni, Hickory — rozkazał surowo.

Zimne oczy Jake'a przeniosły się z Lee, na hodowcę bydła. Jeszcze przed chwilą miał ochotę wyładować swoją urazę na kowboju. Teraz jednak nie był już tego taki pewien. Broderick miał reputację człowieka, który potrafi o siebie zadbać w każdej sytuacji. Co więcej, był zbyt ważną postacią na Terytorium, a jego postura była zbyt duża, by gang wyjętych spod prawa włóczęgów mógł się z nim mierzyć. Jeśli J. A. deklarował otwarcie swoje stanowisko, to może lepiej poczekać, aż nie będzie on obecny.

— Nie mamy nic przeciwko panu, panie Broderick — warknął Jake. — Jego przyjaciel zamordował naszego brata, ale pan nie ma żadnego udziału w tej grze. Załatwimy to z nim.

— Nie bądź głupcem. — W głosie ranczera zabrzmiała ostra komenda. — Ten chłopak nie miał z tym nic wspólnego. Hightower stanie przed sądem w tym tygodniu. Zabierz dłoń z rewolweru.

Dyke Sims wtrącił się pośpiesznie, nie chcąc być zamieszany w żadne kłopoty, które dotyczyłyby Brodericka.

— Zgadza się, Jake. Nie chcesz sprawiać kłopotów przed procesem.

— Ani w każdej innej chwili, z którymkolwiek z moich ludzi — dodał krótko Broderick.

— Ci pańscy zawszeni jeźdźcy to zaczęli — odparł Bart Hickory. — Zamierzamy to zakończyć, teraz lub później.

Bob nic nie powiedział. Nie chciał wciągać swojego szefa w strzelaninę z tymi łobuzami i zdawał sobie sprawę, że jedno wyzywające słowo wystarczy aby powietrze wypełniło się kulami. Stał jednak wyprostowany, ostrożny i zwinny jak pantera, gotowy do walki, jeśli ta nadejdzie.

— Ostrzegam cię, że jeśli zabijesz któregoś z moich chłopców, sprawiedliwości stanie się zadość, nawet jeśli będzie mnie to kosztować ostatniego centa — odpowiedział Broderick. — Ostrzegam cię. Daj sobie spokój z ludźmi J A B.

Jake rzucił głośno przekleństwem.

— To świetny sposób, by do nas mówić, Broderick, po tym jak jeden z twoich rewolwerowców zastrzelił naszego brata. Do diabła z twoimi groźbami. Zabiorę się za tego ptaszka, jak tylko załatwimy sprawę Hightowera… Chodź, Bart. Wynośmy się stąd, zanim wyjdę z siebie i rozwalę tych kolesi.

Podszedł do konia, a Bart deptał mu po piętach. Wspięli się na siodła i odjechali.

Sims pokręcił głową.

— Są trochę szorstcy, panie Broderick. Ale sądzę, że więcej szczekają, niż gryzą. Sam nie jestem zwolennikiem strzelanin. Jestem praworządnym obywatelem Arkansas. Nie chciałbym, aby pan pomyślał, że jestem w jakikolwiek sposób związany z gromadą Hickorych.

— Dowiemy się tego po wysłuchaniu twoich piątkowych zeznań — powiedział Broderick.

— Muszę powiedzieć tak, jak to widziałem, panie Broderick. Kiedy człowiek staje przed sądem, przysięga mówić prawdę. Zamierzam to zrobić. — Jego głos brzmiał wyraźnie oleisto, a w jego słowach słychać było świętoszkowate skomlenie.

— Lepiej mów prawdę, bo jeśli nie, to załatwię cię razem z Hickorymi, kiedy się spotkamy — rzucił ze złością Bob.

— To groźba! — wykrzyknął handlarz whiskey.

— To obietnica — odpowiedział Lee, — której dotrzymanie sprawi mi wiele przyjemności.

— Nie podnoś na mnie ręki! — zapiał podekscytowany Sims. — Wyrządziłeś mi już wystarczająco dużo podłości. Igraj tak sobie ze mną, a postrzelam cię jak rzeszoto.

Broderick zaciągnął węzeł na uździe.

— Wystarczy, Bob — oznajmił i wyjechał spod sklepu.

Bob podążył za nim. Zdawał sobie sprawę, że powiedział za dużo.

Rozdział 6

„Wszyscy mężczyźni z bronią w ręku są tej samej wielkości”

Jeszcze nawet przed otwarciem posiedzenia sądu w Wilburton, polityczne implikacje sprawy Hightowera były jasne dla wszystkich inteligentnych ludzi w dystrykcie. Jej znaczenie odzwierciedlało rozmiary uwagi, jaką przyciągnął proces. Morderstwa na Terytorium Narodów były zbyt powszechne, by wzbudzać duże zainteresowanie ludzi z zewnątrz, ale nieoczekiwanie, ta strzelanina wzbudziła zaciekłą walkę podjazdową. Stała się próbą sił, istotną ze względu na strony, które za nią stały.

St. Louis Globe-Democrat wysłał reportera, aby relacjonował proces. Na sali znajdowało się wielu co ważniejszych ludzi z Terytorium, w tym przywódcy opowiadający się za i przeciw istniejącemu rządowi. Cleburn Hightower był pionkiem w walce, w której brali udział wszyscy zamieszkali na Terytorium Pięciu Cywilizowanych Plemion.

Bob był zaskoczony i rozczarowany, widząc, jak aktywnie Hiram Sugg wspierał oskarżenie. Należał do partii działającej na rzecz zniesienia rządów Narodów i był na tyle silny, że stał się jednym z jej przywódców. Młodemu Teksańczykowi wydawało się oburzające, że Sugg i jego przyjaciele są gotowi poświęcić niewinnego człowieka, aby wspierać swoje interesy polityczne i biznesowe.

Dowody wskazywały na to, że Hickory zachowali się obelżywie podczas potańcówki w stodole i grozili życiem dwóm jeźdźcom J A B, ale bezpośrednie zeznania Simsa, Judsona, Greera oraz dwóch obecnych na miejscu Hickorych, wskazywały na to, że Hightower pierwszy sięgnął po broń i zastrzelił Sama, zanim sam został ranny. Handlarz podczas swych zeznań wyglądał na bardzo nieszczęśliwego człowieka, lecz adwokat oskarżonego nie był w stanie obalić jego kulawej opowieści. Przeciwko wszystkim tym świadkom Cleburn miał do zaoferowania tylko swoje własne słowo i chociaż reputacja większości z nich była kiepska, to jednak to, co mówili, miało dla Hightowera obciążający charakter. Ława przysięgłych obradowała przez cztery godziny i wydała werdykt o winie.

Oskarżony przez cały proces słuchał z niewzruszoną, beznamiętną twarzą. Wstał, aby wysłuchać wyroku, wysoki i wyprostowany, a jego niezłomne, nieustraszone oczy wpatrywały się w sędziego. Na sali sądowej panowało głębokie współczucie dla niego, ponieważ wielu obecnych tam ludzi czuło, że sprawiedliwości nie stało się zadość. Wśród nich był również sędzia, białowłosy, dostojny Choctaw pełnej krwi. Szanował stojącego przed nim stoicko przyjmującego wszystko człowieka, zdając sobie sprawę, że padł on ofiarą presji politycznej, która uniemożliwiła sprawiedliwy proces.

— Czy ma pan coś do powiedzenia przed wydaniem wyroku? — zapytał sędzia.

— Tylko tyle, że proszę o danie mi czasu na zebranie plonów mojej matki — powiedział skazany Indianin.

— To rozsądne — zgodził się sędzia. — Cleburnie Hightower, zostałeś uznany winnym zabójstwa Sama Hickory. Wyrok sądu jest taki, że siedemnastego dnia września tego roku stawisz się w tym sądzie o godzinie 10 rano i między tą godziną a 16 tego samego dnia zostaniesz zabrany na miejsce egzekucji wybrane przez szeryfa i tam zostaniesz zabity strzałem w serce, zgodnie z prawem Choctawów. I niech Bóg zmiłuje się nad twoją duszą.

Chris La Flore, młody adwokat oskarżonego, poprosił, aby na czas czterech tygodni pozostałych do egzekucji, jego kuzyn został przekazany pod opiekę swojego wuja Tuni, który zagwarantował, że przyjmuje odpowiedzialność za jego stawienie się w sądzie o godzinie wyznaczonej przez sędziego. Ta prośba również została spełniona, po rozmowie sędziego z Tuni i zaprzysiężeniu go jako urzędnika sądowego.

Gdy Cleburn wyszedł z budynku sądu, idąc między swoim wujem a Bobem Lee, na jego nieruchomej twarzy w kolorze miedzi nie było śladu zmartwienia. Nikt, kto tego nie wiedział, nie mógłby przypuszczać, że ten wysoki, silny mężczyzna został właśnie skazany na śmierć w ciągu miesiąca.

Banda Hickorych stała razem w grupie, z tyłu sali, wpatrując się w człowieka, którego zniszczyli swoimi fałszywymi zeznaniami. Jake zaśmiał się triumfalnie, a pozostali przyłączyli się do jego szyderczego śmiechu.

— Świeczka jednego dżentelmena właśnie zgasła — szydził. — Kolejny dżentelmen też zmierza już do piekła.

Cleburn spoglądał prosto przed siebie i odszedł, nie okazując, że widział lub słyszał swoich wrogów. Bob zatrzymał się na chwilę.

— Jeszcze nie dorwaliście żadnego z nas, przeklęte łotry — oznajmił cichym, czystym głosem.

— Wkrótce ten mały kogutek zaśpiewa inną piosenkę — przechwalał się Bart. — Dużo gada, ale mógłbym go rozerwać na pół gołymi rękami.

Chłodne, błękitne oczy małego kowboja spojrzały z pogardą na tęgiego człowieka o szerokich ramionach.

— Wszyscy mężczyźni z bronią w ręku są tej samej wielkości — przypomniał. — Nie zapominajcie, że Cleburn zabił waszego brata Sama, kiedy czterech z was zalewało go deszczem ołowiu.

Nie czekając na odpowiedź, Lee odwrócił się do nich plecami i wrócił do swoich przyjaciół. Jake popatrzył za nim, a włosy na jego karku najeżyły się jak u urażonego koguta. Widok Lee, nawet pomijając jego słowa, napełnił go wściekłością. Zuchwała bezczelność młodego człowieka sprawiła, że gniew w nim aż kipiał.

Tuzin ludzi, zarówno białych, jak i Indian, tłoczyło się wokół Hightowera z zapewnieniami o przyjaźni, które Cleburn przyjmował beznamiętnie. Jeśli cieszył się z ich poparcia, to na jego kamiennej twarzy nie można było wyczytać żadnych oznak zadowolenia.

Broderick odciągnął Lee na bok.

— Zauważyłem, że zamieniłeś kilka słów z Hickorymi — powiedział.
— Oznajmili mi, że jestem następny.
— Co im odpowiedziałeś?
— Nie pamiętam dokładnie, jak to ująłem. Chodziło o to, że gdyby zamówili dla mnie trumnę, to nie mogą być pewni, kto zostanie w niej pochowany.
— Mogłeś iść dalej nie zatrzymując się, tak jak zrobił to Cleburn. Nie ma sensu jeszcze bardziej ich drażnić, Bob.
— Jake nie mógłby być na mnie jeszcze bardziej zły, niż jest. Słyszałem, jak sam pan mówił, panie Broderick, że jedynym sposobem na bezpieczne wyjście z zagrożenia, nie jest ucieczka przed nim.
— Hmp! Jeśli to powiedziałem, to nie chodziło mi o bandę wilków, takich jak Hickory. Trzymaj się od nich z daleka, synu. Pewnego dnia posuną się za daleko i zostaną zmieceni.
Bob roześmiał się.
— To będzie miła rzecz. Problem polega na tym, czy Cle i ja będziemy jeszcze tutaj, by cieszyć się ich masakrą.
— Ciebie nie będzie, jeśli nadal będziesz ich tak drażnił, jak do tej pory. Zamierzam wysłać cię z powrotem na ranczo do Teksasu.
Bob z determinacją pokręcił głową.
— Nie, proszę pana. Zostanę tutaj, dopóki nie wyciągnę Cle z opresji, w których się znalazł.
— Jak mógłbyś tego dokonać? Jego jedyną szansą jest zniknięcie. Może wyjechać do Arizony lub Meksyku.
— Może, ale tego nie zrobi. Mówiłem panu o jego dziadku. Cle jest tak samo sztywny jak on, kiedy uważa, że w grę wchodzi jego honor. Mam miesiąc do 17 września. Zamierzam wykopać spod ziemi tego przybysza i sprowadzić go z powrotem.
— On nie wróci. Zniknął tak nagle, bo Hickory wlali mu w serce strach przed śmiercią. Dlaczego sądzisz, że uda ci się go przekonać, aby zaryzykował, że mógłby zostać przez nich uciszony na zawsze, skoro już raz uciekł?
— Choćbym miał go związać i przyciągnąć z powrotem za swoim koniem, to stawi się tutaj — odparł Bob. — Jeśli tylko go znajdę. To może nie być łatwe.
Patrząc w twarde, zimne oczy swojego jeźdźca, Broderick był pewny, że człowiek z krytym wozem wróci na Terytorium Narodu, bez względu na swoje życzenia, jeśli tylko Lee będzie w stanie go wytropić.
Córka Brodericka wyjechała mu na drogę pięć lub sześć mil od rancza. Wracali razem. Opowiedział jej o wyniku procesu i o swoich obawach, że Hightowera nie da się uratować. Hodowca bydła był przekonany, że zabił w obronie własnej, choć dowody na to nie wskazywały.
— Ale jeśli Cleburn został zwolniony, a nikt poza jego wujem go nie pilnuje, może wymknąć się w nocy i uciec z Terytorium — zauważyła Willie May.
— Może, ale tego nie zrobi. Jego duma mu na to nie pozwoli, choć jest praktycznie wolny. Oczekuje się, że wróci i zostanie zastrzelony, i tak

właśnie się stanie. — Broderick opowiedział historię dziadka Cleburna, który zastąpił swojego brata, by uchronić rodzinne nazwisko przed hańbą.

Dziewczyna popatrzyła na niego błyszczącymi oczami, w których pojawiły się łzy.

— Cleburn także chce zachować honor rodziny! — zawołała. — Cieszę się, że są jeszcze tacy ludzie jak on, nawet jeśli dla niektórych to co on robi, brzmi głupio. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego nie trzymają go w więzieniu, aby mieć pewność, że nie ucieknie.

Broderick ponownie nawiązał do historii Choctawów, aby wyjaśnić córce ich tradycje plemienne. Pięćdziesiąt lat wcześniej nie było tutaj żadnych więzień i oczywiście nie było możliwości przetrzymywania więźniów. Za drobne przewinienia, takie jak kradzież, winny był rozbierany, przywiązywany do drzewa i chłostany. Kara zmazywała przestępstwo, a po jej wymierzeniu ofiara była przywracana do pełni praw społecznych[1]. W przypadku zabójstwa karą była śmierć. Skazańca wypuszczano na wolność, aby mógł prowadzić zwykły tryb życia aż do dnia egzekucji. Duma Choctawów była taka silna, a poczucie wstydu z powodu tchórzostwa tak intensywne, że zanotowano tylko dwa lub trzy przypadki, kiedy Indianin pełnej krwi nie stawił się w czasie i miejscu, oznaczonym na egzekucję. Jednakże wraz ze wzrostem odsetka białej krwi w plemieniu, nie można było już ufać, że tubylcy o mieszanym pochodzeniu powrócą na spotkanie ze śmiercią. Od czasu do czasu Choctaw pełnej krwi był jeszcze wypuszczany na wolność pod warunkiem, że przyrzekł wrócić, aby odpokutować za swoje zbrodnie.

— Jesteś pewien, że Cleburn nie ucieknie? — spytała Willie May.

— Nie, nie jestem pewien. Ale nie sądzę, żeby to zrobił.

— Nie powinni zabijać takiego człowieka — zaprotestowała nieszczęśliwym tonem.

— Nie, ale tak to już jest z Indianami. Robią wiele bardzo dramatycznych rzeczy. — Po chwili dodał: — Nie widzę żadnej nadziei dla Hightowera. Dał się złapać w pułapkę. Martwię się o Boba Lee.

Willie May spojrzała szybko na ojca.

— Masz na myśli Hickorych? — mruknęła.

— Tak. Ma obowiązek i jest mocno zdeterminowany, aby uratować przyjaciela. Chciałem, żeby wrócił do Lampasas, ale nie chciał o tym słyszeć. Jego pomysł polega na ściągnięciu tutaj tego Todda, aby zeznał, że to Hickory rozpoczęli walkę. Gdyby mu się udało tego dokonać, ci łajdacy będą próbować dopaść zarówno jego, jak i przybysza, jak tylko obaj tutaj wrócą. Lubię Boba. Podoba mi się jego postawa wobec przyjaciela. Ten chłopak wart jest aby go mieć za przyjaciela. A co więcej, jak mógłbym spojrzeć w oczy jego matce i powiedzieć jej, że pozwoliłem zabić jej syna? Kiedy była dziewczynką, chodziliśmy razem na tańce.

— Nie mógłbyś wysłać z nim kilku ludzi, jeśli uważa, że musi jechać?

---

[1] Po Wojnie Secesyjnej uwolnionym niewolnikom Choctawów oferowano przyjęcie do plemienia. Wielu z nich, nie mając żadnej należącej do nich własności, zaczęło kraść. Obawiając się poważnych kar chłosty, początkowo odmawiali oni przyjęcia obywatelstwa (przyp. Autora).

— Nie chce brać nikogo. Mówi, że to robota dla jednego człowieka. Założę się o ostatniego dolara, że odnajdzie Todda i sprowadzi go tutaj, niezależnie od tego, czy będzie ten chciał wracać, czy nie.

Oczy Willi May były jasne jak gwiazdy.

— Dobrze musi być, mieć takiego przyjaciela jak Bob.

— On jest prawdziwym mężczyzną, nawet jeśli nie jest specjalnie okazałej postury.

— On wcale nie jest taki mały — zaprzeczyła dziewczyna. — Kłopot z wami, dwustufuntowcami, polega na tym, że uważacie, iż zgrabny mężczyzna średniego wzrostu, to karzeł. Bob jest o dwa-trzy cale wyższy ode mnie. Waży sto czterdzieści pięć funtów. Jeśli nie jest silny, to chciałabym wiedzieć, jak wygrywa te wszystkie walki, w których bierze udział.

— Nie powiedziałem, że nie jest szybki i umięśniony, a kiedy coś się zaczyna, jest ciapą w walce — zachichotał Broderick. — Zdaje się, że powiedział Jake'owi Hickory, że wszyscy mężczyźni z Coltem czterdzieści pięć w ręku, są tej samej wielkości.

Zaniepokojona zmarszczyła brwi.

— Wolałabym, żeby trzymał się z dala od tych łobuzów.

— Ja też. Dlatego chciałbym odesłać go z powrotem do Teksasu. Ale nie ma sensu teraz z nim o tym rozmawiać. Kiedy już się na coś zdecyduje, jest tak samo uparty jak sam Hightower.

W czasach szkolnych Bob był niespokojnym, szukającym kłopotów chłopcem. Zawsze miał w sobie dziką, lekkomyślną żyłkę. Każda walka z pozycji przegranego, należała do niego. Rzucał się w niebezpieczeństwo bez chwili zastanowienia i nie licząc się z kosztami.

Ale Willie May zdawała sobie sprawę, że wyrósł na człowieka o żelaznym kręgosłupie. Miał charakter i nieustraszenie kroczył drogą silnych ludzi. Tkwiła w nim również głęboka lojalność. Dziewczyna poczuła dla niego ciepłą aurę podziwu.

Była zakochana w innym mężczyźnie i po raz pierwszy ten fakt ją zaniepokoił. Hiram Sugg był człowiekiem, który pragnął odnieść sukces. Raz czy dwa zastanawiała się, czy jego ambicja nie prowadzi go za daleko. Były chwile, gdy wyczuwała w nim twardość graniczącą z moralną ślepotą i szybko zaprzeczała sobie samej, że to nie może być prawda.

Fakt, że użył swoich wpływów przeciwko Cle Hightowerowi, zaniepokoił ją. Nieśmiało rozmawiała o tym z ojcem. J.A. starał się zachować sprawiedliwość wobec Sugga. Wyjaśnił, że wielu ludzi uważało, iż istnienie narodów jako odrębnych rządów w obrębie Stanów Zjednoczonych, było błędem i walczyło o ich zniesienie, traktując to jako obowiązek wobec swojego kraju. Jego córka znała wszystkie te argumenty. Być może Hiram miał rację. Lecz ludzkie uczucia w jej sercu protestowały przeciwko poświęceniu człowieka takiego jak Hightower, dla celów politycznych. Żałowała, że Hiram nie podzielał jej odczuć.

Rozdział 7
Bob rusza w drogę

Willie May grała na organach, kiedy wyjrzała przez okno i zobaczyła Boba Lee prowadzącego przez podwórze konia z tobołkiem, przywiązanym z tyłu siodła. Wybiegła z domu i zawołała:

— Hej-ja, kowboju!

Bob skierował się w stronę werandy. Miał nadzieję zobaczyć ją przed wyjazdem, choć często powtarzał sobie, że im mniej ją widuje, tym lepiej dla jego spokoju ducha. Patrząc na nią teraz, pomyślał, że jest zbyt piękna, aby była to prawda. Na jej policzkach pod błękitnymi oczami kwitły róże, a jej płowo-złote włosy pochłaniały promienie słońca, które nadawały im żywy miedziany odcień.

— Cześć, panno Willie — powiedział.

— Dokąd jedziesz? — spytała.

— Nie wiem. Na północ, południe, wschód lub zachód. Ale przez jakiś czas będziesz miała mnie z głowy. Szukam człowieka, który powozi białą klaczą i mułem jeleniej maści, zaś oba są tak spasione, że wyglądają jak dwa worki kości. Kiedy widziano go po raz ostatni, zmierzał w jakieś miejsce byle dalej od Four Corners i jechał tak szybko, jakby goniły go demony.

— I nazywa się Todd? — spytała.

— Pani, ciepło, ciepło — zgodził się.

— Co z nim zrobisz, kiedy go znajdziesz?

— Poproszę go, żeby ze mną wrócił.

— A jeśli powie, że ma ważniejsze sprawy na głowie?

— No cóż, będę naprawdę bardzo się starać, żeby zmienił zdanie.

Śmiech zniknął z jej oczu.

— Czy Hickory wiedzą, że zamierzasz szukać tego Todda?

— Mam nadzieję, że nie. — Uśmiechnął się. — Zachowajmy to w sekrecie.

— Gdybyś go sprowadził z powrotem, nadal byłoby to słowo dwóch ludzi przeciwko pięciu, nawet jeśli zdobyłby się na odwagę aby powiedzieć prawdę.

— Mogłoby to przechylić szalę na tyle mocno, że uzyskalibyśmy ułaskawienie dla Cle, na czas kiedy my spróbowalibyśmy znaleźć więcej dowodów.

— Nie wydaje mi się, że powinieneś jechać sam.

— To nie jest zadanie dla większej grupy pościgowej. Można to nazwać lekkim przekroczeniem prawa. Cle został przecież skazany przez sąd. Sprawa jest zamknięta. Równie dobrze mogę sprowadzić Todda sam, co

grupa trzech-czterech chłopaków. I nie ma sensu, żeby tylu z nich się w to ładowało. Ktoś mógłby nazwać tę całą sprawę porwaniem.

— Myślę, że pakujesz się w spore kłopoty, Bob.

— Prawdopodobnie nie. — Uśmiechnął się szelmowsko. — Jestem teraz odpowiedzialnym mężczyzną, a nie tym dzikim źrebakiem, którego znałaś w szkole. Omijam z dala wszystkie kłopoty, jakie tylko zdołam.

— Twój pomysł wydaje mi się szalony. To bardzo ryzykowne.

— Muszę uratować Cle, jeśli zdołam. To jedyna szansa na to, jaką widzę.

— Gdyby po prostu zniknął po cichu - wyjechał do Teksasu czy gdzieś.

— Ale tego nie zrobi. Nie może tego zrobić. Nie uznałby tego za słuszne.

— Ale przypuszczam, że uważa za słuszne, byś wpakował się w różnego rodzaju kłopoty i może nawet zginął, bo on jest taki sztywny — odparła ostro.

— On nie wie, co robię.

— Więc może lepiej niech ktoś mu powie.

Jego spojrzenie utkwiło w jej oczach.

— Nie wtrącaj się w to, młoda damo. To męska sprawa.

Zarumieniła się gniewnie na jego rozkaz. Młodzi mężczyźni nie mówili do niej takim tonem - nie do Willie May Broderick. I jakim prawem Bob Lee, który był tylko jednym z najemnych ludzi jej ojca, mówił jej, co może, a czego nie może robić?

— Bardzo dobrze. Nie będę! — zawołała. — Jedź i daj sobie odstrzelić ten swój głupi mózg. Zobacz, jak bardzo mi na tym zależy.

Odwróciła się i szybko weszła do domu.

Bob poszedł dalej, żałując swoich słów. Że też musiał się wygadać. Dlaczego, do cholery, tak na nią naskoczył? Mógł poprosić ją w rozsądny sposób, by nie mówiła nikomu o tym, co ma zamiar robić. Odkąd była małym szkrabem, wszyscy starali się ją rozpieszczać. Oczywiście że nie spodobało się jej, że jeden z kowbojów jej ojca mówi jej, iż ma trzymać się z od czegoś daleka. Może to i dobrze. Nie musiał się już przejmować, co ona o nim myśli.

W Four Corners Bob zatrzymał się, aby zobaczyć się z doktorem Taylorem w nadziei, że dowie się od niego, dokąd zmierza Todd.

— Sam nie wiedział, dokąd jedzie — wyjaśnił lekarz. — To jeden z tych chwiejnych facetów, którzy kręcą się wszędzie tam, gdzie zaniosą ich okoliczności. Chce zdobyć farmę, ale kiedy już ją zdobędzie, może się wycofać i wyjechać w ciągu sześciu miesięcy. Dla niego za kolejnym wzgórzem zawsze trawa jest bardziej zielona.

— Nie dał ci żadnych wskazówek na temat swojej trasy? — spytał Lee.

— Powiedział, że zamierza przedostać się przez Canadian na terytorium Narodu Creek. Słyszałem, jak raz wspominał coś o Wewoka, ale pewnie już dawno zmienił zdanie. W każdym razie, czego od niego chcesz?

Bob mu wyjaśnił sytuację. Wiedział, że lekarz trzyma jeżyk za zębami i można mu ufać. Taylor nie myślał zbyt długo o tym planie.

— Jeśli go znajdziesz i sprowadzisz z powrotem, Hickory załatwią was obu — prychnął na swój szorstki sposób. — Lepiej się nie wygłupiać i nie pogarszać sytuacji. Hightower jest skończony. Nie twoja wina. Ten Todd nie może mu teraz pomóc. Jest już za późno.

— Nie jest za późno, dopóki Cle wciąż żyje — zaprzeczył stanowczo Bob.

Tej nocy rozbił obóz na Caney Boggy, a następnego dnia przedarł się przez Shawnee Hills do Canadian. Rankiem trzeciego dnia dotarł do Wewoka. W punkcie handlowym usłyszał wieści o poszukiwanym człowieku. Jakiś wałęsający się człowiek pamiętał zaprzęg strachów na wróble, białej klacz i muła.

— Oczywiście — potwierdził handlarz. — Przez dwa-trzy dni pracował przy ogrodzeniach Tinkera i zarobił wystarczająco dużo, by kupić trochę jedzenia. Mówił, że jedzie do Shawnee - a może do Tecumseh?

Spierali się o to i nie mogli się zdecydować, lecz ponieważ miejsca te dzieliło od siebie zaledwie parę mil, nie miało to większego znaczenia. Podczas gdy mężczyźni rozmawiali, do sklepu weszło dwóch indiańskich policjantów, aby kupić zapasy. Bob wyszedł za nimi ze sklepu i poszedł do miejsca, w którym przywiązane były ich konie. Zadał im pytanie, które zadawał połowie napotkanych ludzi. Nie widzieli niczego związanego z Toddem ani jego inwentarzem, lecz w trakcie rozmowy Bob dowiedział się, że próbowali zdobyć informacje o kradzieży bydła z farm i rancz wzdłuż rzek Canadian i Little Rivers. Wiadomo było, że złodzieje krów mieli swe złodziejskie szlaki, którymi pędzili bydło do Kansas, prowadząc je nocą i ukrywając w ciągu dnia.

Dla Boba nie było to nic nowego, z wyjątkiem miejsca napadów. Osadnicy nad rzekami Red i Kiamichi również byli nękani przez nocnych jeźdźców, którzy porywali stada krów i prowadzili je potajemnie na targ po drugiej stronie linii granicznej. Uważano, że na czele tego nikczemnego procederu na południu stali Hickory. Lee nie wiedział, czy ich teren działania sięgał aż do Little River na północy.

Bob przemierzył kraj Seminoli i dotarł do Tecumseh o zachodzie słońca. Zatrzymał się i nakarmił konia, po czym wstąpił do restauracji Old Trail. Po posiłku przeszedł się główną ulicą, aby przyjrzeć się miastu. To było dla niego nieznane tereny. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej całe życie spędzał w Teksasie. Do czasu przybycia na północne pastwiska wcześniej nie był poza nigdy poza Terytorium Narodu Choctaw.

W chmurze kurzu minął go dyliżans z Guthrie, który zatrzymał się na stacji. Bob stał z tyłu i patrzył, jak wysiadają z niego pasażerowie: zaczerwieniony mężczyzna z butelkowym nosem, dwóch kowbojów, przesadnie wystrojona młoda kobieta ze zbyt gotowym uśmiechem na twarzy i Hiram Sugg. Na widok Lee na twarzy Sugga na moment pojawiło się zaskoczenie, które jednak szybko zniknęło.

— Jesteś poza swoim terenem, co Lee? — spytał z serdecznością profesjonalnego witającego.

Bob nie mógł wyjść z podziwu dla siły tego człowieka, ale było w nim coś, co mu się nie podobało. Po raz pierwszy dotarło do niego, że życzliwość Sugga była tylko maską. Nie było w niej ciepła.

— Faceta takiego jak ja swędzą stopy i musi być w ciągłym ruchu — odpowiedział.

— Nie przyjechałeś tu w interesach dla Brodericka?

— Nie, proszę pana. Jadę sobie, gdzie mnie oczy poniosą.

Sugg nie miał powodu, by w to wątpić. Kowboje zawsze wędrowali z jednego rancza na drugie.

— Gdzie masz zamiar stąd jechać? — zapytał.

— Chyba będę musiał rzucić monetą, żeby się dowiedzieć, skoro mam pełną swobodę. To znaczy, jeśli uda mi się pożyczyć jakiegoś dolara.

Sugg zawahał się. Najwyraźniej chciał powiedzieć coś więcej, ale stłumił ten impuls. Wszedł do hotelu, który służył również jako stacja dyliżansu.

Bobowi to odpowiadało. Może za jego niechęcią do tego człowieka kryła się zazdrość, że tak szybko osiągnął wielki sukces. Aktywność Sugga podczas procesu Cle dała mu uchwyt, na którym mógł zawiesić swoją urazę. Lecz choć Bob nie chciał się z nim bratać, był nieco zdziwiony zachowaniem ranczera. Kowboj mógłby przysiąc, że tamten poczuł się zaniepokojony, gdy jego spojrzenie padło na Lee, ale natychmiast to ukrył. Jaki mógł być tego powód? Dla Sugga był ziarnkiem pyłu, bez znaczenia, a to, gdzie i kiedy się udawał, nie powinno mieć dla Hirama żadnego znaczenia.

Jednak Bobowi utkwiło w pamięci, że widok jego osoby opartej o ścianę stacji, nieco zachwiał samozadowoleniem Sugga. Być może mężczyzna domyślił się, co tu robi. Ale jeśli nawet, to nie powinno go to zmartwić. Pewnie powinien się ucieszyć, gdyby Bobowi udało się sprowadzić przybysza z powrotem i wpędzić Hickorych w kłopoty.

Rozdział 8
Niewiele brakowało

Bob zaszedł do Buffalo Skull Corral, aby upewnić się, że jego koń dostał wystarczającą ilość siana. Na miejscu był nocny stróż, niski mężczyzna o ściągniętej, ziemistej twarzy i cienkim podbródku.

Powiedział „Doberek!" i oparł się o narożny słupek boksu, podczas gdy Bob wszedł do środka, aby sprawdzić, czy jego wierzchowiec znajdował się pod dobrą opieką.

— Jak się masz, Blaze? — spytał zwierzę.

Koń udał, że podgryza go w rękę, po czym wtulił mu nos w ramię. W żłobie wciąż było mnóstwo siana.

Zanim Bob wyszedł, rzucił pytanie, które zadawał ze dwadzieścia razy w ciągu ostatnich dwóch dni.

— Czy widziałeś tu może pewnego nieznajomego, faceta o nazwisku Todd, który niedawno przyjechał krytym wozem ciągniętym przez muła i białą klacz? Ma żonę i jedno dziecko, małego chłopca.

Chuda szczęka opiekuna zwierząt opadła.

— C… Czego od niego chcesz? — wykrztusił.

Bob nie odpowiedział. Zatrzymał się gwałtownie przed boksem, a jego wzrok padł na dużego gniadego konia z białymi skarpetami.

— Czyj to koń? — zaczął się dopytywać po chwili oględzin.

— Nie wiem. Moja zmiana zaczęła się pół godziny temu. Koń był już tutaj, kiedy przyszedłem. Czego chcesz od Todda?

Patrząc na pracownika zagrody i dostrzegając niepokój w jego załzawionych oczach, Bob wiedział, że znalazł człowieka, którego tak długo poszukiwał. Lecz widok gniadego wałacha Jake'a Hickory zmienił lub przynajmniej zmodyfikował jego najbliższe plany.

— Doc Taylor prosił, żebym powiedział „Cześć!", gdybym go spotkał — powiedział.

Woźnica okazał przebłysk słabego temperamentu.

— Czy on się boi, że nie dostanie tych dziesięciu dolarów, które mi pożyczył?

— Och, czy to pan Todd? — Bob zapytał łagodnie. — Nie, nic z tych rzeczy. Doktor nigdy nie przejmuje się brakiem zapłaty. Zainteresował się pańską rodziną, a wiedząc, że zmierzam w tę stronę, poprosił mnie, abym się z panem zobaczył, żeby dowiedzieć się, jak pan sobie radzi.

Todd był zawstydzony tym, co powiedział chwilę wcześniej.

— Doktor Taylor jest naprawdę w porządku. Zapłacę mu, nawet jeśli będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu — zapewnił Lee. — Proszę mu powiedzieć, że mam pracę i za jakiś miesiąc na pewno otrzyma pieniądze.

— Gdyby tu był, pewnie powiedziałby panu, żeby się pan nie śpieszył. — Kowboj zmienił temat. Pomyślał, że dobrym pomysłem będzie przekazanie Toddowi informacji, która wzruszy nieco jego sumienie. — Ten Indianin Hightower, ten, który zabił Sama Hickory, miał proces tuż przed moim wyjazdem z Narodu.

Jabłko Adama wędrowca podskakiwało w górę i w dół.

— Jak on się skończył? — spytał żałośnie, a w jego oczach odbijał się strach przed tym, co usłyszy.

— Uznano go za winnego. Zostanie zastrzelony siedemnastego września.

— Mój Boże! — jęknął Todd. — Przecież on go zabił w obronie własnej.

— Pięciu świadków powiedziało coś zupełnie innego.

— Byłem tam i wszystko widziałem.

— To dlaczego nie było pana na procesie?

Todd nie odpowiedział. Jego instynkt samozachowawczy dał o sobie znać. Nie znał tego człowieka. Już i tak za dużo powiedział.

— Powiem panu dlaczego — kontynuował Bob. — Z powodu Hickorych. Zaczęli pana straszyć i dali panu do zrozumienia, że jeśli będzie pan zeznawał, nie dożyje pan dnia procesu.

— Nie jestem rewolwerowcem — usprawiedliwiał się żałośnie Todd. — Co miałem zrobić? Człowiek musi myśleć o swojej rodzinie, prawda?.

— Musi bronić tego, co słuszne — odpowiedział Bob. Czuł dziwną pogardliwą litość dla tego małego człowieczka, który został złapany w kleszcze losu i nie miał dość siły, aby się z nich wydostać. Niesprawiedliwe było obwinianie go za słabość, której nie był w stanie pokonać. — Ale Cle Hightower jeszcze nie umarł. Niektórzy z jego przyjaciół wciąż mają nadzieję na jego uratowanie.

— Chciałbym, żeby im się to udało! — zawołał żarliwie mały przybysz. — Czułbym się o niebo lepiej.

— Wiem, że tak — potwierdził łagodnie Bob i uznał, że rozsądnie będzie chwilowo zmniejszyć presję. — Jak się ma pański chłopiec?

Wyblakłe oczy przybysza rozjaśniły się.

— Ma się dobrze. Tak jak powiedział doktor, potrzebował tylko dobrego jedzenia.

— Może wpadnę go zobaczyć, żeby powiedzieć doktorowi, jak wygląda.

— Pańska wizyta byłaby przyjemnością. Mieszkam na południe od miasta przy młynie. W małym domku z darni, tuż za nim.

— Więc pewnie zobaczymy się przed moim wyjazdem. — Bob osiodłał Blaze'a. Postanowił trzymać konia w bardziej dogodnym miejscu, nie tak blisko wierzchowca Jake'a Hickory. Niewykluczone, że będzie musiał wyjechać z miasta w pośpiechu, a w takim przypadku kilka sekund może stanowić różnicę między życiem a śmiercią.

— Myślałem, że zostaje pan na noc — powiedział Todd.

Bob wyjaśnił od niechcenia.

— Często zmieniam zdanie. Nie wiem, czy zostanę, czy nie. W każdym razie rozliczę się z panem teraz za paszę.

Pojechał z powrotem do miasta i przywiązał konia w ciemnej uliczce za sklepem z narzędziami. Nieustannie jego oczy przeszukiwały cienie, by

upewnić się, czy nie czyha na niego żaden wróg. W jego głowie kołatało się jednak jeszcze jedno pilne pytanie. Czy to przypadek, że Sugg i Hickory byli tutaj razem? Nie sądził. Czy Jake śledził Sugga, aby zastrzelić go z zasadzki? Był ponurym, żądnym zemsty brutalem. Bez wątpienia upokorzenie z powodu pogardliwego usadzenia go przez innego człowieka, rozprzestrzeniało się po jego organizmie jak trucizna, aż nic poza mordem nie mogło zmazać hańby.

W takiej sytuacji pierwszym obowiązkiem, jaki leżał przed Bobem, byłoby ostrzeżenie Sugga, drugim stanięcie u jego boku w razie ataku na niego. Jake Hickory oczywiście nie przyjechał sam. Zwyczajem członków gangu było podróżowanie dwójkami, jeśli nie w większych grupach. Bob pomyślał, że warto byłoby się dowiedzieć, ilu z nich jest obecnie w Tecumseh.

Lee spał pod gołym niebem setki razy, ale gdy miał w pobliżu łóżko, wolał spać w nim. Wynajął wcześniej pokój w hotelu i teraz do niego wrócił. Jego pomysł polegał na tym, aby położyć się na łóżku i dokładnie sobie przemyśleć, co dalej zrobić. Jeśli Hickory i Sugg snuli wspólnie jakieś intrygi, ważne było, aby dowiedzieć się, o co chodzi. Nie było pilnej potrzeby, aby natychmiast odwozić Todda z powrotem do hrabstwa Boggy River. To mogło parę dni poczekać.

To, co go najsilniej pchało do pokoju, dotyczyło wydobycia rewolweru ze zwiniętego posłania biwakowego, które zostawił w hotelu. Gdyby miał broń w zasięgu ręki, czułby się bardziej ubrany. Generalnie rzecz biorąc, broń była kłopotem. Nosiły ją tylko dzieciaki i źli ludzie. Lecz mając w pobliżu Hickorych, sytuacja wyglądała inaczej.

Przeszedł przez hol hotelowy i wszedł po schodach. Kiedy skręcił za róg na półpiętrze, zobaczył stojącego w holu nad nim człowieka, w świetle lampy węglowo-naftowej, która spoczywała na uchwycie przymocowanym do ściany. Człowiekiem tym był młody Cass Hickory. Najwyraźniej wahał się, czy pójść korytarzem w prawo, czy w lewo.

Bob pozostał w ciemnościach klatki schodowej, dopóki Cass nie podjął decyzji i nie skręcił w lewo, po czym natychmiast cichutko ruszył za nim na wyższe piętro. Wychylił do przodu głowę, aby zobaczyć, dokąd zmierza Cass, jednocześnie uważając, aby nie znaleźć się w kręgu światła lampy.

Cass zapukał do drzwi na końcu korytarza i chwilę później zniknął z pola widzenia. Pokój znajdował się tuż obok pokoju zajmowanego przez Lee. Bob ruszył na palcach, aż dotarł do swoich drzwi i skrył się w pokoju. Nie było kluczy. W tym kraju nie były często używane.

Kiedy zapalił lampę na stole, Bob uśmiechnął się krzywo. Jeśli któryś z Hickorych zajął sąsiedni pokój, prawdopodobnie nie wiedział, kto jest ich sąsiadem. Ale do tego czasu mogli dowiedzieć się, że w ogóle jest w mieście. W takim wypadku, mogli wypytać właściciela hotelu, dowiedzieć się, że zatrzymał się tutaj i zdobyć numer jego pokoju. To nie było zdrowe miejsce dla Boba Lee. Bezpieczniej byłoby spać w krzakach, a im szybciej stąd zniknie, tym lepiej.

Rozwiązał zwój z posłaniem, wyjął z niego swoją czterdziestkę piątkę i ponownie zwinął koce. W czasie gdy zawiązywał węzeł, usłyszał kroki na korytarzu. Kroki ucichły pod jego drzwiami, a jakiś głos oznajmił:

— Zdaje się, że to ten pokój.

W panel drzwi stuknęły czyjeś knykcie.

Bob nie odpowiedział. Jego palce zsunęły się w dół, na łóżko i podniosły leżącą tam broń. Złapano go w pułapkę. Drzwi się otworzyły i do pokoju weszli dwaj mężczyźni.

— Popełniliście drobny błąd, panowie — oznajmił lekko Bob. — Dziś wieczorem to ja zapłaciłem moje siedemdziesiąt pięć centów za ten pokój.

Tymi mężczyznami byli Rush Greer i Ed Hickory. Wpatrywali się w Lee, a w ich oczach widać było ogromne zaskoczenie. Było jasne, że jeszcze nie dowiedzieli się, że jest w mieście.

Ruda broda Greera wysunęła się do przodu.

— Co ty, do cholery, tutaj robisz? — zaczął się dopytywać.

Hickory nie odezwał się. Wrażenia zmysłowe gwałtownie zalewały jego umysł. Wesoło przechylony zniszczony kapelusz na młodej głowie - bezczelny uśmiech - szaroniebieskie oczy, spokojne i nieustraszone - pewność palców trzymających pistolet skierowany w stronę podłogi.

— To ja cię o to pytam, Rush — odparł Bob.

— Ten głupek nas szpieguje — wyrzucił z siebie Ed.

— Szpieguje was, a w jakim celu? — spytał Bob.

Ed zrozumiał, że popełnił błąd i pośpieszył, aby to ukryć.

— W żadnym. Tylko dlatego, że nas nienawidzisz. I dlatego, że woda sodowa uderzyła ci do głowy. Powinieneś wiedzieć, że włóczenie się za nami nie jest bezpieczne, ale ty nie masz ani krztyny rozumu. Koniec z tobą, Lee.

— To twoja opinia — odciął się Bob. — Wynoście się stąd!

— Pewnie! — wykrzyknął Greer i wycofał się na korytarz. Jego głos wzniósł się do poziomu krzyku. — Hej, chłopaki. Piekło się rozpętało. Ten głupek Bob Lee ma Eda.

Z sąsiedniego pokoju szybko wyskoczył Cass z bronią w ręku. Krok za nim wypadł Sugg. Podniecony głos finansisty zahuczał na korytarzu.

— Żadnej strzelaniny — rozkazał. — Ja to załatwię. — Rzucił się przed Cassa, odpychając młodszego mężczyznę na bok ramieniem. — Słuchajcie wszyscy. Odłóżcie broń. Nie strzelajcie.

Lee wciąż mierzył z czterdziestki piątki w podłogę. Widok Sugga razem z Hickorymi był zdumiewający, lecz jakoś uspokajający. Finansista będzie silnym czynnikiem uspokajającym.

— Proszę ochłodzić głowy swoich przyjaciół, panie Sugg — poradził. — Ja nie szukam kłopotów.

Grube, żylaste palce Greera zacisnęły się na nadgarstku Cassa i przytrzymały jego broń.

— Nie szalej, chłopcze — ostrzegł. — Posłuchajmy Sugga.

Słowa Sugga dźwięczały staccato.

— Żadnego zabijania, chłopcy. Nie teraz. Lee was nie szpieguje. Szuka pracy. Wyciszymy fajerwerki, jeśli zachowacie odrobinę rozumu.

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Ostry głos zaczął się dopytywać, co się tu dzieje.

Bob oznajmił z pełną ironii lekkością, która często go ogarniała, kiedy zbliżało się niebezpieczeństwo:

— Braciszek Jake zmierza na imprezę.

Jake stanął w drzwiach, czarne oczy Hickory zwęziły się z okrucieństwem, kiedy jego spojrzenie spoczęło na wrogu, z tryumfalną radością.

— Na co czekacie? — spytał. — Dlaczego go nie sprzątniecie?

Sugg szybko wtrącił.

— Nie, Jake. Nic z tego. Po prostu przejeżdżaliście przez tę okolicę. On sobie jedzie, gdzie go oczy poniosą. Przypadek, że się spotkaliście. Nikt z nas nie chce, żeby szeryfowie i przedstawiciele prawa kręcili się w pobliżu nas, prawda? To tylko pyskaty dzieciak. Odwołaj swoje polecenie. Przynajmniej na teraz.

— Jeśli nie szuka kłopotów, to czemu ma broń w ręku? — dopytywał się zaciekle Cass.

— Bo w pokoju mam pełno Hickorych do odstrzelenia — odciął się Bob. — Spokojnie, Cass. Dziś nie będę zbierał wilczych skalpów - chyba że sami będziecie się o to prosili.

Sugg wymruczał do ucha Jake’a jakąś pośpieszną radę. Jake wysłuchał ponuro. Zepchnął dłoń finansisty ze swojego ramienia, ale nie mógł nie dostrzec rozsądku tego, co mu powiedziano. Było kilka dobrych powodów, żeby nie forsować teraz tej sprawy. Jednym z nich było szaleństwo zwracania na siebie uwagi w obliczu pewnego przedsięwzięcia, nad którym pracowali. Inny polegał na tym, że w tym pełnym ludzi pomieszczeniu Lee prawdopodobnie dostałby jednego lub więcej z nich, zanim podziurawiłyby go kule.

— Żaden człowiek na świecie nie może mną pomiatać, a co dopiero taki gnojek jak on — krzyknął Jake. — Powinienem od razu posłać mu kulkę.

Bob zdawał sobie sprawę z tego, że Hickory podjął decyzję przeciwko natychmiastowemu użyciu przemocy. Powinien dać sobie spokój i nie tykać tego co dobre, lecz jakiś diabeł zuchwały zainspirował go do drwiącej odpowiedzi.

— Lepiej policz najpierw do dziesięciu, Jake.

Matowa, purpura wściekłości nabiegła pod skórą ciemnej, miedzianej twarzy Jake’a.

— Jeśli myślisz, że możesz sobie tak po mnie jeździć...

— Nigdy bym nie próbował jeździć po wielkim Jake’u Hickory.

Jake obrzucił gniewnym spojrzeniem młodzieńca, który z niego szydził. Lee stanął przed nim beztrosko twarzą w twarz, jak malutki kogucik paradujący po swoim podwórzu. Gniew dławił wręcz Hickory’ego. Z szaloną chęcią poczęstowałby ołowiem tego kogucika kowboja. Ale zdusił w sobie tę ochotę.

— Na Boga, jeśli ciągle będziesz się o to prosił.

Sugg przerwał mu.

— Impreza skończona, chłopcy, przynajmniej na dziś wieczór. Pamiętajcie o kapeluszach, kiedy będziecie wychodzić.

— Było ciekawie, póki trwało — dorzucił Bob.

— Dam ci pięć minut na opuszczenie miasta — krzyknął Jake.

— Dobra — zgodził się Bob. — Będę ruszał w drogę, ukrywając smutek z powodu rozstania z wami. Za pięć minut nie zobaczycie nic poza kurzem spod kopyt mojego konia.

— Lepiej, żeby tak było. — Jake rzucił Lee jadowite spojrzenie nienawiści i ruszył do wyjścia z pokoju.

Sugg zamknął drzwi za Hickorymi.

— Odprowadzę cię stąd bezpiecznie — powiedział.

— Myślę, że dam radę o siebie zadbać — powiedział Bob. Ale nie czuł się spokojnie, dopóki nie znalazł się w siodle i nie wjechał w zarośla na obrzeżach miasta.

Rozdział 9
Hickory jadą na północ

Bob nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Teraz, kiedy zagrożenie minęło, na jego plecach pojawiła się gęsia skórka. Jego wrogowie już dwa razy mieli go w swoich łapach. Za pierwszym razem było to zrozumiałe, dlaczego go wypuścili. Z J. A. Broderickiem u boku Boba, Jake nie odważył się zaatakować. Lecz co powstrzymało ich teraz? Nie strach przed nim. Było ich za wielu i byli zbyt twardzi, aby się wycofać z tego powodu, nawet jeśli należeli do tego rodzaju złych ludzi, którzy woleli zabijać z zasadzki. I nie powstrzymały ich żadne skrupuły.

Z jakiegoś powodu było więc dla nich niewskazane, aby się teraz go pozbywać. Dlaczego? Pewnie dlatego, że mieli ważniejsze sprawy na głowie, które mogłyby się poplątać, gdyby za bardzo rzucali się w oczy okolicznym ludziom.

Najbardziej zastanawiała go rola Sugga w tej przygodzie. Najwyraźniej Hickory przyszli do pokoju finansisty, wcześniej umówieni. Za jego wysiłkami, by powstrzymać huk armat, krył się jakiś osobisty motyw. W jego słowach kryła się pewna podpowiedź. Mówił, że nie chcą teraz zabijać, aby nie wzbudzić zainteresowania szeryfów i stróżów prawa. Bob był przekonany, że Sugg jest zimny i samolubny jak diabli. Cały czas grał na własną rękę i nie obchodziło go, co może się stać z Bobem. A jednak, aby zapobiec kłopotom, zaryzykował, że sam zostanie zastrzelony. Był w tym jakiś niejasny motyw, którego Bob nie rozumiał. Nie wiedział też, dlaczego Hickory tak bardzo ufali Suggowi.

W zaroślach Bob zatrzymał konia. Nie miał drewna na ognisko, a w każdym razie nie chciał ryzykować. Hickory byli po części Indianami, więc mogli go wytropić i zastrzelić w nocy.

Zaczął padać mżący deszcz. Spał zmarznięty pod kocem, budząc się od czasu do czasu z niewygody. Światło dopiero zaczynało sączyć się po niebie, gdy wstał i porzucił myśli o dalszym śnie. W końcu przestało padać, lecz poranek był coraz chłodniejszy. Wyciągnął palik, na którym uwiązał konia i osiodłał zwierzę. Mięśnie miał zesztywniałe i obolałe, a zimno kąsało go w ciało. Kiedy zaciskał popręg, nucił wesoło piosenkę, która zdawała się pasować do jego sytuacji.

Nie mam ukochanej,
Nie mam ukochanej,
Nie mam ukochanej
Która by siadła i porozmawiała ze mną.

Jestem biednym, samotnym kowbojem,

Jestem biednym, samotnym kowbojem,
Jestem biednym, samotnym kowbojem,
Daleko od domu.

Pojechał z powrotem do miasta i zatrzymał się w stajni, gdzie upewnił się, że Blaze zostanie napojony oraz nakarmiony, po czym wślizgnął się tylnymi drzwiami restauracji Old Trail, do kuchni. Uśmiechając się przyjaźnie, powiedział do chińskiego kucharza:

— Kawa, Charley. Gorąca.

Kucharz popatrzył na niego kamiennym spojrzeniem.

— Nazywać się Wing Lee. Ty iść do sala na przedzie i usiąść.

Bob wyciągnął w stronę przybysza z Orientu rękę ze srebrnym dolarem.

— Ja nazywam się prawie tak samo - jestem Bob Lee. Spałem na deszczu i chcę się ogrzać przy twoim ogniu. Zapomnij o sali na przedzie i pozwól mi zjeść tutaj.

Wing wsunął dolara do kieszeni.

— To cio innego — oznajmił spokojnie. — Lubić szynka, jajka, placki?

— Szaleję za nimi — zgodził się Bob.

Stanął za piecem, podczas gdy kucharz przygotował śniadanie. Przepływało przez niego ciepło i błogość. Wypił trzy filiżanki kawy, zjadł jajka, szynkę i dwa stosy gorących placków, czując się jak nowo narodzony.

— Pewnie masz żonę i dzieci w Kantonie — zaryzykował.

— Siedem — odpowiedział Wing Lee.

— Siedem żon? — spytał niewinnie Bob. — Powiedziałbym, że to całkiem spora gromadka.

— Siedem dzieci, jedna żona — zganił go mężczyzna z kucykiem. — Ja dobry chrześcijanin.

Bob dał mu kolejnego dolara, w trosce o własne zdrowie. Powiedział, że to dla małych chrześcijan.

— Nakarmiłeś dziś rano wielu obcych? — zapytał.

Wing Lee machnął kciukiem w stronę jadalni. Bob otworzył szerzej wahadłowe drzwi i rzucił okiem. Rush Greer i Cass Hickory siedzieli przy jednym stole, a Hiram Sugg przy drugim. Wyglądało to, jakby Sugg nie znał pozostałych. Jake i Ed weszli do restauracji i zajęli trzeci stolik, nie dając znaku, że znają już siedzących. Najwyraźniej nie chcieli, aby wiedziano, że stanowią jedną grupę.

— Kolejni obcy, Wing — powiedział Bob do właściciela. — Robisz niezły interes.

Wyszedł tylnymi drzwiami, okrążył sąsiedni budynek i znalazł się na głównej ulicy. Dwa konie wzbiły kurz i zmierzały w jego stronę. Bob cofnął się do jakiegoś sklepu, aby uniknąć rozpoznania. Jeźdźcami byli Bart Hickory i bezwartościowy mieszkaniec Boggy Depot o nazwisku Pill Ralston. Minęli go szybkim galopem, najwyraźniej kierując się na północ. Niezależnie od celu podróży, nie wracali do domu. Dwadzieścia minut później podążyli za nimi Rush Greer i Cass.

Bob przeszedł chodnikiem w kierunku biura dyliżansu. Później zamierzał obrać ten sam kierunek, co Hickory. Ale nie było pośpiechu. Trzy pary obcych nie mogły jechać drogą w tym słabo zaludnionym kraju, pozostając niezauważone. Będzie mógł z łatwością wyśledzić ich drogę, wypytując ludzi.

Właśnie miał odjechać dyliżans do McAlester i Krebs. Z hotelu wyszedł Sugg, niosąc swoje rzeczy. Bez wątpienia wracał do domu. Zatrzymał się na widok Boba.

— Cieszę się, że udało mi się uratować cię zeszłej nocy — powiedział gładko. — Szkoda, że Hickory stali się twoimi wrogami. Dam ci jedną radę, Lee. Jesteś młody i za bardzo uparty. Wyjedź z tej okolicy i wróć do Teksasu. Indianie potrafią nienawidzić. Nie zapominają.

— Jestem bardzo panu wdzięczny — powiedział Bob z tajoną ironią w głosie.

— To dziki kraj, niebezpieczny dla niedoświadczonego człowieka. Znałem paru ludzi, którzy zniknęli i nigdy więcej o nich nie słyszano.

— Zostali zabici przez Hickorych? — spytał Bob z niewinnym zainteresowaniem.

— Nie, nie! Oczywiście, że nie. Próbuję ci powiedzieć, że nie możesz obnosić się dokoła ze swymi wyrzutami sumienia i oczekiwać, że ujdzie ci to na sucho. Ale to twoja sprawa. Jeśli nie przyjmiesz uprzejmego ostrzeżenia od starszego człowieka, będziesz musiał pójść własną drogą.

— Sądzę, że tak będzie — zgodził się Bob. — Ale to miło z pańskiej strony, że próbuje pan upilnować takiego łobuza jak ja.

Sugg nie powiedział nic więcej. Zajął swoje miejsce w dyliżansie, a minutę później pojazd odjechał. Bob przyglądał się temu odjazdowi, ze zdziwieniem na twarzy. W powietrzu wisiał jakiś szwindel. Nie wiedział, o co chodziło, ale doszedł do wniosku, że Sugg był w to zamieszany. Ten facet był czarną owcą. J.A. nie powinien pozwolić, by ten łajdak odwiedzał Willie May. Jak tylko zobaczy starego, powie mu, jak bardzo finansista był powiązany z Hickorymi. Ale to musiało poczekać, aż będzie mógł wrócić na ranczo. Teraz miał inne kaczki do ustrzelenia.

Rozdział 10
Bob szuka śladów

Zza tylnego ogrodzenia Buffalo Skull Corral Bob Lee obserwował, jak Jake i Ed Hickory siodłają swoje wierzchowce i wyjeżdżają z miasta tą samą drogą, którą wyruszyła reszta ich grupy. Zauważył, że na placu dla wozów nie było Todda. Prawdopodobnie zmiana Arkansańczyka dobiegła końca i wrócił do domu, nawet nie wiedząc, że Hickory byli w mieście. A przynajmniej Bob miał taką nadzieję. Nie chciał, aby Todd wystraszył się i ruszył w kolejną podróż, zanim po niego wróci. Ponieważ mu się nie śpieszyło, postanowił to sprawdzić.

Kiedy dotarł do małego domku z cegły, obok młyna, Todd wciąż spał, ale chuda kobieta w połatanej sukience wieszała ubrania na sznurze. Na progu mały chłopiec bawił się ze szczeniakiem. Bob przedstawił się.

Pani Todd spojrzała na niego z urazą z opalonej twarzy.

— Szkoda, że powiedziałeś Homerowi o tym Indianinie, Hightowerze — powiedziała do niego z wyrzutem. — Kiedy tylko go zobaczyłam, wiedziałam już, że coś go strasznie zdenerwowało. Był bardzo roztrzęsiony. Nie mógł nawet zjeść śniadania. Nic nie może na to poradzić. Ja patrzę na to tak, że ma wielkie szczęście, iż ta banda Hickorych go nie zabiła, aby się upewnić, że nie będzie zeznawał przeciwko nim.

— Nie pozwolilibyśmy im na to, pani Todd — zaprotestował Bob.

Domyślił się, że zażywała tabaki, ale na jego widok ukryła to. Teraz jej ponure oczy spoglądały na niego szyderczo.

— Może by nie zaprosili szkolnych dzieciaków, żeby byli na miejscu, kiedy będą go mordowali.

Bob roześmiał się.

— My w Teksasie szybko dorastamy. Niektórzy z nas, młodych, rzucają większy cień, niż mogłoby się to wydawać.

— W każdym razie, to już koniec. Homer nie miał powodu mieszać się w takie sprawy. Jakby nie było, ten Hightower wyrządził im zło.

— Cle Hightower jest moim najlepszym przyjacielem — powiedział po prostu Bob. — Jest szczery i uczciwy, to prawdziwy mężczyzna. Każdego dnia mógłby uciec, ale tego nie zrobi. Dał słowo, że zostanie i stawi się na egzekucję, kiedy nadejdzie czas.

Wpatrywała się w niego zdumiona.

— To znaczy, że mógłby rzucić wszystko, i nie ucieknie?

— Tak. Takie jest jego wyobrażenie o honorze Choctawów. — Dodał łagodnie: — Nie wpadłby w te kłopoty, gdyby nie odwoził was w poszukiwaniu lekarza dla chorego dziecka.

Jej niezadowolenie wyraziło się w gniewie.

— Po co tu przychodzisz i zawracasz nam głowę, skoro to nie my byliśmy powodem tych kłopotów? Indianinowi to teraz i tak już nic nie pomoże. A ja mówię, że Homer postąpił słusznie, nie zostając i nie dając się zabić w awanturze, która nie była jego sprawą.

Bob nie spierał się z nią. Powiedział, że ma interesy, które wymagają od niego wyjazdu na kilka dni. Po powrocie miał nadzieję zobaczyć ich ponownie.

Położyła mu rękę na ramieniu.

— Niech pan nie myśli źle o Homerze i o mnie, panie Lee. Jesteśmy porządnymi ludźmi. Oboje czujemy się okropnie z powodu tego, co się stało z Hightowerem. Próbował nam pomóc, kiedy wpadł w tarapaty. Gdybyśmy mogli coś dla niego zrobić, z pewnością byśmy to zrobili. Gdyby miał choć trochę rozumu, uciekłby.

Młody mężczyzna pokręcił przecząco głową.

— To wykluczone. Nie ucieknie. Jedynym sposobem na uratowanie go jest zdobycie dowodów na to, że to nie on rozpoczął strzelaninę.

Jej odpowiedź natychmiast smagnęła go jak biczem. Ziemista twarz kobiety pokryła się rumieńcem gniewu.

— Nie pozwolę ci namawiać Homera, aby tam wrócił. Prawdopodobnie by ci się udało. Zamartwia się tą sprawą, od czasu gdy wyruszył z Four Corners. Gdyby tam wrócił, nic by to teraz nie dało. Trzymaj się od niego z daleka, młody człowieku.

Nie złożył jej żadnej obietnicy.

— Teraz wyjeżdżam — powiedział do niej. Zanim wskoczył na siodło, dał chłopcu dwadzieścia pięć centów na cukierki. Chłopiec wyglądał, jakby pozostawiono mu fortunę.

W Shawnee Bob dowiedział się czegoś o jadących przed nim ludziach. Dwóch z nich zatrzymało się w kuźni, aby zmienić koniom podkowy. Jeden z miejscowych poinformował Boba, że jechali do Kingfisher, aby przejąć farmę, którą właśnie zostawił im ojciec. Kowal dodał jeszcze, że mężczyźni byli Indianami, ale nie czystej krwi. Później tego dnia jeździec J A B stracił z oczu przestępców. Znajdowali się gdzieś na pustkowiu, przed nim, ale nie miał pojęcia, czy zmierzali do Guthrie czy Chandler. Kingfisher uważał za mniej prawdopodobny cel, ponieważ jeden z nich je wymienił.

Tej nocy rozbił obóz na płaskim terenie koło małego potoczku. Ognisko z gałęzi topoli posłużyło mu zarówno do gotowania, jak i do utrzymywania ciepła. W świetle gwiazd zawinął się w koc. Sen opuścił go na jakiś czas. Jego umysł zajęty był rozważaniem prawdopodobieństw. Śledzenie Hickorych było najprawdopodobniej głupim pomysłem. Przenosili się do bardziej osiadłego kraju, w którym rabunek bydła byłby bardziej niebezpieczny i mniej prawdopodobny. Po co jechać prawie dwieście mil, aby zrobić to, co można było bezpieczniej zrobić, znacznie bliżej domu?

Nagle usiadł prosto. To musiało chodzić o napad na bank lub pociąg. Nic innego nie pasowało do wszystkich elementów tej układanki. Gdyby cel tych ludzi był czymś zupełnie nieszkodliwym, jechaliby razem i nie udawaliby, że są sobie obcy. Starania Sugga o zachowanie spokoju, ich

gotowość do tego, aby mu się podporządkować, obecność tak wielu z nich, wszystko to sugerowało przedsięwzięcie zarówno niezgodne z prawem, jak i istotne.

Podniecenie zawrzało mu we krwi. Nie myślał wcześniej o jakimś tego rodzaju śmiałym i bandyckim wyczynie, lecz po namyśle skłonny był odrzucić pomysł, które rozbłysnął mu w głowie jak błyskawica. Sugg nie wziąłby w czymś takim udziału, nie z taką bandą jak Hickory. Mimo że ten człowiek pozbawiony był skrupułów, nie poruszał się po tak szalonych szlakach. Bezpieczniej było promować kopalnie, które okazywały się bezwartościowe, i wyłudzać dzierżawy od Choctawów i Czirokezów, którzy wcześniej zostali otumanieni przez alkohol. Wykorzystywał Hickorych jako politycznych gangsterów, ale bardzo to się różniło od przestępczego partnerstwa w bandyckim skoku.

Jednak, Bobowi ciągle nie pasowało to bardziej rozsądne wyjaśnienie. Nigdy nie rozumiał, dlaczego Hickory tak spokojnie przyjęli ingerencję Sugga na tańcach. To było do nich niepodobne, aby pozwolić komuś na powalenie jednego z nich na ziemię i poddać się twardym rozkazom jego pogromcy. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, Bob zaczął się zastanawiać, czy Sugg czasami nie jest przywódcą całego gangu, człowiekiem cieszącym się szacunkiem, będącym poza podejrzeniami i zdolnym do zbierania informacji o napadach, które mogłyby okazać się opłacalne. Byłby to idealny układ.

O północy, wciąż nie zasypiając, wstał, aby rozpalić ogień. Kojot na wzgórzu niedaleko uniósł swój długi nos i posłał w ciemności nocy swój przeciągły skowyt. Bob ponownie zwinął się w kłębek, opróżnił umysł z myśli i zasnął. Kiedy się obudził, słońce stało już wysoko na niebie.

Tego wieczora dotarł do Guthrie, po kilku godzinach przypadkowego kręcenia się w pobliżu miasta. Nie chciał przybywać za dnia i być może zostać zauważonym przez któregoś ze swoich wrogów. Gdyby dowiedzieli się, że tu jest, miałby małe szanse na zdobycie informacji, co zamierzają. Istniało nawet spore prawdopodobieństwo, że gdy wyjedzie z miasta, wpadnie w zasadzkę. Jeden krótki strzał z broni i byłby to jego koniec. Nikt by się nawet nie dowiedział, kto go zastrzelił. Hickory odjechaliby triumfalnie, aby dokonać zaplanowanej zbrodni.

Chociaż Bob zadał dwa lub trzy ostrożne pytania, tego wieczora nie zdobył żadnych wiadomości o ludziach, których śledził. Nie zatrzymał się w hotelu, lecz spał na sianie w stajni, w której trzymał Blaze'a. Następnego ranka zdobył informacje w sklepie z narzędziami. Jakiś rudobrody mężczyzna kupił kilka nabojów do Winchestera. Był z nim jeszcze jeden mężczyzna, ale został na dworze i pilnował koni.

— To mogli być przyjaciele, których szukam — powiedział Bob. — Ten facet z rudą brodą - możesz go jakoś opisać?

— Czerwona twarz, wyłupiaste oczy, duże beczkowate ciało.

— I taki trochę szepczący głos?

— To właśnie on. Wyjechali stąd wczoraj niedługo po południu.

— Jaką drogą jechali?

— Północną. Powiedział, że dostali pracę na kolei w Caldwell.

— Jestem zobowiązany. Jeśli szybko pojadę, może uda mi się ich złapać, zanim dotrą do granicy Kansas.

Bob stanął na chodniku przed sklepem i obserwował ruch uliczny. Wóz farmerski – grupa przewoźników - kowboje z brzęczącymi ostrogami - farmer, który przyjechał do miasta, aby kupić zapasy dla swojej rodziny - kobiety w czepkach oraz inne w atrakcyjnych marszczonych spódnicach i z bufiastymi rękawami. Nie zwracał uwagi na tych, którzy przemieszczali się tam i z powrotem. Jego myśli zaprzątało to głupie przedsięwzięcie, w które się zaangażował. W jaki sposób pomagał Cle Hightowerowi, szpiegując tych łotrów? Nie było najmniejszej szansy, aby dowiedział się czegokolwiek, co mogłoby pomóc jego przyjacielowi. Może lepiej było wrócić do Tecumseh, zabrać Todda i ruszać do domu. Miał jednak nieprzyjemne przeczucie, że zeznania przybysza, nawet gdyby złożył je dobrowolnie i bez nacisków, nie wystarczą, aby uratować Cle. Większość zeznań i tak świadczyłaby przeciwko skazanemu. Jakiś uparty instynkt w jego wnętrzu, nieustępliwy jak bijący dzwon, wciąż nakłaniał go do śledzenia Hickorych i zorientowania się, co oni planują zrobić.

Zanim Bob opuścił miasto, przypadkiem zdobył informacje o dwóch kolejnych członkach gangu. Dwóch dużych, postawnych mężczyzn, częściowo Indian, z których jeden nosił skórę grzechotnika jako opaskę na kapeluszu, zatrzymało się w sklepie z towarami przemysłowymi, aby kupić jard drukowanej tkaniny bawełnianej. Sprzedawca, od którego Lee się tego dowiedział, podał opis tych ludzi, który pasował do Jake'a i Eda Hickorych. Informacja o opasce była wystarczająco przekonująca dla Boba. Sombrero Eda ozdobione było właśnie taką skórą. Zakup bawełny był dla niego zagadką. Po co kupować jard materiału? To za mało na sukienkę, gdyby Jake chciał zrobić prezent jakiejś przyjaciółce.

Gdy Bob wychodził ze sklepu, naszedł go impuls. Zawrócił i powiedział ekspedientowi, że chciałby obejrzeć kawałek materiału, z którego wycięto ten jard. Wzór na nim składał się z gałązek pąków róż. Lee kupił pół jarda materiału. Gdy sprzedawca pakował towar, nie mógł powstrzymać swojej ciekawości.

— Co, u licha, zamierza pan zrobić z tą tkaniną? — spytał.

Bob uśmiechnął się.

— To tylko pamiątka z Guthrie.

Ponieważ sam nie wiedział, po co mu ona, nie mógł powiedzieć nic bardziej konkretnego.

Pojechał na północ, i w Mulhall czekały go sensacyjne wiadomości. Na stację wjechał właśnie pociąg pasażerski. Wiózł martwe ciało urzędnika przesyłek ekspresowych i postrzelonego w bok maszynistę. Banda rabusi zatrzymała pociąg na stacji paliwowej, dwanaście mil na północ od Mulhall, i uciekła z dużą ilością złota oraz zielonych banknotów z wagonu ekspresu. Operator telegrafu natychmiast zajął się wysyłaniem wiadomości do szeryfów i stróżów prawa z sąsiednich hrabstw oraz miasteczek.

Lee krążył wśród pasażerów i załogi pociągu, zbierając wszelkie możliwe informacje. Organizowano tu oddział pościgowy, a z Perry,

Pawnee i Stillwater nadeszły wieści, że funkcjonariusze prawa w tych miejscach także zbierają ludzi do pościgu.

Bob wyruszył samotnie na miejsce napadu.

Rozdział 11
Napad

Pasażerowie wyszli z jadłodajni w Perry i przechadzali się po peronie, podczas gdy konduktor spoglądał na zegarek. Kiedy zawołał:

— Wszyscy do wagonów! — wspięli się na stopnie.

Machnięciem ręki wprawił pociąg w ruch. Trzy minuty później słupy telegraficzne uciekały już do tyłu z prędkością trzydziestu mil na godzinę. Zanim ludzie w wagonach zdążyli przyzwyczaić się do szybkości, pociąg znów zaczął zwalniać.

— Stacja paliwowa, na której zatrzymujemy się tylko po otrzymaniu sygnału — wyjaśnił jeden z hamulcowych. — Prawdopodobnie ktoś chce wsiąść.

Maszyna ledwie się zatrzymała, kiedy rozległa się salwa wystrzałów. To był napad. Zamaskowani ludzie zapędzili pasażerów do jednego wagonu. Inni wsiedli do lokomotywy i wagonu ekspresu, trzymając pod bronią maszynistę, palacza i pracownika ekspresu, odpowiedzialnego za przesyłki.

— Chcemy transportu złota — rozkazał jeden z bandytów — i żadnych głupich numerów.

Pracownikiem ekspresu był Pat Foley. Był to stary wyjadacz, dumny ze swojej dobrej historii pracy. Głupio sięgnął po rewolwer, który miał pod ręką. Natychmiast kula przeszyła mu głowę. Poleciał do przodu, złapał się za róg kufra i osunął na podłogę.

Wielki łotr, który go zastrzelił, roześmiał się.

— Głupiego niczego nie nauczysz — stwierdził. — Do roboty, chłopcy.

Znaleźli klucze w kieszeni spodni pracownika ekspresu, otworzyli sejf i wyciągnęli z niego worki ze złotem oraz paczki banknotów. Przywódca oddał dwa strzały w powietrze, jeden za drugim, w krótkim odstępie czasu, aby dać swoim ludziom znać, że czas opuścić pociąg.

Pijany sukcesem rabuś na lokomotywie rzucił głupią groźbę. Lufa jego rewolweru szarpnęła się i wycelowała w maszynistę.

— Na Boga, mam ochotę zostawić ci kulkę w bebechach, na pamiątkę — zaszydził.

Maszynista rzucił się do ucieczki z drugiej strony kabiny. Kula trafiła go podczas skoku. Zginął na krawędzi torów.

Bandyci strzelali nieustannie, wycofując się do kępy topoli z tyłu, za cysterną z wodą. Z pociągu padł jeden lub dwa nieskuteczne strzały. Rabusie błyskawicznie objechali miejscowy staw i zniknęli w lesie.

Zostawili za sobą zamieszanie, histerię i zszargane nerwy. Pat Foley nie żył, maszynista był ciężko ranny. Pasażerowie kręcili się dokoła podekscytowani, radząc, co najlepiej zrobić.

— Pojedziemy do Mulhall — ogłosił konduktor, — a stamtąd przekażemy wiadomość do Guthrie, by lekarz przygotował się do przyjęcia Jima.

Około dwie i pół godziny później Bob Lee dotarł do cysterny. Oddział pościgowy z Perry przybył tuż przed nim. Na jego czele stał szeryf Sunderland, opalony twardy westman w białym sombrero i kowbojskich butach. Zanim został stróżem prawa, przez lata jeździł po wzgórzach. Przeczesał teren i znalazł tropy pozostawione przez bandytów. Po śladach kopyt domyślił się, że bandytów było sześciu lub ośmiu. Koło stawu, za którym zniknęli zbójcy, podniósł kawałek bawełnianego materiału, w którym wycięto otwory na oczy. Właśnie mu się przyglądał, kiedy Bob przeszedł przez teren napadu i dołączył do niego.

— Jedna z masek, które mieli na twarzach — powiedział Sunderland.

Bob nie odpowiedział. Wyciągnął z kieszeni pół jarda materiału i podał je stróżowi prawa. Sunderland porównał oba kawałki. Na obu był ten sam wzór gałązek róży. Jego zimne, stalowe oczy zaczęły wpatrywać się w młodego mężczyznę.

— Mów — rozkazał. — Kim jesteś? Skąd to masz?

— Nazywam się Bob Lee. Kupiłem to w sklepie przemysłowym Bossa i Murphy'ego w Guthrie.

— Zwracasz się przeciwko swoim kumplom? O to chodzi?

— To długa historia, szeryfie, ale myślę, że w ciągu dwóch-trzech minut będę w stanie opowiedzieć panu jej sedno — odpowiedział Bob.

— Dawaj! — warknął Sunderland.

Bob krótko opowiedział o swoich przygodach z oddziałem Hickorych.

— Hmm! — W czasie wyjaśnień Twarde, szare oczy szeryfa ani na chwilę nie oderwały się od Lee. — Chcesz, żebym uwierzył, że śledziłeś tych łotrów z zamiarem zdobycia czegoś, co mogłoby uratować twojego przyjaciela. Brzmi prawdopodobnie, co? A na dodatek jesteś dokładnie tam gdzie trzeba, z kawałkiem materiału, z którego ci faceci wycięli swoje maski. Wyciągasz go z kieszeni, jakbyś był jednym z tych magików. Za jakiego głupca ty mnie masz? Czemu miałbyś kupować kawałek tego towaru? Skąd mogłeś wiedzieć, że robią z niego maski?

— Nie wiedziałem tego — wyjaśniał Bob. — Nie wiedziałem, na co im ten towar. Dlatego kupiłem kawałek. Kiedy tamtej nocy pozostawili mnie przy życiu w Tecumseh, wiedziałem, że knują jakieś wielkie diabelstwo.

— Twoja historyjka jest pełna dziur, przez które można by przepchnąć konia — stwierdził szeryf, marszcząc brwi. Był jednak pod wrażeniem szczerości jego oczu i prostolinijnej postawy młodzieńca. Choć brzmiało to nieprawdopodobnie, istniała szansa, że mówi on prawdę. Słyszał o sprawie Hightowera, ale nie o powiązaniach z nią Lee. — Młody człowieku, zatrzymam cię, na czas kiedy będę badał tę bajkę. Jeśli będę w okolicy biura telegrafu, dziś wieczorem wyślę kilka depesz.

— Gdybym był wmieszany w te łajdactwa, po co miałbym przychodzić do pana? — spytał Bob.

— Nie potrafię powiedzieć. Może po to, żeby zbić mnie z tropu, twierdząc, że wiesz, dokąd zmierzają.

— Czy w takim razie jestem więźniem? — dopytywał się Bob.

— Zostaniesz z nami, ale nie jesteś aresztowany. — Sunderland zawołał do jednego ze swoich ludzi, małego, steranego życiem staruszka, który był w tym kraju od czasów najazdów Kiowów i Komanczów. — Sid, miej oko na tego młodego człowieka. Mówi, że nazywa się Bob Lee. Może jest w porządku. Nie jestem pewien. Ale wie cholernie dużo o tym napadzie. Domyślił się, że go spróbują.

— Tego nie powiedziałem — przerwał Bob.

— Będę zbyt zajęty, by się z nim cackać. To będzie twoje zadanie, Sid. Jeśli będzie czegoś próbował, zatrzymaj go.

— Nie jestem aresztowany, ale jeśli przyjdzie ci to do głowy, masz mnie podziurawić jak rzeszoto — wyjaśnił Bob z ciężkim sarkazmem w głosie.

— Jeśli będzie próbował uciec — poprawił się szeryf. Do Lee powiedział krótko: — Sid potraktuje cię dobrze, chyba że spróbujesz jakichś głupot. W ciągu dwudziestu czterech godzin dowiem się, czy twoja historia jest fałszywa. Do tego czasu wstrzymaj się trochę.

Zabrali Bobowi jego rewolwer. Dziesięć minut później jechał obok Sida, podążając tropem pozostawionym przez bandytów.

Przed wieczorem zaczął padać deszcz. Chmury wypiętrzyły się, a na niebie pojawiły się błyskawice. Lee wyciągnął swoją kurtkę i skulił się pod nią. Czekała ich długa, ciężka ulewa. Ślady koni, za którymi podążali, zostały zatarte.

Szeryf zatrzymał się na naradę.

— Nie ma sensu pędzić przed siebie na łeb na szyję, nie zastanawiając się wcześniej, dokąd lepiej się udać. Wygląda na to, że te ptaszki zmierzają do granicy Kansas i spodziewają się przekroczyć ją w pobliżu Caldwell. Może zatrzymamy się dziś w C Bar C?

Wszyscy oprócz Lee przyjęli tę sugestię z wdzięcznością. On sprzeciwił się jej.

— Oni nie jadą do Kansas, szeryfie. Zanim się ściemniło, ich trop zaczął skręcać na południe. Jechali tędy, żeby nas oszukać. Znam Hickorych. Teraz, kiedy zaczęło padać i nie muszą się martwić, że zostaną namierzeni, skierują się z powrotem do kraju Seminoli. Aby ich dopaść, trzeba szybko wrócić do Canadian, gdzieś w pobliżu White Chimneys, i złapać ich, gdy będą tam przejeżdżać. Jeśli będziemy jechać przez całą noc, dotrzemy tam przed nimi.

Szeryf obrzucił Boba sarkastycznym spojrzeniem.

— Zgadza się. Możemy tam dotrzeć na długo przed nimi. Tak sobie myślałem, że pewnie nadszedł czas, aby udzielił mi pan rady, panie Lee. Ale ja jej nie potrzebuję. Szlak nie skręcał na południe, tylko wiódł wokół wysokiego skalistego urwiska.

— Zacznie pan tracić czas jadąc naokoło i ich zgubi — powiedział mu Bob bez ogródek. — A ma ich pan jak na dłoni, jeśli tylko przekroczy pan Canadian. Jeśli sam pan nie pojedzie, niech pan uda się dziś wieczorem do biura telegraficznego i zawiadomi policję Creeków i Choctawów, aby ich wypatrywała. Prawdopodobnie w Krebs lub McAlester jest zastępca szeryfa federalnego. Natychmiast się tym zajmie.

— Naprawdę nie możesz się doczekać, żeby ich złapać, co? — oznajmił Sunderland z szyderczą ironią. Zaczął uważać, że jego więzień jest szpiegiem bandytów, wysłanym specjalnie, żeby zmylić pościgowi tropy. — Założę się, że wiesz, że najbliższym miejscem, skąd można wysłać telegram jest Perry, które znajduje się jakieś kilkanaście mil za nami. Będę polegał na własnym przeczuciu, młodzieńcze. Nie zawrócę.

Jechali przez deszcz, zagłębiając się w pofałdowanym terenie. Zapadła ciemność, a oni wciąż brnęli przez wąwozy i pocętkowane krowami grzbiety wzgórz. W końcu ujrzeli pod sobą światła domu ranczerskiego.

— Mam nadzieję, że nie zajmie im dużo czasu przygotowanie dla nas posiłku i gorącej kawy — mruknął jeden z członków grupy. — Jestem strasznie zmarznięty.

— Don Collins się tym zajmie — pocieszył go Sid. — To jeden ze starych hodowców bydła i świetnie postawi nas na nogi.

Wkrótce ludzie siedzieli, parując wilgocią przed dużym otwartym kominkiem. Z sąsiedniej kuchni dolatywał do nich zapach kawy i dźwięk skwierczących steków. Choć w głębi duszy Bob martwił się prawdopodobną ucieczką Hickorych, był na tyle głodny, aby cieszyć się dobrą kolacją, do której zasiadał.

Zdawał siebie sprawę z tego, że nie ma sensu dalej spierać się ze znanym mu już szeryfem. Sunderland podjął decyzję i nie zamierzał jej zmieniać. Lepiej będzie, pomyślał Bob, stępić trochę nieufność tego człowieka.

Po trzeciej filiżance kawy uśmiechnął się przyjaźnie do stróża prawa.

— Nie ma sensu, żebym się zamartwiał — powiedział. — Zrobiłem, co mogłem, żeby spojrzał pan na to z mojej perspektywy. Skoro tego pan nie zrobił, nie będę już dłużej marudził. Jak tylko mnie pan sprawdzi, przekona się pan, że ze mną wszystko w porządku. I powiem panu, że o wiele lepiej jest siedzieć pod szczelnym dachem i najeść się dobrego jedzenia, niż chlapać się całą noc w deszczu.

— I to jest właściwy sposób patrzenia na to, chłopcze — powiedział Sid.

Stary nie do końca zgadzał się z szeryfem. Chłopak mógł mieć rację. Gdyby to on był szefem, wysłałby człowieka z powrotem do Perry z depeszami do tych, których wymienił młody Lee. Nawet w najgorszym wypadku, nie przyniosłoby to żadnej szkody. A chłopak patrzył prosto w oczy, chociaż historia, którą opowiedział, nie była zbyt prawdopodobna. Nie można przecież uwierzyć, że ktoś przez wiele dni będzie jeździł za bandą łobuzów, z nikłą nadzieją na to, że pomoże to przyjacielowi, rzucając na nich cień jakiegoś przestępstwa.

Sally Collins, córka właściciela rancza, pomagała matce obsługiwać głodną grupę, podczas gdy mężczyźni jedli. Była ładną dziewczyną, nie miała nawet szesnastu lat, a historia napadu na pociąg była dla niej ekscytującą i interesującą nowiną. Cechą tej historii, która ją najbardziej zafascynowała, było coś, co jeden z mężczyzn przy stole rzucił innemu ze swoich towarzyszy. Przystojny chłopak z kręconymi włosami był podejrzewany o przynależność do bandy. Nie mogła oderwać od niego oczu. To było ekscytujące patrzeć na niego i budować wokół tego romans.

Nie wyglądał na złego człowieka. Gdyby byli na tańcach, bardzo by ją ucieszyło, gdyby poprosił ją na parkiet. Wyglądał na miłego chłopaka, pełnego zabawy i śmiechu, ale takiego, któremu matki powierzają swoje córki. Poznała to po jego przyjaznym uśmiechu.

Kiedy tylko nadarzyła się okazja, szepnęła do matki:

— Oni myślą, że jest jednym z przestępców… Ten chłopak z kręconymi włosami.

Pani Collins długo mu się przyglądała i odpowiedziała:

— Nie sądzę, żeby tak było.

Po kolacji znalazła okazję, żeby z nim porozmawiać, Sally kręciła się w pobliżu i słuchała. Bob opowiedział swoją historię i obie w nią uwierzyły.

— Nie martwię się tym, co myśli szeryf Sunderland — wyjaśnił. — Ale podczas kiedy my tu wszyscy siedzimy, gang Hickorych jedzie w bezpieczne miejsce. Nawet teraz zdołałbym może jeszcze poinformować indiańską policję i powstrzymać ich, ale oczywiście nie będę miał takiej szansy.

Ustalono, że szeryf, Sid i Bob będą spać w dużym domu, a reszta grupy zostanie zakwaterowana w baraku. Staruszek i Bob dostali pokój na piętrze. Sunderland wyjrzał przez okno. Dwadzieścia stóp pod nim znajdował się stos przechylonych, poszarpanych kamieni. Każdy, kto próbowałby uciec tą drogą, miałby trudne zadanie. Najlepsze, czego mógł się spodziewać, to złamana noga. Bob usłyszał, jak klucz przekręca się w drzwiach, gdy szeryf wyszedł.

Rozdział 12

Bob prezentuje swój przyjemny uśmiech

Siadając na łóżku, Bob ściągnął but ze stopy i upuścił go na podłogę. Jego ramiona zwiotczały z przygnębienia.

— Zgubiliśmy ich — stwierdził pozbawionym nadziei głosem. — A mieliśmy szansę złapać ich z łupem.

Sid rzucił mu zaciekawione spojrzenie.

— Ciężko to znosisz, młody — odpowiedział.

— Dlaczego miałbym znosić to łatwo? — Głos młodego mężczyzny był szorstki i pełen goryczy. — Gdybym trzymał gębę na kłódkę, gdybym nie pokazał tego kawałka materiału Sunderlandowi, mógłbym być teraz w drodze, żeby dopaść tych kolesi. Wrobili mojego przyjaciela w morderstwo, i gdybym trzymał karty przy orderach, mógłbym go uratować.

— Nie rozumiem cię — odpowiedział Sid. Wsypywał tytoń do bibułki, aby zrobić papierosa.

Bob po raz trzeci tego dnia opowiedział historię Cle Hightowera i straconej nadziei, że uda mu się go uratować. Gdyby udało mu się udowodnić, że Hickory są winni tego rabunku i morderstwa, ich świadectwa, które przedstawili przeciwko jego przyjacielowi, upadłyby z hukiem, a przynajmniej straciłyby większość ze swojej wartości.

— Sunderland ma manię wielkości — przyznał stary wyjadacz. — Jak już wbije sobie do głowy jakiś pomysł, to nie można go stamtąd wyrwać nawet końmi. No cóż, zrobiłeś wszystko, co mogłeś, a ci łajdacy jeszcze nie uciekli. Jestem zmęczony. Chodźmy spać. — Położył się na łóżku, ziewnął pół tuzina razy, zamknął oczy i od razu zaczął chrapać.

Bob nie spał. Leżał wpatrując się w sufit, a w jego głowie kłębiły się zafrasowane myśli. Nie widział żadnego wyjścia z tej sytuacji.

Jego uwagę zwrócił odgłos przy drzwiach. Usłyszał chrobot przekręcanego klucza. Ktoś wszedł na palcach do pokoju i znalazł się w świetle księżyca wpadającym przez okno.

Była to Sally Collins. Trzymała palec wskazujący na ustach, aby nakazać mu ciszę. Jej błyszczące oczy spotkały się z oczami Boba. Przywołała go machnięciem ręki i bezszelestnie ruszyła do drzwi.

Bob zsunął się z łóżka i bardzo cicho wciągnął spodnie. Chrapanie Sida ustało. Popatrzył na swojego towarzysza i zobaczył, że Sid nie śpi i obserwuje go. Gdy tylko mężczyzna podniesie krzyk, jego szansa na ucieczkę przepadnie.

Ale Sid nie odezwał się ani nie zaczął krzyczeć. Uśmiechnął się. Zamknął oczy i odwrócił się twarzą do ściany. Chrapanie rozległo się na nowo.

Więzień założył płaszcz i podniósł buty, po czym wyszedł z pokoju cicho stawiając stopy. Sally powoli zamknęła drzwi i podała Bobowi rękę. Poprowadziła go ciemnym korytarzem na dół. Wyszli z domu przez kuchnię.

Deszcz przestał padać, a na niebie pojawiły się gwiazdy, choć chmury wciąż się kłębiły.

Sally puściła jego rękę.

— Mój koń jest w stajni — szepnęła — deresz z białymi pończochami.

Złapał jej małą dłoń w obie swoje i mocno ją ścisnął.

— Niech cię Bóg błogosławi — mruknął. — Nigdy ci tego nie zapomnę.

Zarumieniła się i zabrała dłoń.

— Na pojemniku na owies jest paczka kanapek — powiedziała mu.

— Mam nadzieję, że nie będziesz miała kłopotów przez to, co dla mnie zrobiłaś.

— To nie ma znaczenia. — Popatrzyła mu ufnie w twarz. — Wiem, że twoja historia jest prawdziwa.

— To prawda. — Szukał słów, by zrozumiała, jak bardzo jest jej wdzięczny za jej pomoc. Żadna dziewczyna nigdy wcześniej nie zrobiła czegoś tak odważnego i szczodrego. Jej ciepła, porywcza młodość, zapał w łagodnych, brązowych oczach sprawiły, że ogarnął go blask szczęścia. Nigdy więcej jej nie zobaczy, ale te kilka minut pozostanie w pamięci obojga tak długo, jak długo będą żyli. — Jesteś w porządku i odważna z ciebie dziewczyna. Nie da się wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

— Powiedziałeś mi to — odparła z nieśmiałym zakłopotaniem. — Co do konia: jeśli puścisz go gdziekolwiek w promieniu czterdziestu mil, wróci do domu.

Szybko odwróciła się i pobiegła do kuchni. Usłyszał, jak zasuwa zamyka się ze stuknięciem.

Kanapki włożył do torby przy siodle. Pięć minut później wyprowadzał deresza z podwórza. Dosiadł konia i podjechał do granicy terenu, na którym pasło się bydło C Bar C. To był dla niego nowy kraj. Najlepsze, co mógł zrobić, to zgadywać kierunki jazdy. Nie wiedział, jakie mogą być tu szlaki lub drogi. Jeśli pójdzie dalej na południe i wschód, natrafi na linię kolejową. Wtedy będzie już wiedział, gdzie jest.

Choć namawiał szeryfa, aby udał się na posterunek i zawiadomił indiańską policję, by wypatrywała rabusiów, Bob sam nie miał zamiaru tego robić. Sunderland podniesie za nim krzyk, a on nie chciał rozgłaszać swojego miejsca pobytu. Musiał koniecznie dotrzeć do Canadian, nie dając się schwytać. W tym celu musiał w miarę możliwości unikać miast i zaopatrywać się w żywność na osamotnionych farmach i ranczach.

Koń Sally był dobrym wierzchowcem, pewnym, silnym i chętnym do jazdy. W miarę upływu nocy kilometry ubywały jeden za drugim. Dwa razy Bob zatrzymał się, by odpocząć. Gdy dotarł do linii kolejowej, na niebie pojawiło się słabe światło poranka. Przypuszczał, że trafił na tory cztery lub pięć mil na północ od Muthall. Aby uniknąć tej osady, skręcił ostro w lewo i wczesnym popołudniem dotarł do Cimarron, na wschód od Guthrie.

Natknął się na stado pasących się koni i po raz pierwszy w życiu kusiło go by osiodłać jedno z cudzych zwierząt. Jego deresz był zmęczony po

przebyciu prawie czterdziestu mil. Co więcej, chciał wypuścić zwierzę niezbyt daleko od miejsca, w którym zwykle przebywało. W tej chwili jednak nie mógł sobie pozwolić na to, aby uznano go zarówno za koniokrada, jak i rabusia pociągów.

Kawałek dalej na prerii zobaczył wiatrak i drewniany dom. Podjechał przez gęstą preriową trawę i kłęby dzikiego grochu do chaty. Dwóch ludzi rozmawiało przy bramie zagrody. Jeden z nich opierał się o koło krytego wozu, a drugi naprawiał splątane druty biednej bramy[1].

Przerwali rozmowę, by obserwować zbliżającego się Boba. W wozie znajdowała się kobieta i trójka dzieci, więc łatwo było zgadnąć, że jeden z mężczyzn był przybyszem. Drugi najwyraźniej osiedlił się tu niedawno.

Wymienili się pozdrowieniami, po czym Bob zapytał osadnika, czy zna w pobliżu dobrego konia wierzchowego na sprzedaż.

— Chcesz wymienić swojego na świeżego? — spytał farmer.

— Nie, chcę go kupić.

Mężczyzna natychmiast się zainteresował.

— Za gotówkę?

— Taki mam zamysł.

— Możesz mieć za sześćdziesiąt dolarów tego jeleniowatego. — Właściciel zwierzęcia wskazał na konia przy korycie.

Bob dokładnie obejrzał zwierzę. Pięć minut później kupił go za czterdzieści dwa dolary plus pół worka tytoniu do palenia, który akurat miał w kieszeni. Umówił się też z przyjezdnym, że uwiąże deresza z tyłu swojego wozu i puści go luzem po drugiej stronie Mulhall.

— Zamierzasz przeprawić się przez rzekę? — spytał Lee farmer.

— Tak. Kieruję się dalej, do kraju Choctawów.

— Musisz uważać. Ruchome piaski są obecnie bardzo zdradliwe. Około trzech mil w dół rzeki jest niezły bród. Ten koń, którego właśnie kupiłeś, potrafi dobrze pływać, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Nawet w miejscu brodu koryto rzeki było prawie pełne. W tym miejscu rzeka była szeroka i jeleniowaty mógł przez większość drogi przez nią trzymać się dna. Lecz w pobliżu południowego brzegu, gdzie prąd był najsilniejszy, trafił się odcinek trudnego pływania. Wałach spełnił daną przez farmera obietnicę. Kiedy wydostał się z wody, jego nowy właściciel był zadowolony z zakupu.

Przez całe popołudnie Bob przemierzał niezamieszkały kraj. Raz zobaczył w oddali kryty wóz. Nie było żadnych śladów stałych mieszkańców, z wyjątkiem dwóch lub trzech ogrodzeń z drutu kolczastego postawionych przez rancza dzierżawiące teren. Jego nocny obóz wypadł nad Dry Fork, gdzieś pomiędzy Chandler oraz Agencją Saców i Foxów.

Następnego dnia przekroczył północną odnogę rzeki Canadian. Pod wieczór natknął się na kowbojów pracujących dla rancza Wagon Wheel i spędził noc w ich obozie. Nie słyszeli jeszcze o napadzie na pociąg, ani nie widzieli żadnych podejrzanych ludzi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin jazdy w kierunku ziemi Narodu Choctawów.

[1] Biedna brama składała się z trzech drutów, umocowanych na drewnianych tyczkach na bokach i pośrodku (przyp. Autora).

— Z wyjątkiem jednego — rzucił duży blond kowboj, uśmiechając się do Lee.

— Hickory to wielkie, krępawe, półkrwi, wrednie wyglądające sukinsyny, a nie tacy mili ludzie jak ja, z twarzą jak list polecający — oznajmił skromnie Bob.

— Myślicie, że lepiej byłoby przeszukać tego gościa, żeby sprawdzić, czy nie ma przy sobie jakichś dziesięć tysięcy dolców w gotówce? — spytał swych kompanów inny z ludzi w nogawicach.

— Mam przy sobie trzydzieści dolarów i cztery miedziaki — wyjaśnił Lee. — Tak twierdzę. Zapraszam po pozostałe dziewięć tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć dolarów i cztery miedziaki - jeśli uda wam się je znaleźć.

To, że nikt, kogo pytał, nie widział nic o Hickorych, nie zdziwiło Boba. Podróżował szybko i wierzył, że wyprzedził bandytów.

W pobliżu Wewoki spotkał członka policji Creeków i ostrzegł go, aby wypatrywał złodziei pociągów. Sądził, że gang rozdzieli się w tym miejscu i resztę drogi do domu pokona w parach. Do tego czasu będą uważali, że są zupełnie bezpieczni przed pościgiem.

Bob przeprawił się promem przez Canadian w pobliżu White Chimneys, przejechał przez Shawnee Hills i późnym popołudniem dotarł do McAlester.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, był zakup w sklepie z narzędziami pistoletu Colt czterdzieści pięć i amunicji. Od niechcenia zapytał, czy w mieście jest obecnie zastępca szeryfa Stanów Zjednoczonych. Sklepikarz powiedział, że widział Whita Carsona na ulicy dwie godziny wcześniej. Bardzo prawdopodobne, że będzie w hotelu na kolacji. Zwykle zatrzymywał się tam, gdy był w mieście.

Bob odwrócił się, by wyjść ze sklepu i zatrzymał się. Z afisza na ścianie rzuciło mu się w oczy jego nazwisko. Zaskoczone spojrzenie młodego kowboja omiotło wiszący arkusz papieru.

100$

NAGRODA

Za aresztowanie Boba Lee

Poszukiwany za udział w napadzie na pociąg z Santa Fe w pobliżu Perry, 22 sierpnia. Kiedy widziano go po raz ostatni, miał na sobie kowbojskie buty i kapelusz, szare dżinsowe spodnie, niebieski płaszcz i kamizelkę w drobną kratkę. Prawdopodobnie zmienił nazwisko. Lee jest niski, szczupły i żylasty. Niebieskie oczy, kręcone brązowe włosy, przyjemny uśmiech. Doskonałe zęby. Ma dobre maniery. Nie był uzbrojony, kiedy widziano go po raz ostatni, ale prawdopodobnie od tego czasu zdobył sobie broń. Może okazać się niebezpieczny, jeśli zostanie osaczony.

Lee przeniósł spojrzenie z afisza na sklepikarza i zobaczył, że ten wpatruje się w niego z otwartymi ustami. Wiedział, kim był klient, który właśnie kupił rewolwer i amunicję. Opis był zbyt dokładny, aby go pomylić z kimś innym.

Obaj spoglądali na siebie w długiej ciszy, którą Bob przerwał jako pierwszy.

Przyjemny uśmiech, wspomniany na plakacie, rozjaśnił jego twarz.

— Przedstawię się — powiedział. — Bob Lee, kowboj pracujący dla J A B w Boggy. Sądzę, że pan to pan Emery.

— Tak — odpowiedział jego rozmówca, niezbyt pewnie. Nie chciał mieć kłopotów z desperatem, nawet jeśli ten miał dobre maniery.

— Jak bardzo chce pan zdobyć te sto dolarów, panie Emery? — zapytał beznamiętnie Bob.

— Nie jestem… zainteresowany… aresztowaniem ludzi.

— To świetnie. Będziemy się dobrze dogadywać. — W niebieskich oczach kowboja pojawił się zuchwały błysk. — Ale tuż pod moim opisem jest napisane, że dobrzy obywatele, którzy wiedzą, gdzie jestem, powinni skontaktować się z najbliższym funkcjonariuszem prawa lub napisać do szeryfa Sunderlanda. Czyż nie jest pan dobrym obywatelem, panie Emery?

— Nie szukam kłopotów. To nie moja sprawa. Niech szeryf Sunderland sam sobie pana szuka, jeśli ma taką ochotę.

— Żałuję, że mam taką podejrzliwą natury, panie Emery — powiedział wesoło Bob. — Założę się jednak o sześć centów, że potrafię czytać w myślach. Zastanawia się pan obecnie, ile czasu minie, zanim będzie można bezpiecznie wymknąć się tylnymi drzwiami i pobiec do hotelu na krótką rozmowę z szeryfem Whitem Carsonem. Skoro i tak się pan tam wybiera, chciałbym, żeby przekazał mu pan wiadomość ode mnie. Proszę mu powiedzieć, że ten napad na pociąg z Santa Fe to robota Hickorych. Prawdopodobnie są teraz w odległości dwudziestu mil od Canadian i zmierzają do domu. W napadzie brało udział sześciu ludzi, czterech Hickorych, Pill Ralston i Rush Greer. Nie pan nie zapomni nazwisk. Proszę mu powiedzieć, że wiem to na pewno. Nie ma potrzeby tracić na mnie czasu. Jeśli zadepeszuje do J.A. Brodericka z rancza J.A.B., najbliższy urząd pocztowy koło Atoka, w ciągu dwudziestu czterech godzin otrzyma dla mnie poświadczenie o mojej uczciwości.

Bob zszedł z lady, przy której siedział i pokazał swoje doskonałe zęby w kolejnym miłym uśmiechu.

— Niezła oracja. Założyłbym się, że wybiorą mnie do Kongresu. Na razie, panie Emery. Proszę pozdrowić ode mnie szeryfa Whita Carsona. Ale niech pan się nie śpieszy. Lepiej niech pan nie wychodzi ze sklepu przez jakieś dziesięć minut.

Bob sam wyszedł ze sklepu, pociągnął za węzeł, którym przywiązał jeleniowatego do konowiązu, i wyjechał z miasta. Żałował teraz, że nie zatrzymał się w restauracji i nie zjadł czegoś przed wejściem do sklepu Emery'ego. Teraz stracił na to szansę. Żołądek miał pusty jak worek pocztowy. Było już jednak za późno, aby cokolwiek z tym zrobić.

Rozdział 13
Nocne ognisko

Zaraz jak tylko Bob minął ostatnie domy McAlester, puścił konia w galop. Było bardzo prawdopodobne, że Whit Carson wyruszy za nim, kiedy tylko Emery opowie mu swoją historię. Ponieważ wierzchowiec Boba pokonał od świtu wiele mil, nie byłby w stanie wytrzymać długiego pościgu. Lepiej było wślizgnąć się w zarośla i pozostać w ukryciu. Alternatywą było poddanie się Carsonowi i wyłożenie wszystkich kart na stół. Już raz tego próbował i eksperyment ten stał się dla niego poważnym ostrzeżeniem. Bob potrzebował teraz wolności. Gdyby pozwolił się zamknąć w więzieniu, Hickory prawdopodobnie bezpiecznie dotarliby do swojej kryjówki.

Był rozdarty między dwoma planami. Jednym z nich była jazda z powrotem do J A B, zebranie nieoficjalnego oddziału pościgowego spośród jeźdźców rancza i próba przechwycenia bandytów, gdy będą wjeżdżali do kraju Hackberry Creek. Druga opcja polegała na patrolowaniu brodów na Canadian, próbie dowiedzenia się, do której ze swoich kryjówek udadzą się bandyci, a dopiero potem skontaktowaniu się z przyjaciółmi. Niezależnie od tego, co wybierze, szansa na porażkę była znacznie większa niż prawdopodobieństwo sukcesu. Postanowił jeszcze przez kilka godzin grać samotnie.

Bob skręcił w zarośla, zmierzając w kierunku wzgórz Shawnee. Zamierzał wrócić nad rzekę, rozbić na noc obóz, a o świcie zacząć rozpytywać o grupy przeprawiające się przez jej nurt.

Znajdował się na obszarze niższych wzgórz, poruszając się wzdłuż jednego z grzbietów, kiedy gdzieś w dole pojawił się odblask światła. Pomyślał, że to musi być ognisko i obserwował je przez chwilę. Zsunął się z siodła, uwiązał konia i ruszył w dół zbocza prowadzącego od wierzchołka wzgórza. Wkrótce stanął na niewielkim urwisku, skąd znów mógł zobaczyć światło. Był już na tyle blisko, że dało się dostrzec sylwetki siedzących przy ognisku ludzi.

Bardzo ostrożnie podkradł się jeszcze bliżej, wykorzystując zagłębienie terenu, które skryło jego podejście. Kiedy ponownie zobaczył obóz, był już tak blisko, że mimowolnie schował głowę za krzakiem, by nie zostać zauważonym, choć w chwilę później zdał sobie sprawę, że znajduje się w mroku, poza blaskiem ognia.

Serce mu podskoczyło. Naprzeciwko Boba na piętach kucał Ed Hickory. Mężczyzna wyciągnął rękę, wziął gałąź z ogniska i zapalił żarzącym się końcem gałęzi fajkę. Obok niego leżał, twarzą do dołu i z brodą na rękach, Rush Greer. Phil Ralston dokładał do ognia. Czwarty obozowicz był

odwrócony plecami do Boba i obserwator go nie rozpoznał. Młody Cass Hickory właśnie wyszedł z zarośli i dołączył do pozostałych.

Przestępcy nie podejmowali żadnych środków ostrożności przed atakiem, poza tym, że przez cały czas nosili broń boczną. Najwyraźniej uważali, że wymknęli się pościgowi i są bezpieczni przed ludźmi szukającymi bandytów. Po drugiej stronie Canadian, sto pięćdziesiąt mil od miejsca zbrodni, nikt nie podejrzewał tożsamości rabusiów, czuli więc, że nie mają się specjalnie czego obawiać.

Do uszu Lee docierały urywki rozmów, wyrwane ze zdań frazy. Dowiedział się, że Jake i Bart odłączyli się od reszty, aby ich grupa nie rzucała się w oczy ze względu na swoją liczebność i że jutro Greer i Ralston także zamierzają oddzielić się od swoich towarzyszy.

Mężczyzna odwrócony plecami do Boba pochylił się do przodu i mówił coś przyciszonym głosem. Wydawało się, że wydaje jakieś instrukcje. Bob nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdyby udało mu się podkraść się w ciemności nieco bliżej, mógłby zidentyfikować niewyraźną postać.

Cass przerwał mu niecierpliwie, nie zadając sobie nawet trudu, aby zniżyć głos.

— Do diabła, po co tyle środków ostrożności? Nic nam nie grozi. Nikt nas nie rozpoznał. Byliśmy zamaskowani. Czas zacząć się bawić. Pojadę do Shreveport, i mam zamiar solidnie zaszumieć. — Wstał, przeciągnął się, ziewnął i oznajmił, że zamierza zawinąć się w koc i iść spać.

Bob wiedział, że niektórzy z nich pójdą w jego stronę, aby zmienić miejsce, w którym pasły się konie. Nadszedł czas, by stąd zniknąć. Wgramolił się z powrotem do zagłębienia za sobą.

Zaskoczony głos zawołał:

— Co to?

Cass roześmiał się drwiąco.

— Któryś z koni się poruszył. Jesteś najgłupszym złodziejem pociągów, jakiego spotkałem, Pip.

Przez pierwsze sto metrów Bob wycofywał się ostrożnie, lecz potem zaczął szybko pokonywać teren. Odwiązał konia i dosiadł go.

— Muszę wracać do McAlester — powiedział do wierzchowca. — Potem pozwolę ci na długi odpoczynek. Dużo od ciebie wymagam, ale tak musi być, stary.

Zanim dotarł do drogi, pięćdziesiąt metrów po lewej minął go jeździec. Usłyszał, jak jego koń przedziera się przez zarośla. Odgłos jego przejazdu rozmył się w mroku przed nim. Nocny jeździec zmierzał do McAlester.

Kilka godzin później Bob zostawił swoje zmęczone zwierzę w stajni z dokładnymi instrukcjami dotyczącymi karmienia i pojenia. Poszedł na stację i zastał operatora telegrafu drzemiącego na krześle. Pociąg był opóźniony z powodu powodzi i nie mógł przejechać, dopóki woda nie opadnie.

Zaspany przeczytał wiadomość napisaną przez Boba. Była zaadresowana do Bena Austina w Atoka. W wiadomości prosił Bena o powiadomienie wszystkich zastępców szeryfa Stanów Zjednoczonych w okolicy oraz indiańskiej policji, że Hickory obrabowali pociąg z Santa Fe w

pobliżu Perry i zmierzają do swoich kryjówek. Bandyci prawdopodobnie przejadą przez Atoka w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Oczy operatora nie były już takie zaspane. Wpatrywał się w Lee z niedowierzaniem.

— Czy to jakiś żart? — spytał z oficjalną surowością.

— Nie, proszę pana. Zwykła rzecz. Czy ja wyglądam, jakbym chciał tutaj urządzać sobie jakieś żarty?

Telegrafista przyjrzał się jego zapadniętym oczom, nieogolonej twarzy i ogólnie nieciekawemu wyglądowi. Kurz wbił się w każde zagięcie jego pomiętego ubrania.

— Nie chcę zostać zwolniony, bo dałem się nabrać na czyjś głupi kawał — wyjaśnił mężczyzna.

— Nie zwolnią pana — obiecał Lee. — Ale jeśli szybko nie zacznie pan stukać tym kluczem, to na pewno straci pan pracę.

— Tak pan mówi.

Bob wyjaśnił cierpliwie.

— Drogi panie, śledziłem te ptaszki przez trzysta mil. Wiem, o co mi chodzi. Musiał pan słyszeć o Hickorych.

— O nich słyszałem, zgadza się, ale nie wiem kim pan jest.

— Czy potrzebuję listu od prezesa linii kolejowej, zanim będę mógł wysłać telegram? — zapytał Bob. Jego gniew nagle opadł. — Proszę się nie nadymać i wysłać tę wiadomość, zanim pana oskalpuję.

Operator popatrzył w zimne i twarde oczy rozmówcy. Myślał, że ma do czynienia z chłopcem, ale teraz zmienił zdanie. Czuł się jak sflaczały balon.

— W porządku, w porządku — powiedział. — Niech będzie.

Ze stacji Bob poszedł do hotelu. Zawołał na recepcjonistę, a gdy ten się pojawił, wciąż mrugając oczami, powiedział, że chce się widzieć z Whitem Carsonem.

— Nie może się pan z nim teraz zobaczyć — powiedział hotelarz. — Śpi. Wrócił godzinę lub dwie temu z pościgu za jakimś facetem i od razu poszedł spać.

— W którym jest pokoju?

— Nieważne, w którym. Jeśli ma pan do niego jakąś sprawę, proszę przyjść rano. Właśnie dochodzi pierwsza.

Bob nie miał czasu na kłótnie. Sięgnął ręką przez ladę po tego człowieka, złapał go mocno za szyję i pociągnął do przodu.

— W którym jest pokoju?

Recepcjonista z sapnięciem złapał oddech.

— Jest w pokoju numer 17.

— Proszę mnie tam zaprowadzić — rozkazał Lee.

Zmaltretowany młody mężczyzna rozmasował gardło i przełknął dwa lub trzy razy.

— Carsonowi się to nie spodoba — wyjąkał.

— To moja sprawa. Zbieraj pan się.

Poszli korytarzem do pokoju szeryfa. Urzędnik miał rację. Szeryf Carson nie lubił być budzony i kiedy podszedł do drzwi, oznajmił to wulgarnie. Po spędzeniu w siodle większości dnia i połowy nocy miał ochotę się przespać. O co do cholery chodziło?

— Przyniosłem panu sto dolarów, panie Carson — oznajmił łagodnie Bob.

— Nie żartuj sobie ze mnie, młody człowieku. Nie jestem w humorze. Kim pan w ogóle jest?

— Nazywam się Bob Lee.

Szeryf uniósł wyżej trzymaną w dłoni lampę i obejrzał sobie swojego gościa. Właśnie wrócił z jego poszukiwań.

— Wejdź — oznajmił w końcu.

Bob wszedł do środka. Recepcjonista już zniknął. Lee przyjrzał się swojemu gospodarzowi, gdy ten zakładał spodnie. Widział krępego mężczyznę około czterdziestki, który większość życia spędzał na świeżym powietrzu, jeśli sądzić po opalonej, pomarszczonej twarzy. Oczy miał jasnoniebieskie, ze zmarszczkami rozchodzącymi się od zewnętrznych kącików. Patrzyły na kowboja twardo i bezpośrednio, bystro go oceniając.

— No dobrze — powiedział krótko. — Przejdźmy do rzeczy.

— Znalazłem dla pana rabusiów z pociągu z Santa Fe, szeryfie — poinformował go Bob. — Wiem, gdzie obozują dzisiejszej nocy.

— Gdzie?

— Na wzgórzach Shawnee.

— Trafiłeś na nich przypadkiem?

— Tak. Zobaczyłem ich ognisko, kiedy wracałem nad rzekę, aby ich poszukać.

Carson na razie w to nie wierzył, ale nie zamierzał odrzucić żadnego źródła informacji.

— Rozmawiałeś z nimi? — spytał.

— Nie. Podkradłem się blisko i rozpoznałem tych ludzi - dwóch Hickorych, Rusha Greera i Phila Ralstona.

— Skąd wiesz, że to ci bandyci?

— Muszę zacząć od początku, żeby to panu wyjaśnić. Przed nami długa podróż. Nie mogę opowiedzieć tego po drodze?

Głos szeryfa był suchy jak pustynny wiatr.

— Opowiedz mi teraz. Może wcale nigdzie nie pojedziemy.

Najkrócej, jak potrafił, Bob streścił historię swoich kontaktów z gangiem Hickorych. Carson słuchał, zadając kilka pytań, ale niewiele, dopóki Lee nie skończył. Była to niezbyt rozsądna opowieść, ale mogła być prawdziwa. Carson również był człowiekiem, który zawsze był lojalny wobec przyjaciół. Wszystko w tym chłopcu przemawiało na jego korzyść. Mimo to jednak on sam mógł być przestępcą. Jedną z kwestii, która utkwiła szeryfowi w pamięci, był brak motywu tej wizyty, chyba że była ona uczciwa. Istniała oczywiście możliwość, że któryś z jego wrogów - a dorobił się ich wielu podczas lat służby na pograniczu - użył tego chłopca jako przynęty, by wciągnąć go w pułapkę. Jednak jakoś nie mógł w to uwierzyć. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Czy znasz człowieka, który nazywa się Timmy Boggs?

— Tak. Jest funkcjonariuszem indiańskiej policji Choctawów.

— Poręczy za ciebie? Jest dziś w mieście.

Twarz Boba rozjaśniła się.

— Oczywiście, że tak. Był na tańcach, kiedy po raz pierwszy zadarłem z Hickorymi. Znajdźmy go.

Ponieważ Carson nie wiedział, gdzie zatrzymał się Boggs, odnalezienie go zajęło im ponad godzinę. Znaleźli go w domu znajomego, na obrzeżach miasta. Wyszedł porozmawiać z nimi po tym, jak szeryf zaczął dobijać się do drzwi i krzyczeć, z kim chce się zobaczyć.

Na widok Lee policjant Choctawów przywitał go pytaniem

— Jak się masz, Bob? — Jak w przypadku większości Indian, jego nieruchoma twarz nie zdradzała zaskoczenia.

— Więc znasz tego człowieka, Timmy — powiedział zastępca szeryfa. Boggs odpowiedział, że tak.

— Co o nim wiesz?

Choctaw wyrecytował znane mu fakty. Lee był kowbojem pracującym dla J A B, przyjechał z Teksasu razem z Broderickiem.

— Słyszałem, że jest przyjacielem Hickorych — wtrącił Carson.

— Nie jest ich przyjacielem — zaprzeczył Boggs. — Bob Lee jest w porządku. — Naciskany pytaniami, z lakoniczną zwięzłością opowiedział o tym, co wydarzyło się na tańcach, o walce w Four Corners, o procesie i skazaniu Cleburna Hightowera oraz o postanowieniu Lee, aby uratować przyjaciela, jeśli tylko zdoła.

— Wyznaczono za niego nagrodę jako za jednego z bandytów z pociągu z Santa Fe — wyjaśnił Carson.

Timmy wiedział o tym i dziwił się temu, choć widział już wielu młodych kowbojów, którzy wpadli w tarapaty. Bob Lee nie wydawał mu się taki.

— Jeden głupi szeryf wywiesił ten afisz — powiedział mu Bob i wyjaśnił okoliczności.

Policjant Choctawów uznał jego opowieść za całkowicie wiarygodną.

— Jeśli Bob mówi, że Hickory są na wzgórzach Shawnee, to myślę, że mówi prawdę — powiedział do zastępcy. — Hickory to źli ludzie. Kradną bydło. Sprawiają kłopoty. Bardzo prawdopodobne, że obrabowali ten pociąg. Jeśli pojedziesz dziś wieczorem do Shawnees, pójdę z tobą. Może ich złapiemy.

Carson był zadowolony.

— Spotkajmy się w zagrodzie Sinclaira za pół godziny — powiedział.

O wyznaczonej godzinie wyjechali z miasta drogą, którą Bob przebył już trzy razy w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Było ich czterech. Carson dołączył do grupy człowieka, którego często zatrudniał jako strażnika więźniów przewożonych do Fort Smith, mężczyznę o twardych oczach, który nazywał się Lute Burton. Bob jechał na lekko cętkowanym kasztanie o jasnej grzywie, dostarczonym przez szeryfa.

Ramiona Boba były ciężkie ze zmęczenia. Jeździł dziś w ciężkim terenie i daleko. Od śniadania nic nie jadł. Jego ciało zwiotczało w siodle, straciło całą sprężystość. Wydawało mu się, że jedzie już całą wieczność. Dwa lub trzy razy zamknął oczy. Ręce przywarły mu do rogu siodła, a głowa opadała. Kiedy ją poderwał, zdał sobie sprawę, że zasnął.

Głos szeryfa przebił się przez jego senność.

— Pojechałeś tym wąwozem czy skręciłeś w lewo?

— Poszedłem zboczem wzgórza do grzbietu. Jesteśmy coraz bliżej.

— Lepiej, żeby tak było — odparł Carson i podniósł zaniepokojony wzrok na niebo, na które wdzierało się światło dnia. — Szkoda, że nie dotarliśmy tutaj godzinę wcześniej. Pewnie już się obudzili.

Bob skinął głową. To oznaczało, że dojdzie do walki.

Rozdział 14
Człowiek w pyle

Czas niszczył ścieżkę biegnącą od wierzchołka grzbietu, na którym zatrzymał się oddział szeryfa w celu zbadania sytuacji, i prowadzącą w dół do bulgocącego strumyka. Słaby wietrzyk powiewał wśród sosen. Przez zarośla zjeżdżający mężczyźni mogli dostrzec dym wciąż unoszący się z ogniska.

— Za późno — warknął Benton. — Ptaszki wyfrunęły z gniazdka.

W chwili gdy to mówił, zza ostrogi wzgórza wyłonił się mężczyzna prowadzący konia za uzdę. Za nim podążali drugi i trzeci. Ludzie szeryfa przygotowali sobie uzdy i siodła.

— Jeśli zjedziemy w dół, usłyszą nas — powiedział Carson.

— A jeśli tego nie zrobimy, będzie za późno — odparł Bob. — Jeśli zgubimy ich na tych wzgórzach, trudno będzie ich potem znaleźć.

Carson nie odpowiedział. Skręcił konia na drogę, którą zjechał Bob, gdy po raz pierwszy zobaczył ognisko. Luźny gruz zaśmiecał jej podłoże, a zwierzęta niejednokrotnie zsuwały się w dół niemal na zadach. Szeryf nie dał im szansy na ostrożny wybór drogi. Wyraźnie zachowywał się jak człowiek, któremu się śpieszy.

Zaskoczony głos z dołu zawołał:

— Kto tam?

Carson natychmiast odpowiedział.

— Możesz nam powiedzieć, jak dotrzeć do McAlester? Trochę się zgubiliśmy.

— Kierujcie się na wschód. — W następnych słowach niewidocznego właściciela krzyczącego głosu pojawiło się ostre ostrzeżenie. — Trzymajcie się z dala od nas.

Odgłos tętentu kopyt powiedział Bobowi, że bandyci uciekają tak szybko, jak tylko mogą. Choć prawdopodobnie nie podejrzewali, że to grupa pościgowa, nie chcieli aby ich rozpoznano. Mogłoby to później wywołać kłopotliwe pytania.

Jeszcze zanim do końca zjechał z ostrego wzniesienia, Carson puścił konia galopem prosto do obozu. Bob skręcił w prawo. Domyślał się, że ucieczka będzie przebiegała w tym kierunku. Poprowadził swojego kasztana skalistą ścieżką, wijącą się między rozsianymi po wzgórzu głazami. Droga była trudna i niejednokrotnie musiał niemalże podtrzymywać swojego wierzchowca na nogach, gdy ten się potknął. Kiedy w końcu znalazł się na bezpiecznym terenie, użył ostrogi. Aby przechwycić banitów, musiał zyskać na czasie. Lekkie powiew nocnego wiatru przyniósł ze sobą stukot kopyt. W polu widzenia pojawił się widmowy koń, który zatrzymał się w kępie topoli, pod Lee. Inni jeźdźcy

byli o jedną lub dwie długości konia za nim. Usłyszał skrzypienie skór, kiedy zeskakiwali z siodeł. Bob odgadł ich plan - chcieli zaczekać w cieniu drzew, aby urządzić zasadzkę na pościg, kiedy ten wyłoni się zza zakrętu.

Bob zepsuł im ten plan. Wypalił dwa razy w topole, aby ostrzec swoich towarzyszy. Echo wystrzałów rozniosło się po zboczu. Atak z flanki musiał zaskoczyć grupę Hickorych. Usłyszał krzyki alarmu. Nad głową zagwizdały mu kule.

Najwyraźniej ludzie szeryfa posłuchali ostrzeżenia Boba i ukryli się za zakrętem. Słyszał, jak wzdłuż drogi ucieczki Hickorych świszczą kolejne kule.

Bob zsiadł z konia w zaroślach i skradał się przez nie na pieszo. Choć na horyzoncie niebo się już nieco rozjaśniło, nad wzgórzami wciąż panowała ciemność. Niełatwo było dostrzec nawet poruszające się obiekty z bardzo niewielkiej odległości. Wycelowane na chybił trafił pociski trafiały w pobliże Lee, większość z nich była wymierzona zbyt wysoko. Huk wymiany ognia między pościgiem a ludźmi w topolowym lasku był przez kilka chwil niemal równie ciągły, jak eksplozje serii petard.

Bob zbliżył się do wroga na tyle, że usłyszał głosy.

Jeden z nich zawołał:

— Lepiej się stąd wynośmy, Rush, bo nacierają na nas z dwu stron.

— Tak, zanim będzie za późno — odpowiedział inny. — Goręcej tu niż w piekle.

Ustawili konie w pozycji dogodnej do wsiadania. Jeden z mężczyzn podciągnął się na siodła. Bob wystrzelił. Przednie nogi konia ugięły się i zwierzę upadło, zrzucając jeźdźca na głowę.

Mężczyzna musiał być chwilowo zdezorientowany. Kiedy wstał, zaczął biec w stronę Boba z czterdziestką piątką w ręku. Na widok Lee zatrzymał się gwałtownie, świadomy popełnionego błędu. Człowiekiem tym był Ed Hickory.

Jego głos zabrzmiał gniewnie i ostro.

— Na Boga, to ty, szpiclu. Mam cię. Nikt mnie teraz nie powstrzyma.

Bob nie odpowiedział. Czekał, napinając wszystkie nerwy, rozstawiając stopy i przykucając.

Hickory wystrzelił pośpiesznie i chybił… wystrzelił po raz drugi. Bob poczuł, jak coś uderza go w ramię. Zabolało go to nie bardziej niż lekkie uderzenie pięścią. Rozległ się huk jego własnej broni. Bob był tak rozluźniony, jakby ćwiczył strzelanie do celu, choć pomyślał o tym dopiero później. Cała jego uwaga skupiała się na stojącym przed nim człowieku. Rewolwery błysnęły ponownie niemal w tym samym momencie. Bob nigdy w życiu nie był tak zaskoczony, jak wtedy, gdy zobaczył, że Ed Hickory chwyta się za serce, a na jego ciemnej twarzy maluje się dziwne zakłopotanie.

Cass Hickory wyjechał z lasu i zatrzymał konia czterdzieści stóp od Lee. Dwaj młodzi mężczyźni wpatrywali się w siebie, żaden z nich nie unosił broni. Młody bandyta popatrzył na leżącego bez ruchu brata i zdał sobie sprawę, że ten nie żyje. Jego wściekłe spojrzenie uniosło się. „Niech cię szlag!” zawołał, uniósł karabin i wypalił w stronę Lee. Chwilę później

zatoczył koniem i ruszył za pozostałymi bandytami, którzy już przedzierali się przez zarośla w panicznej ucieczce.

Bob nie uniósł ręki, by strzelić do uciekającego młodego bandyty. Ruszył do przodu, a jego wstrząśnięte spojrzenie utkwione było w leżącej na ziemi postaci, która minutę wcześniej była pełna namiętnego, gniewnego życia. Jednym ruchem palca zniszczył tę energię. Przepadła na zawsze. Zabił człowieka, którego stworzył Bóg. Ogarnęły go mdłości. Zaschło mu w gardle, poczuł słabość w nogach.

Kiedy usłyszał, jak Timmy Boggs wykrzykuje jego imię, nie odpowiedział. Chciał mieć kilka chwil dla siebie. Ed Hickory nigdy więcej nie zasiądzie do gry w karty. Nigdy nie wypije kolejnego drinka. Sombrero z opaską grzechotnika leżące koło jego głowy już nigdy nie zostanie przez niego włożone. Śmierć dopadła go w czasie krótszym niż mrugnięcie oka.

Timmy Boggs wyszedł z lasu płasko i ostrożnie, trzymając w rękach strzelbę gotową do akcji. Rozpoznał Boba i jego głos zabrzmiał z ulgą.

— Wszystko w porządku?

— Tak... zabiłem Eda Hickory.

Policjant Choctawów spuścił wzrok na leżącego bandytę i chrząknął.

— Dobrze, że to nie ty tam leżysz.

— Szedł na mnie z plującą ogniem bronią. Nic nie mogłem poradzić.

— Jasne. Ty albo on. Lepiej że on. Hickory są źli. — Carson pojawił się w zasięgu wzroku, wspierając Burtona. Lute został trafiony w nogę. Szeryf spojrzał na zwiniętego w kłębek bandytę. Jego oczy spotkały się z oczami Lee.

— Zabiłeś go?

— Tak. Szedł prosto na mnie.

— Dobrze. — Carson dodał ostro: — Co jest z twoim ramieniem?

Bob położył dłoń na lewym ramieniu pod płaszczem. Koszula była mokra. Kiedy spojrzał na swoje palce, była na nich krew.

— Zapomniałem — powiedział. — Ed musiał mnie trafić.

— To polowanie na ludzi dobiegło końca — powiedział ponuro szeryf — z dwoma z nas rannymi.

— Czy mogą wracać do McAlester? — spytał Boggs.

— Myślę, że tak. Po tym, jak ich opatrzę.

Timmy Boggs przyniósł wodę ze strumienia, a Carson opatrzył rany. Choctaw przyprowadził konie.

— Co zrobimy z Edem? — spytał Lee.

— Ciało zostanie przywiezione później za dnia — odparł stróż prawa. — Teraz Timmy i ja mamy pełne ręce roboty z wami. Żaden z was nie będzie szczęśliwy podczas tej podróży.

Przed opuszczeniem miejsca Whit Carson przeszukał martwego człowieka i znalazł w pasie zapiętym wokół jego ciała ponad osiem tysięcy dolarów w zielonych banknotach.

— Cieszę się, że to mam — stwierdził. — Zdarzało się, że stróże prawa popełniali błędy i zabijali niewłaściwych ludzi, ale to nie był ten przypadek. Miałeś dobry pomysł, Lee.

Bob wciągnął się na siodło. Kiedy ruszyli, wstrząsy raniły jego ramię i przeszywały go bólem przy każdym niespodziewanym ruchu konia. Nigdy

wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak chwiejny chód ma pony. Zacisnął jednak zęby i nie wydał z siebie żadnego nawet jęku. Wiedział, że dla Lute'a Burtona ta jazda była prawdopodobnie o wiele gorsza niż dla niego.

Podróż do miasta wydawała mu się nie mieć końca. Wyznaczał sobie punkty orientacyjne, aby podzielić podróż na etapy - wielka sosna nad potokiem, głaz przy drodze, dom osadnika. Trzymał się rogu siodła, desperacko próbując odpędzić ogarniające go fale omdlenia. Nawet po pojawieniu się pierwszych domów McAlester droga do hotelu po zakurzonej ulicy ciągnęła się w nieskończoność, a każdy krok był jak uderzenie agonii.

Gdy zatrzymali się na drewnianym chodniku, Bob odezwał się do Burtona za zbolałym uśmiechem.

— Niezła przejażdżka, co?

Burton odpowiedział jedynie chrząknięciem. Podczas podróży z jego bladych ust nie wydobył się żaden dźwięk. Pod opalenizną jego twarz była chorobliwie żółta. Był tak bliski omdlenia, że chwycił się obiema rękami jakiejś balustrady, próbując ustabilizować ciało. Szeryf i Timmy podtrzymali go, gdy padał na ziemię. Upadł jednak i musiał zostać wniesiony do środka.

Zebrał się tłum. Już rozeszła się wieść, że oddział właśnie wrócił z bitwy z uciekającymi rabusiami pociągów. Wśród zgromadzonych był sklepikarz Emery. Bob zsunął się z siodła o własnych siłach. Aby nie upaść, złapał za pasek strzemienia i mocno go ścisnął.

— Złe ziółko wróciło, panie Emery — powiedział tak wesoło, jak tylko był w stanie.

Emery nie był pewien, czy Lee wrócił jako jeniec, czy też członek oddziału pościgowego.

— Jesteś ranny — powiedział.

— Zgadza się — potwierdził Bob. — I gdyby nie dobra broń, którą mi pan sprzedał, zginąłbym zamiast innego gościa.

— Jakiego innego gościa? — ktoś spytał.

Bob czuł się już na tyle pewnie, by spróbować powędrować ścieżką do hotelu. Z przesadną ostrożnością zrobił może pół tuzina kroków. Zakręciło mu się w głowie i czuł się bardzo niepewnie. Timmy wyszedł z hotelu i chwycił go za ramię. Choctaw zaprowadził go do pokoju na parterze i rozebrał, gdy leżał bezradny na łóżku.

Kiedy lekarz opatrzył ranę, Bob posłał po Whita Carsona.

— Timmy zna tereny Boggy — powiedział szeryfowi. — W trzcinowych zaroślach i na bagnach są tysiące kryjówek. Timmy też panu to powie. Kiedy Hickory tam dotrą, trudno będzie ich wytropić. Trzeba ich wyprzedzić, jeśli tylko będzie to możliwe.

— Wysłaliśmy depesze do każdego odpowiedzialnego za te sprawy funkcjonariusza w promieniu stu mil od tego miejsca i jak tylko uda mi się zebrać kolejny oddział, pojadę im na ogonach. — Na podstawie długiego doświadczenia dodał do tego, co powiedział: — Może dorwiemy ich teraz, może nie. Jeśli nie teraz, to później. Takich łajdaków zawsze w końcu się eliminuje. Nie martw się, chłopcze. Zrobiłeś już swoje. Pozwól nam zrobić resztę.

— Boję się, że się panu wymkną — odparł Bob z niepokojem. — Jedyne, na czym mi zależy, to zebranie na nich dostatecznie dużej liczby dowodów, aby uratować Cle Highwatera. Wiem od dawna, że mam termin do siedemnasty września. Do tego czasu muszę zebrać wystarczające dowody, aby uzyskać jego ułaskawienie. Doktor mówi, że mam zostać w łóżku przez tydzień. Nie mam takiego zamiaru tego robić. Muszę się wziąć do roboty.

— Spokojnie, synu. Napiszę do Brodericka i powiem mu, jak się sprawy mają. Jeśli jest tak bardzo zainteresowany, jak mówisz, zacznie działać nad ułaskawieniem u Głównego Wodza[1].

Na razie Bob musiał sobie trochę odpuścić. Zanim będzie mógł zrobić cokolwiek dla Cle, musiał nabrać sił, i poczekać aby jego rana się zagoiła.

[1] Zgodnie z prawem Cywilizowanych Plemion każdy Naród wybierał swojego własnego Głównego Wodza, który spełniał generalnie te same funkcje, co gubernator któregoś ze stanów (przyp. Autora).

Rozdział 15

Bob rozmawia z gośćmi

Willie May Broderick siedziała w bryczce przed małym młynem zbożowym, czekając na ojca, który rozmawiał o jakichś interesach z właścicielem. Timmy Boggs właśnie wjechał do Atoka i gdy tylko zobaczył dziewczynę, podszedł do niej.

— Może przekaże panienka wiadomość dla pułkownika Brodericka? — zapytał.

Skinęła w stronę młyna.

— Ojciec jest w środku. Ale przekażę wiadomość, jeśli chcesz, Timmy. Od kogo to?

— Od Boba Lee. Jest w McAlester. W hotelu. Postrzelił go Ed Hickory.

Policzki Willie May zrobiły się zupełnie blade.

— Czy on jest... ciężko ranny? — wykrztusiła zdławionym głosem.

Choctaw oszczędził sobie słów, stukając palcem wskazującym prawej ręki w lewe ramię, aby wskazać miejsce, w które wbiła się kula.

— Nic mu nie jest. Ed Hickory… wylądował w grobie.

— To znaczy?

— Strzelił do Boba. Bob go zabił. Hickory są złymi ludźmi. Obrabowali pociąg z Santa Fe.

Broderick wyszedł z młyna i podszedł do wozu. Jego córka zawołała do niego.

— Bob Lee został postrzelony. Zabił jednego z Hickorych.

Hodowca, zaskoczony tą wiadomością, spojrzał na Choctawa w poszukiwaniu potwierdzenia. Timmy opowiedział pokrótce, jak Bob wytropił banitów i doprowadził oddział Whita Carsona do ich obozu. Opisał też, bardzo pobieżnie, bitwę na polanie.

— Gdyby nie Bob, mogliby was wszystkich wciągnąć w zasadzkę — zawołała dziewczyna.

— Być może. Nie wiadomo. Bob to dzielny człowiek.

— Czy wiesz, gdzie jest teraz gang Hickorych? — spytał Broderick.

Ręka Indianina zatoczyła łuk gdzieś w stronę Canadian.

— Gdzieś w North Boggy albo w kraju Kiamichi… ukrywają się w trzcinach i krzakach. Może nie. Może w Creek Nation.

Broderick wpatrywał się przez chwilę w pustkę, opierając stopę na piaście koła.

— Pojadę do McAlester i przywiozę chłopca ze sobą — powiedział po namyśle.

— Pozwól mi też jechać — powiedziała szybko Willie May. — Mam dużo zakupów do zrobienia i mogę dostać to, czego potrzebuję tam lub w Krebs.

Ojciec zastanowił się nad tym. Dlaczego by nie? Ostatnio, przez całkiem długi czas, siedziała uwiązana na ranczu i robiła się coraz bardziej niespokojna.

Mogliby pojechać w podróż pociągiem i uniknąć dyskomfortu związanego z długą jazdą.

Uśmiechnął się do niej.

— Hickory mogą zatrzymać nasz pociąg.

— To mogłoby być nawet zabawne — odparła mu. — Ale tego nie zrobią. Są za bardzo zajęci ukrywaniem się przed oddziałami pościgowymi.

Kilka minut później Broderick spotkał Cleburna Hightowera w punkcie handlowym i przekazał mu wieści o Bobie Lee. Indianin nie wspomniał o swoich zamiarach, ale postanowił pojechać do McAlester i zobaczyć się z przyjacielem. Miał ustalony termin na siedemnastego września, którego musiał dotrzymać, ale było to za kilka tygodni i do tego dnia mógł dysponować swoim czasem.

Rana postrzałowa, taka jak ta otrzymana przez Boba, nie mogła długo unieruchomić aktywnego i zdrowego kowboja. Stracił sporo krwi, lecz ta szybko się odnowiła. Po pierwszych dwóch dniach jego apetyt stał się ogromny. Kiedy Broderick wszedł do jego pokoju, siedział na bujanym fotelu i czytał „Deadwood Dick's Last Ride".

— Z tego, co słyszałem, odkąd widziałem cię po raz ostatni, byłeś już prawie na swojej ostatniej przejażdżce — rzucił mu żartobliwie Broderick.

Bob uśmiechnął się wesoło jak zawsze.

— Otrzymał pan błędne informacje, panie Broderick. Dostałem małą kulkę w ramię - tylko jedną. W ciągu tygodnia będę już na koniu.

— Jeżdżąc po ranczo. A nie włócząc się po kraju w poszukiwaniu kłopotów.

Bob nie usprawiedliwiał się, choć mógł powiedzieć, że gdyby nie on, nie byłoby żadnych dowodów przeciwko Hickorym.

— To mi absolutnie pasuje — stwierdził.

— Willie May jest w holu. Przyjechała ze mną na zakupy. Chciałbyś, żeby do ciebie przyszła?

Na twarzy Boba pojawiły się rumieńce. Miał na sobie wełnianą chustę zamiast płaszcza i nie golił się prawie od tygodnia. Gdyby dziewczyna zobaczyła go w takim stanie, bardzo by go to zawstydziło. Błagał o pół godziny czasu na przygotowanie się, posłał po fryzjera i o wyznaczonej godzinie czekał na nią w salonie.

Broderick wszedł z córką.

— Kazałem jej obiecać, że zmyje ci solidnie głowę, tak samo jak mnie — powiedział Bobowi.

Ale ponieważ Willie May nie była do końca pewna, czy nie zachowuje się zbyt śmiało, przychodząc do Boba, schroniła się za osłoną niezwykłej skromności.

— Nigdy bym nie pomyślała o czymś takim — oznajmiła. — To nie moja sprawa, jeśli Bob postanowi zrobić sobie wrogów z tych łotrów.

Zdawała sobie sprawę, że nie było to uczciwe postawienie sprawy, gdyż pierwotna kłótnia z Jakiem Hickory rozpoczęła się z jej powodu. Jeśli Bob to odczuł, nie dał tego po sobie poznać.

— Myślę, że jestem jednym z tych gości, którzy urodzili się, by żyć w smutku — odpowiedział z uśmiechem. — Problem w tym, że nie dam rady cię oszukać, skoro chodziliśmy razem do szkoły.

Jego przyznanie się do winy rozbroiło ją. Rzadki, ciepły uśmiech, który uwielbiał, rozjaśnił jej twarz.

— Myślę, że to dobrze z twojej strony, że robisz tak wiele dla swojego przyjaciela — powiedziała mu.

Bob zarumienił się. Był zbyt nieśmiały, by słuchać jej pochwał.

— Jeszcze nic dla niego nie zrobiłem — zaprotestował. — Faktem jest, że wiedziałem, iż Hickory mają coś do mnie i pomyślałem, że to dobry pomysł, aby ujawnić ich udział w tej sprawie i być może wsadzić ich wszystkich do więzienia, gdzie nie będą mogli mnie skrzywdzić.

Broderick prychnął.

— I uznałeś, że najlepszym sposobem na powstrzymanie ich przed skrzywdzeniem cię, jest wdanie się w strzelaninę z całą ich bandą — stwierdził ironicznie.

— Nie zbliżyłbym się do nich, ale tylko ja mogłem pokazać szeryfowi Carsonowi, gdzie rozbili obóz.

— Oczywiste, że nie polowałeś na nich, kiedy znalazłeś miejsce, w którym zatrzymali się na noc — skomentował ironicznie hodowca.

— Kiedy był chłopcem, nigdy nie był szczęśliwy, jeśli nie szturchnął kijem gniazda szerszeni albo nie podłożył wygiętej szpilki na krześle nauczyciela, aby zobaczyć, jak podskakuje — powiedziała surowo dziewczyna.

Bob wycofał się na inną linię obrony.

— Spójrz na to w ten sposób. Cle i ja znaleźliśmy się razem w tym bagnie. Tak się złożyło, że to on został uwięziony. Jakim byłbym bydlakiem, gdybym po prostu siedział sobie nic nie robiąc i pozwolił, aby mój przyjaciel został zastrzelony?

— Zrobiłeś już wystarczająco dużo — powiedziała mu Willie May. — Ojciec dopilnuje, aby Cle został ułaskawiony. Teraz tylko musisz wyzdrowieć i zapomnieć o wszystkim.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — sprostował Broderick. — Dzięki tobie, Bob, mamy już wystarczająco dużo dowodów na to, że nie można ufać tym szumowinom Hickorym. Zamierzam odbyć długą rozmowę z Calem Judsonem, aby przekonać go do naszych racji. Gdyby zmienił zeznania, mogłoby to uratować Cle.

— A my zabierzemy cię na ranczo do domu, gdzie będziemy mogli cię pilnować, dopóki Hickory nie zostaną schwytani — dodała dziewczyna.

— Dobrze — zgodził się Bob, a jego uśmiech był podziękowaniem za okazane zainteresowanie. — Będę spał lepiej, jeśli pan Broderick uratuje Cle i jeśli Hickory znikną z okolicy.

— Policja pewnego dnia ich dopadnie — przepowiedział Broderick.

— Pewnego dnia to nie jest wystarczająco szybko, chyba że Cle zostanie ułaskawiony. Słyszałem, że sądy Choctawów potrafią być bardzo uparte. Ale czego więcej mogą chcieć? Udowodniliśmy, że Hickory to bandyci. Maski świadczą o tym, że to oni dokonali napadu, a część zrabowanych pieniędzy znaleźliśmy w pasie Eda.

— Porozmawiam z Hiramem Suggiem i poproszę go, by użył swoich wpływów na rzecz Cle — obiecała Willie May. — Postaraj się nie martwić o przyjaciela. Nic mu nie będzie.

Bob nic jej nie odpowiedział. Jego usta przybrały wyraz uporu. W ciągu kilku godzin, kiedy był sam i miał czas na przemyślenia, doszedł do ostatecznego wniosku. Tym jeszcze jednym człowiekiem, którego widział w obozie bandytów - tym, który był odwrócony do Boba plecami - był Hiram Sugg. Czuł, że nawet w półmroku poznałby tego człowieka, gdyby tylko zdołał zobaczyć jego twarz. W tej chwili był tego pewien, choć nie mógłby tego przysiąc w sądzie.

Później Bob zobaczył się z Broderickiem sam na sam. Trudno mu było powiedzieć swojemu pracodawcy o podejrzeniach, jakie żywił wobec Sugga. Po pierwsze, ten człowiek był prawdopodobnie zaręczony z córką hodowcy bydła; po drugie, uratował Bobowi życie w Tecumseh. Jeśli jakimś cudem nie był winny współudziału w napadzie na pociąg, byłoby parszywą rzeczą, gdyby Bob zaczął wieszać na nim psy podejrzeń. Musiał jednak powiedzieć, co widział i czego się domyślał. Broderick miał prawo wiedzieć, jaki człowiek zdobył miłość jego córki.

Hodowca wysłuchał historii Boba i nie był do niej przekonany.

— To nie ma sensu — wyjaśnił. — Sugg staje się ważnym człowiekiem na Terytorium. Macza palce w wielu przedsięwzięciach finansowych. Ma wysokie notowania na kolei i wśród czołowych kupców. Zrujnowanie jego przyszłości przez wmieszanie go w coś takiego, byłoby szaleństwem. Nie chcesz chyba, aby twoje uprzedzenia kierowały twoim myśleniem, chłopcze.

— On jest zamieszany w ten napad, panie Broderick — upierał się uparcie Lee. — Sugg był człowiekiem, którego widziałem w ich obozie, jak wydawał im rozkazy. Sądzę, że jest głównym szefem tego gangu, choć oczywiście nie daje się wplątać w żadne faktycznie przeprowadzone napady. To oni wyciągają dla niego kasztany z ognia.

Starszy mężczyzna potrząsnął głową.

— Nie, Bob. Sam powiedziałeś, że go wtedy nie rozpoznałeś. — Pod wpływem impulsu, by ulżyć sobie na umyśle, wyrzucił z siebie wyznanie. — W zaufaniu powiem ci jedną rzecz, synu. Im dłużej mu się przyglądam, tym mniej mi się ten Sugg podoba. Chciałbym, żeby Willie May tak go nie lubiła. Doszedłem do wniosku, że to śliski człowiek. Ale nie wpakowałby się w taką awanturę. Jest na to zbyt sprytny. I nie ma takiej potrzeby.

— Skąd on bierze pieniądze na tyle rzeczy? Skąd pan wie, że nie brakuje mu gotówki?

— To możliwe — przyznał Broderick. — Ale to niczego nie przesądza. Ja sam kilkanaście razy byłem przyparty do muru. Dwa razy splajtowałem. Ale nigdy nie obrabowałem pociągu.

— Czy mógłby pan zasięgnąć informacji i dowiedzieć się, czy teraz nie podkulił pod siebie ogona?

— Mógłbym, ale z niechęcią bym to robił. Powinniśmy się zaprzyjaźnić.

Bob nie wspomniał o szczęściu Willi May, które związane było z kwestią uczciwości tego człowieka. Wiedział, że Broderick będzie się nad tym

wszystkim zastanawiał i że będą dręczyły go wątpliwości, dopóki nie uspokoi się myślą, że dowiedział się wszystkiego, co mógł.

Hodowca bydła kontynuował dyskusję nad tą kwestią. Jego pracownik zdał sobie sprawę, że Broderick analizuje po kolei własne obawy.

— Gdybyś, synu, był na szczycie świata, wszystko szło po twojej myśli, czy zepsułbyś sobie życie, zadając się z bandą złych ludzi?

— Nie, proszę pana. Ale mam pewne domysły dotyczące Sugga. Trudno to wyjaśnić. Myślę, że sukces uderzył mu do głowy. To było dla niego zbyt łatwe. Wszystko mu się udawało. Myśli, że jest kimś w rodzaju Napoleona i nic nie zdoła go pokonać. Ja nie przyłączyłbym się do bandy bandytów, ale on mógłby to zrobić - gdyby to on był przywódcą. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem od niego mądrzejszy, ale nie ryzykowałbym tak jak on. Wygrana w tej grze daje mu potężnego kopa, tak jak w przypadku gościa, który wygrywa w pokera.

Broderick popatrzył na Lee zaskoczony. Chociaż prawdopodobnie mylił się w swoich podejrzeniach co do Sugga, chłopak szybko dorastał.

Rozdział 16

Hiram Sugg odwiedza rannego

Kiedy Cleburn Hightower zobaczył swojego przyjaciela siedzącego w fotelu przy oknie, nieco bladego pod opalenizną, lecz z szerokim powitalnym uśmiechem na twarzy, oblicze Indianina nie zdradzało żadnej z emocji, jakie go przepełniały. Choctaw wiedział, jak wiele zrobił dla niego przyjaciel. Jeśli uniknie egzekucji, to tylko dzięki wysiłkom Lee. Poświęcenie młodego człowieka niemal kosztowało go życie. Hightower nie potrafił wyrazić swojej wdzięczności. Jedyne, co mógł zrobić, to powiedzieć: „Jesteś dobrym przyjacielem", gdy uścisnął mu dłoń.

Lecz Bob zrozumiał to równie dobrze, jakby Cle wygłosił długą orację. Przyjaciele nie potrzebowali słów, by przekazać emocje. Jeśli uczucia naprawdę kryją się w sercu, nie trzeba okazywać ich w otwarty sposób.

Choctaw zaproponował, aby kontynuować pościg w miejscu, gdzie Bob został zmuszony do porzucenia tropu bandytów. Miał jeszcze trzy tygodnie do wyznaczonej daty egzekucji. W tym czasie mógłby wykryć, gdzie ukrywają się jego wrogowie i postawić ich przed sądem.

Bob nie pochwalał tego pomysłu. Bandyci bez wątpienia kryli się gdzieś na bagnach. Zawsze znajdą się jacyś podejrzani osobnicy, gotowi ze strachu lub dla własnej korzyści, wyciągnąć dla czających się bandziorów, informacje o ruchach tych, którzy ich szukali. Gdyby Hickory dowiedzieli się, że Hightower ruszył ich tropem, urządziliby na niego zasadzkę.

— Rozmawiałem o tym z J.A. i w tym punkcie się zgadzamy. — Lee zaciągnął się i zapalił papierosa, zanim powiedział Cleburnowi, jakie są jego zamiary. — Zostaw Hickorych w spokoju. Carson to dobry detektyw. Uczepi się ich jak buldog. A Timmy Boggs organizuje obławę policji Creeków, Czirokezów, a także Choctawów. Ta banda zostanie rozbita, a jeśli znam Hickorych, to kiedy zostaną zapędzeni w kozi róg, uciekną prosto do domu. Ukryją się w jednej ze swoich starych kryjówek. Do tego czasu stanę już na nogi i razem będziemy mogli przeprowadzić zwiad.

— Pan Broderick… uważa, że to dobre rozwiązanie?

Bob uśmiechnął się.

— No cóż, nie. J.A. chciałby mnie niańczyć, lecz ja mam na ten temat własne zdanie. Jednak on uważa - i ty razem ja również - że obecnie musimy zacząć działać od drugiej strony. Poza gangiem Hickorych i tobą, strzelaninę w Four Corners widziało trzech ludzi - Dyke Sims, Cal Judson i ten przybysz Homer Todd. Widziałem się z Toddem i myślę, że zdołam go namówić, aby wrócił i opowiedział swoją historię. Możesz się założyć, że Cal Judson jest bardzo niezadowolony ze swoich zeznań na rozprawie. Mocno się wiercił na ławie świadków i gdyby nie siedzieli tam Hickory, z wlepionymi w niego oczyma, opowiedziałby całkiem inną historię.

Cleburn pokręcił głową.

— Już za późno, żeby Judson powiedział prawdę.

— Straci twarz, ale może dojdzie do wniosku, że lepiej to przełknąć. J.A. zamierza z nim porozmawiać. Judson przecież nie chce wiązać się z jakąś przestępczą bandą. Skłamał na procesie, żeby Hickory go nie zabili. Teraz, kiedy oni sami znaleźli się w potrzasku i Judson jest poza ich bezpośrednim zasięgiem, może porzucić ich stronę. To samo dotyczy Dyke'a Simsa. Sporo razy widywano go z Hickorymi i teraz boi się, że mógłby zostać wciągnięty w ten napad na pociąg, mimo że nie miał z tym nic wspólnego. Słyszałeś o szczurach i tonących statkach. A jeśli już mówimy o szczurach, to Dyke jest idealnym egzemplarzem tego gatunku.

Hightower pomyślał, że w tym, co powiedział Bob, było sporo racji, ale lepiej żeby to nie on zajmował się wpływaniem na świadków, których zeznania go skazały. Nie powiedział tego Bobowi, lecz postanowił poświęcić swój czas próbie odnalezienia miejsca, w którym ukrywali się Hickory.

Wstał aby wyjść, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

W odpowiedzi na okrzyk Boba „Wejść”, do pokoju weszli Broderick i Hiram Sugg. Sugg podszedł z wyciągniętą ręką i wesołym uśmiechem na pewnej siebie twarzy. Bob nagle zdał sobie sprawę, że ten człowiek był tak fałszywy jak sam Lucyfer. Przyszedł go uspokoić, ponieważ Bob wiedział, że tuż przed napadem naradzał się z Hickorymi. Bob niezręcznie strącił szklankę na wodę, ze stojącego obok jego fotela stolika, i był tak zajęty podnoszeniem jej z podłogi, że uchylił się przed uściskiem dłoni tego człowieka.

— Miło mi słyszeć od pana Brodericka, że twój stan się poprawia — zagaił konwencjonalnie Sugg. — Miałeś szczęście, że twoja rana nie była gorsza. Jeśli pamiętasz, ostrzegałem cię, żebyś bardziej na siebie uważał.

— Tak też pan zrobił — odparł sucho Bob.

— Jesteś dosyć porywczym młodym mężczyzną. Myślę, że powinieneś być ostrożniejszy. Cieszę się, że dwukrotnie udało mi się uratować cię przed twoją własną lekkomyślnością.

— Tak — zgodził się Bob. — Kiedy pańscy przyjaciele, Hickory, chcieli mnie załatwić.

Sugg uniósł w proteście pulchną rękę.

— Nie! Oni nie są moimi przyjaciółmi, choć jak na dobrego obywatela przystało, czasami udawało mi się powstrzymać ich od przemocy.

— Całe szczęście, że akurat był pan w Tecumseh, bo inaczej na pewno by mnie załatwili. — Spojrzenie Boba, chłodne i drwiące, utkwiło w oczach Sugga. — Chyba Opatrzność pana tam wysłała.

— Byłem tam w interesach dla Santa Fe Railroad — odparł Sugg, a jego uśmiech zaczął zanikać. — Negocjowałem prawa do placów kolejowych. Zaskoczyło mnie, że spotkałem tam ciebie i Hickorych.

— Dokładnie to samo pomyślałem, gdy spotkałem pana i Hickorych, kiedy wyszli z pańskiego pokoju, aby mnie zabić. — Dodał z łagodną złośliwością: — Sądzę, że dawał im pan dobre rady, jak być dobrymi obywatelami.

Uśmiechnięta protekcjonalność zniknęła z twarzy Sugga. Jego wyraziste oczy zrobiły się ponure i twarde, a gładki głos szorstki i arogancki. Swoje wyjaśnienie skierował do Brodericka.

— Raz czy dwa zatrudniłem ich do politycznej roboty, więc kiedy dowiedzieli się, że jestem w mieście, naturalnie wpadli się ze mną zobaczyć. Mówi się, że polityka tworzy dziwne związki. Nie podoba mi się cała ta hołota pracująca dla naszej partii, ale dopóki z nich korzystam, muszę żyć z nimi w zgodzie.

— Jestem w stanie to zrozumieć — zgodził się Broderick.

— W końcu to przecież nie pańska sprawa, jeśli pańscy współpracownicy okazują się być rabusiami i mordercami — zasugerował Bob.

Głos Sugga przepełniony był złością.

— Ten młody głupiec zachowuje się w obraźliwy sposób, panie Broderick. Jego najlepszy przyjaciel został skazany za morderstwo. Sam jest podejrzany o bandytyzm. Za jego schwytanie wyznaczono nagrodę, za ten właśnie napad. Jak on śmie tak do mnie mówić?

— Myślę, że Bob posuwa się za daleko — przyznał Broderick. — Ale nie zgadzam się z panem, co do Cleburna Hightowera. Nie jest mordercą, chociaż został za to skazany. A Bob nie jest złodziejem pociągów. Nie ma wątpliwości, że to Hickory wykonali tę robotę.

— Nie mam żadnych informacji na ten temat — odpowiedział Sugg. Kontynuował sztywno: — Ale myślę, że rozumie pan, dlaczego ten bezczelny kowboj z pańskiej ekipy zawsze wpada w kłopoty. Radziłbym mu ograniczyć swoje impertynencje do ludzi z jego własnej klasy.

Bob powiedział lekko:

— Przyjąłem pańską radę do wiadomości, panie Sugg, i dziękuję za nią. Ale nadal nie podoba mi się pańskie towarzystwo.

— Wystarczy, Bob — polecił jego pracodawca. — Pan Sugg przyszedł powiedzieć ci, że cieszy się z twojego powrotu do zdrowia. Spotkałeś się z nim w bardzo nieprzyjaznym duchu.

Kowboj nie powiedział nic więcej. Zdał sobie sprawę, że jego bezceremonialność była niefortunna. Sposobem na poznanie człowieka takiego jak Sugg była powściągliwość, dorównująca jego własnej.

Gdy mężczyzna odszedł, Broderick ostro zganił Boba.

— Chłopcze, musisz nauczyć się hamować. Zarzuciłeś Suggowi, że był zamieszany w napad Hickorych, a nie masz na to żadnych dowodów. Powiem jednak jedno. Sprawdziłem jego kondycję finansową. Jest nadmiernie zadłużony, jak mówią bankierzy, i prowadzi interesy na najsłabszych marżach, pożyczając, gdzie tylko może, po rujnujących stopach procentowych. Ale to niczego nie dowodzi.

— Nie — przyznał Bob. — Jednak chciałbym wiedzieć, czy naprawdę został wysłany do Tecumseh przez kolej. Gdyby skłamał, źle by to o nim świadczyło.

— Myślę, że zdołam się tego dowiedzieć. Prawdopodobnie zresztą tak było. — Hodowca bydła zatrzymał się, uderzony inną myślą. — On jest kimś w rodzaju agenta politycznego kolei i zna wiele osób na wyższych szczeblach. Mógł wiedzieć, że w dniu napadu będą przewożone pieniądze.

— I był tam, aby poinformować Hickorych, którym pociągiem.

— Za szybko się idziesz do przodu, chłopcze. Nawet jeśli nie do końca mu ufamy, Hiram Sugg jest prawdopodobnie praworządnym obywatelem. Trzymaj gębę na kłódkę, Bob, i nie dawaj się ponosić takim fantazjom.

Bob przyznał ze smutkiem, że za dużo mówi. Uśmiechnął się do Cleburna Hightowera, który stał z tyłu przez całą wizytę Sugga, nie odzywając się ani słowem.

— Powinienem nauczyć się czegoś od Cle — powiedział. — Cle stoi jak posąg i słucha, jak Sugg nazywa go mordercą, nie ruszając nawet palcem.

— Cle nauczył się już, że nawet ostre słowa nie łamią nikomu kości. No cóż, synu, cieszę się, że wrócisz na ranczo, gdzie będziemy mogli się tobą zaopiekować. Kupiłem dziś bilety. Wyjeżdżamy jutro.

Bob przyznał, że chciałby już wrócić do kwater J A B, do reszty chłopców.

Rozdział 17
Bob wysłuchuje gorzkich słów

Ze swojego miejsca przy oknie pokoju Bob zobaczył, jak Sugg i panna Broderick rozpoczynają spacer po zmierzchu. Kiedy go mijali, Willie May pomachała do niego ręką na powitanie.

— Ten chłopak mnie nie lubi — wspomniał Sugg. — Kiedy się spotkaliśmy, najeżył się i zachowywał się wręcz bezczelnie.

Dziewczyna okazała zaskoczenie.

— Jesteś pewien? Czemu miałby cię nie lubić, skoro całkiem niedawno uratowałeś mu życie?

Sugg uśmiechnął się do niej.

— Nie potrafisz odgadnąć powodu, dla którego mnie nie lubi?

— Nie masz chyba na myśli…?

Nie dokończyła zdania. Na jej policzkach pojawiła się fala pąsu.

— Dokładnie to mam na myśli. Nawet biedak może marzyć, wiesz przecież.

— Jeśli nawet masz rację — zaprotestowała, jej gwieździste oczy pewnie wytrzymały jego śmiałe, zaborcze spojrzenia — to nie byłby żaden powód, aby cię nie lubić, po tym, co dla niego zrobiłaś. Bob to miły chłopak. Nie jest złośliwy. Zobacz, jak wiele zrobił, aby pomóc swojemu przyjacielowi Cle Hightowerowi.

— Zastanawiałem się nad tym — odpowiedział Sugg po dłuższej chwili milczenia. — W tym jest coś dziwnego. Wiesz, że został oskarżony o przynależność do bandy rabusiów pociągów.

— Ależ, on nie jest jednym z nich — odparła z oburzeniem. — Jak ktoś mógłby tak powiedzieć, skoro Bob został ranny w walce z bandytami?

— Nie powiedziałem, że jest jednym z nich. Powiedziałem, że został o to oskarżony. — Odwrócił się do niej ze szczerym uśmiechem. — Ale to nie jest dowód na to, że jest winny. Sam również zostałem o to oskarżony.

— Ty! — przystanęła i spojrzała na niego. — Kto to powiedział?

— Twój przyjaciel, Lee. Nie wyraził tego w tak wielu słowach, ale zasugerował to bardzo wyraźnie.

Jej zdumione oczy wpatrywały się w niego.

— Musisz się mylić, Hi. Nie mógł ci czegoś takiego powiedzieć, chyba że oszalał.

— Spytaj ojca. Wpadłem do niego, aby mu powiedzieć, że cieszę się, iż jego rana się goi, a on obrażał mnie od chwili, gdy wszedłem do pokoju, aż do chwili, gdy z niego wyszedłem. Gdyby nie był ranny, nie zniósłbym tego nawet przez moment.

Willie May nie wiedziała, co o tym myśleć. Takie oskarżenie wobec jej ukochanego było zbyt fantastyczne, aby wyrazić je słowami.

— Co takiego powiedział? — spytała.

— Same insynuacje. I nie mam tu najmniejszej wątpliwości. Ten człowiek to głupiec. Pozwolił, by zazdrość wymknęła się u niego spod kontroli. — Sugg machnął niedbale ręką. — Zapomnij o tym. To, co on mówi i myśli, nie ma dla nas żadnego znaczenia.

Nie potrafiła jednak tak łatwo przejść nad tym do porządku dziennego. Hiram oczywiście musiał się mylić. Bob nie mógł mieć nic takiego na myśli. Postanowiła zapytać ojca, co dokładnie zostało powiedziane podczas tej rozmowy.

Na obrzeżach miasta skręcili w ścieżkę znaną jako Lovers' Lane. Niedaleko jej końca przepływał strumyk, przez który przeszli po kamieniach, żeby nie zmoczyć stóp. Sugg podał jej rękę, by się nie poślizgnęła, a gdy znaleźli się po drugiej stronie, przytrzymał ją i popatrzył jej w oczy. Poczuła puls podniecenia w gardle. Bliskość tego mężczyzny zawsze wywoływała w jej piersi falę gorąca i sprawiała, że robiło jej się słabo w kolanach. Był tak intensywnie męski. Kiedy ją całował, tak jak zrobił to teraz, coś magnetycznego w nim przyciągało ją do niego, a jej miękkie ciało wibrowało i reagowało na jego siłę. Nie była już arogancką młodą królową J A B. Była tylko dziewczyną, słabą i chętną, w ramionach dominującego kochanka.

Broderick czekał na werandzie na swoją córkę, gdy ta wróciła z Suggiem. Związek tych dwojga niepokoił go. Kiedy młody finansista wyszedł, oczy hodowcy podążyły za nim, za jego szerokimi, rozłożystymi, płaskimi plecami i mocnym, lekkim krokiem. Był wojownikiem, lecz J.A. nie przypuszczał, aby hojnym. Cienkie, zaciśnięte usta i twarde oczy stanowiły wyraźne ostrzeżenie. Kobieta, którą poślubi, nie będzie wolną istotą. Będzie musiała dostosować się do jego wymagań.

Nagle Broderick zadał córce pytanie.

— Czy kochasz Hirama Sugga?

Odpowiedziała bez uników:

— Myślę, że tak… bardzo.

Szukał słów, aby powiedzieć jej o swoich uczuciach odnośnie tego człowieka, gdy zadała mu pytanie.

— Czy Bob Lee powiedział Hiramowi, że uważa go za jednego z rabusiów pociągu z Santa Fe?

Jej ojciec nie śpieszył się z odpowiedzią.

— Nie, nie posunął się aż tak daleko.

— Co masz na myśli? Czy powiedział coś podobnego? — Jej głos był ostry i cienki.

Broderick ponownie ostrożnie dobierał słowa.

— Bob uważa, że on jest za bardzo zaprzyjaźniony z Hickorymi.

— Lepiej, niech Bob pilnuje swoich spraw. Za kogo on się uważa?

— To dobry chłopak. — Broderick przeniósł rozmowę z Lee na Sugga. — Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, kochanie. Hiram to twardy człowiek. Nie ma w nim cienia uległości. Dziewczyna, która za niego wyjdzie, będzie musiała robić to, co on jej każe. Nie zawsze będzie ci się to podobać.

— Powiedziałeś mi kiedyś, że małżeństwo to kompromis.

— Nie w przypadku Hirama Sugga. On nie pójdzie na żaden kompromis. Jest jeszcze jedna rzecz, kochanie. Jesteś go pewna? Nie chodzi mi o jego uczucia do ciebie. Chodzi mi o jego uczciwość. Czy kiedykolwiek nie wydało ci się, że za bardzo zależy mu na zarabianiu pieniędzy… aby stanąć u jego boku?

— Czyż nie wszyscy tego chcą? Czy się mylę?

— Tak. Pytanie jednak brzmi, jak daleko człowiek jest w stanie się posunąć, aby to osiągnąć. Sukces w dążeniu do zdobycia pozycji wielkiego człowieka nie jest najważniejszą rzeczą w życiu. Człowiek musi zachować uprzejmość i przyzwoitość. Musi zachować szacunek do samego siebie, musi żyć według uczciwych zasad.

Willie May kilka razy przeszły przez głowę podobne wątpliwości, lecz nie miała zamiaru wysłuchiwać ich od jakiejkolwiek innej osoby.

— Hiram jest biznesmenem, a nie ranczerem — oświadczyła. — Nie patrzy na sprawy tak jak ty, ale jest wielkim człowiekiem i wierzę w niego. To oburzające, że taki chłopak jak Bob Lee, zwykły kowboj, próbuje nastawiać cię przeciwko Hiramowi. Jemu też to powiem.

Tego wieczora ten temat nie został już więcej poruszony, ale J.A. wrócił do niego następnego ranka przy śniadaniu. Siedział naprzeciwko córki w hotelowej jadalni, rzekomo czytając egzemplarz Globe-Democrat sprzed tygodnia. Willie May zauważyła, że bardzo wiercił się na krześle, i dostrzegła, że spogląda na nią znad gazety.

Oczyścił gardło.

— Chciałbym z tobą porozmawiać, kochanie — powiedział w końcu.

— Tak, widzę. — Uśmiechnęła się do niego. — Co znowu robiłam? Za dużo wczoraj wydałam?

Wybuchnął łagodnie.

— Dobrze wiesz, że nie obchodzi mnie, ile wydajesz. Zawsze jesteś rozsądna.

— Chcesz mi tylko powiedzieć, jak piekielne są te przeklęte jankeskie cła ochronne — zasugerowała słodko.

— Nie powinnaś tak mówić. Jesteś teraz młodą damą.

Z przyjazną złośliwością udała, że źle zrozumiała jego reprymendę.

— Chcesz mi powiedzieć, że powinnam być republikanką.

— Wiesz, co miałem na myśli. Nie powinnaś przeklinać.

— Nie wiedziałam, że Teksańczyk przeklina mówiąc „przeklęty Jankes”. Myślałam, że to stwierdzenie faktu.

— Chcę z tobą porozmawiać o Hiramie Suggu.

— Chyba nie próbujesz przyśpieszyć ślubu, żeby się mnie pozbyć?

— Nie chcę zranić twoich uczuć. Ale rozmawiałem z Bobem Lee po tym, jak rozstaliśmy się wczoraj wieczorem. Wygląda na to, że jest bardzo pewny, że to Hiram był w obozie Hickorych w nocy, kiedy Bob tam ich odnalazł. Mężczyzna, o którym mówi, był odwrócony do niego plecami, ale przysiągłby, że to był Sugg.

— Lepiej, żeby zbadał sobie oczy i głowę — odparła dziewczyna ze złością. — Jestem zaskoczona, że powtarzasz to, co on opowiada, i nie chcę tego więcej słuchać.

Z iskrzącymi ze złości oczami podniosła się z krzesła i wyszła z pokoju.

Godzinę później na stacji przywitała się z Bobem bardzo sztywno, a w pociągu nie miała mu nic do powiedzenia, dopóki ojciec nie zostawił ich razem i nie poszedł do wagonu dla palących, na cygaro.

Kiedy odezwała się do Boba, była zwodniczo łagodna.

— Opowiedz mi o swojej podróży i wszystkich przygodach.

Bob ucieszył się, że zrezygnowała z poprzednio okazywanej sztywności. Nie wiedział, że prowadziła go do zguby.

— Niewiele mam do powiedzenia — powiedział. — Natknąłem się na tego Todda w Tecumseh. Hickory też tam byli.

— Spotkałeś ich?

— Tak, w hotelu. Domyśliłem się, że planują jakąś podłość i pojechałem za nimi kawałek za Guthrie.

— Powiedziałeś mi kiedyś, że nie szukasz kłopotów z nimi.

— Nie szukałem, ale chciałem coś na nich znaleźć, jeśli by mi się udało, na rzecz Cle Hightowera.

Willie May wciąż okazywała niewinne zainteresowanie.

— Miałeś z nimi trochę kłopotów w Tecumseh, prawda?

— Odrobinę. Trochę mnie obskoczyli.

— Jak?

Opowiedział jej krótko, co wydarzyło się w hotelu.

— Więc to pan Sugg powstrzymał ich przed zastrzeleniem cię.

— Tak. Mieli wyciągniętą broń i byli gotowi do rozpoczęcia strzelaniny, ale on stanął przed nami i powstrzymał ją.

— To znaczy stanął przed nimi - między tobą a tymi ludźmi?

— Zgadza się.

— W miejscu, w którym mógłby zginąć, gdyby doszło do strzelaniny?

— Tak.

— Uratował ci życie?

— Myślę, że może tak.

— Oczywiście, czujesz do niego wdzięczność.

Bob zaczął dostrzegać kierunek, w którym zmierzały jej pytania. W jej głosie słychać było ostry ton, który zdradzał złość. Spychała go na pozycję nie do obrony.

— Bardzo się cieszę, że tam był.

Wylała się na niego swoją pogardę.

— I po tym, jak uratował ci życie, atakujesz go skrycie, oskarżając go o to, że jest rabusiem pociągów.

Lee znalazł się w potrzasku. Fakt, że dziewczyna była zakochana w Suggu, uniemożliwiał mu obronę. Jak powiedział Broderick, nie miał żadnych dowodów, a jedynie własną pewność, że jego podejrzenia są prawdziwe. Nie mógł powiedzieć Willi May, że fakt, iż Sugg uratował mu życie w Tecumseh, był jednym z punktów, które w jego umyśle obciążały tego człowieka i przekonywały go, iż Sugg interweniował nie po to aby go chronić, lecz dlatego, że pojawienie się stróżów prawa miałoby fatalny skutek dla ich przedsięwzięcia. Bob pamiętał każde jego słowo. „Nikt z nas nie chce, żeby szeryfowie i przedstawiciele prawa kręcili się w pobliżu nas, prawda? Odwołaj swoje polecenie. Przynajmniej na teraz.”. Nie mówił tego

w obronie Boba. Apelował do nich, aby nie zmarnowali szansy na udany napad, zabijając kompletnie w tamtym czasie nieistotnego kowboja.

Bob zdawał sobie jednak sprawę, że same słowa nie obronią się w oczach zakochanej dziewczyny. Został pokonany.

— Nie ma innego wyjścia. Muszę przyznać, że jestem zwykłym skunksem — powiedział.

— I sam to przyznajesz! — chlasnęła głosem jak biczem.

— Zgodnie z tym, jak ty na to patrzysz.

— A jaki inny mógłby tutaj być punkt widzenia?

Jego bezpośrednie spojrzenie spotkało się z jej gniewnymi oczami.

— Nie ma potrzeby się w to zagłębiać.

— Nie sądzę, by taki w ogóle istniał. — Podniosła się z fotela i popatrzyła na niego, a jej twarz zalała złość. — Jesteś nie tylko okropnym niewdzięcznikiem. Jesteś jednym z tych wiecznie wtrącających się cudze życie głupców, którzy uważają, że wiedzą więcej niż ktokolwiek inny na świecie, i że zawsze mają rację.

Bob nie zaprzeczył. Jaki był tego sens? Został osądzony i uznany za winnego.

Rozdział 18
Todd wraca

Tak jak Bob przepowiedział Broderickowi, w ciągu tygodnia znalazł się w siodle. Opalenizna na jego policzkach nieco przybladła. Choć szybko nabierał krwi, nie czuł się tak silny jak zwykle i wspierał powrót do zdrowia swego ramienia, wybierając wierzchowce o lekkim chodzie. Początkowo wykonywał lekkie prace w pobliżu rancza, które nie wymagały zbyt długiej jazdy.

Willie May widywał bardzo rzadko, z wyjątkiem przelotnych spojrzeń z daleka. Ostatnio zachowywała się względem niego bardzo przyjaźnie, ale wiedział, że to koniec. Teraz był dla niej tylko zarozumiałym głupcem.

Krążyło wiele plotek na temat miejsca pobytu bandy Hickorych. Jedna z nich głosiła, że niektórzy z jej członków znaleźli się w Teksasie, inna, że zaszyli się w kraju Czirokezów. Bob był zdania, że się rozdzielili. Prawdopodobnie część z nich nie przebywała już na Terytorium Indiańskim, choć uważał, że sami Hickory chętniej pozostaną w rejonie, który dobrze znają i w którym prawo nie jest na tyle silne, by ich łatwo dosięgnąć.

Nie miał żadnych wieści od Cle Hightowera i niepokoił się o niego. Bardzo możliwe, że próbował dowiedzieć się, gdzie ukryli się Hickory. Gdyby zrobił coś podobnego i dał się złapać w pułapkę, bandyci mogliby go zlikwidować. Ponadto zbliżał się czas egzekucji. Broderick miał trudności z uzyskaniem ułaskawienia. Główny Wódz przyznał, że wrogowie Hightowera mają złą reputację, lecz nie chciał go ułaskawiać bez dowodów na to, że to nie on był agresorem w walce. Cal Judson wykazał się niespodziewanym uporem, a Dyke'a Simsa nie można było nigdzie znaleźć. Bob pomyślał, że może lepiej będzie natychmiast sprowadzić Todda z powrotem. Skoro Hickory ukrywali się przed wymiarem sprawiedliwości, nie bałby się zeznawać, gdyby otrzymał gwarancję bezpieczeństwa. J. A. obiecał znaleźć dla niego i jego rodziny miejsce na ranczu, gdzie będą chronieni przed zemstą przestępców.

Bob wydał wszystkie pieniądze, które otrzymał z pensji, ale pożyczył od Brodericka sześćdziesiąt dolarów na pokrycie kosztów podróży. Ponieważ wiedział, gdzie jest Todd i nie musiał szukać jego tropu, Lee tym razem wyruszył w drogę pociągiem i dyliżansem. Zapukał do drzwi domu obok młyna, kiedy opiekun zwierząt w Buffalo Skull Corral jadł z rodziną obiad. Do drzwi podeszła pani Todd, a na jego widok jej ziemista twarz natychmiast przybrała wyraz niepokoju.

Bob obdarzył ją swym chłopięcym, przyjaznym uśmiechem.

— Widzę, że jestem dla pani ogromnym powodem do zmartwień — powiedział.

Niechętnie zaprosiła go, by wszedł do środka i dołączył do nich przy stole. Przyjął propozycję od razu, zarówno dlatego, że był głodny, jak i dlatego, że wiedział, iż ludzie czują większą życzliwość wobec kogoś, kogo właśnie nakarmili.

Toddowie słyszeli już, że Hickory zostali oskarżeni o napad na pociąg w pobliżu Perry i chcieli usłyszeć wszystkie wieści na ten temat, jakie mógłby im przekazać. Wbrew sobie polubili młodego kowboja. Ich jedynym zarzutem wobec niego było to, że stanowił zagrożenie dla ich bezpieczeństwa.

Przy jedzeniu długo opowiadał im o swoich przygodach od czasu, gdy widzieli go po raz ostatni. Choć umniejszał swój udział w tej historii, byli świadomi, że to on był odpowiedzialny za udowodnienie Hickorym winy za napad. Zarówno Toddowi, jak i jego żonie wydawało się zdumiewające, że ten ledwie nastoletni chłopak mógł dokonać tak wiele. Wytropił swoich wrogów na miejscu popełnionej przez nich zbrodni, przyłapał ich, odnalazł ich nocny obóz i zabił jednego z nich w wynikłej wskutek tego walce. Dokonał tego, podczas gdy grupy pościgowe poszukujące bandytów przeczesywały kraj w dużej odległości od trasy ich ucieczki, nie wiedząc, kim są ci rabusie. Mówił jednak tak, jakby to, co zrobił, było tylko jakąś zwykłą pracą i nie było w tym żadnej jego szczególnej zasługi. To była praca, którą musiał wykonać dla przyjaciela, który miał kłopoty.

Kiedy skończył opowiadać, pani Todd wyprowadziła bezpośredni atak na niego.

— Chcesz, żeby Homer wrócił z tobą do narodu Choctawów — oskarżyła go. — Wygląda na to, że nie potrafisz przyjąć „nie” jako odpowiedzi i więcej nas nie nękać.

— Przyjechałem aby zabrać z powrotem was wszystkich — poprawił ją. — Za darmo. Mój szef jest właścicielem J A B. To duża firma hodowlana, a on jest świetnym człowiekiem. Nie ma lepszego. Ma dla Homera pracę na ranczu w stajni. Jest nas tam spora gromadka i bylibyście tam równie bezpieczni, jakbyście byli u Boga za piecem. Hickory są zbyt zajęci ratowaniem własnych skór, by zawracać wam głowę. Przez cały czas muszą uciekać.

Chuda kobieta o płaskiej klatce piersiowej zadała suche pytanie.

— Ile z tego to tylko gadanie, żeby Homer z tobą wrócił? Miło się tego słucha, ale taki wielki człowiek jak pan Broderick nie będzie się wygłupiał, z troską o Homera.

— Może się pani założyć, że będzie. Zrobi wszystko, aby uchronić Cle Hightowera przed egzekucją. Hickory nie pojawią się w promieniu dwudziestu mil od rancza. Możecie zostać tam na miejscu, dopóki cała ta banda nie zostanie schwytana i zastrzelona, albo wsadzona do więzienia.

— A potem spodziewam się, że o nas zapomni — zauważyła pani Todd. — Homer nie ma tu zbyt wiele pracy, ale to lepsze niż żadna.

Bob mówił przekonująco. Opowiedział im o wielkim ranczu i liczbie zatrudnionych na nim ludzi. Niektórzy z nich zawsze się wykruszali, ale szefowi zależało na stałych pracownikach, których nie swędziałyby nogi i którzy chciałby być stale do dyspozycji.

Dwa dni później wyruszył z rodziną Toddów do Atoka. Tam czekał na nich wóz, który miał zawieźć przybyszów i Boba na ranczo.

Willie May znalazła chwilę czasu, aby powitać przybyszów i przedstawić im mały dom, który miał być ich nowym miejscem zamieszkania. Starała się im jak najbardziej dogodzić, lecz Bobowi bez słów dała jasno do zrozumienia, że nie otrzymał przebaczenia.

Główny wódz Choctawów, plantator Byron Pierce, mieszkał w Caddo na kawałku ziemi, gdzie uprawiał bawełnę. Broderick zabrał ze sobą Todda, aby opowiedział Pierce'owi historię zabójstwa w Four Corners. Wraz z nimi jechali Curt Simson i Bob Lee. Cała czwórka była uzbrojona w karabiny i sześciostrzałowce. Nie spodziewali się spotkać nikogo z gangu Hickorych, ale lepiej było być przygotowanym na wszystko. Przejechali przez Boggy Depot i Caney Creek. Przed wschodem słońca pokonali już znaczną część drogi, a w południe stanęli przed domem wodza.

Pierce był postawnym mężczyzną o kwadratowych ramionach i pięknej głowie, pokrytej długimi, białymi włosami. Przywitał ich w poważny indiański sposób i zgodnie z miejscowym zwyczajem zaprosił na obiad. Był dobrze sytuowanym człowiekiem. Na jego plantacji pracowali jako żniwiarze Murzyni, a pulchna żona jednego z nich była zarówno kucharką, jak i kelnerką w domu Wodza. Aż do kolacji nic nie mówiono o celu wizyty Brodericka. Mężczyźni udali się na zacienioną werandę domu. Kiedy zapalili cygara wyjaśnił, dlaczego przyjechał. Ponieważ był już dwukrotnie u Pierce'a w tej samej sprawie, ten nie był zaskoczony.

— Chciał pan naocznych świadków zabójstwa Sama Hickory — powiedział Broderick. — Lee wykopał jednego spod ziemi. Pan Todd widział całą sprawę. Panie Todd, chciałbym, aby powiedział pan Wodzowi Pierce'owi, dlaczego czekał pan tak długo, zanim się pan zgłosił.

Todd odchrząknął zakłopotany.

— Jest mi wstyd, proszę pana — wyjaśnił. — Lecz faktem jest, że nie jestem wojownikiem i mam na utrzymaniu moją rodzinę. Hickory powiedzieli mi wprost, że jeśli nie będę trzymał gęby na kłódkę, to nafaszerują mnie ołowiem. Wiedziałem też, że oni to zrobią. Kłopoty i tak nie były moimi, więc zgodziłem się i nie puściłem pary z ust, dopóki Bob Lee mnie nie wytropił i nie nakłonił do powrotu.

— Był pan w sklepie w czasie walki? — zapytał Pierce.

— Zgadza się. Hickory znęcali się nade mną, kiedy Indianin wszedł do pomieszczenia. Rzucili się na niego. Ten Sam Hickory zerwał się na nogi i na wstępie powiedział mu, że chce go zabić. Hightower odparł, że nie szuka kłopotów, ale oni nie zwrócili na to uwagi. Zaczęli do niego strzelać. Wycofał się za drzwi. Kiedy broń przestała dymić, Sam Hickory leżał na podłodze. Zmarł po jakichś dwóch minutach.

Pierce zadawał wiele pytań. Przeanalizował każdy szczegół opowieści Todda. Widać było, że jest pod wrażeniem zeznania, ale nie dał żadnej obietnicy. Powiedział, że chciałby, aby dwóch lub trzech innych, ważnych ludzi w plemieniu, usłyszało historię Todda z jego własnych ust.

Broderick domyślał trudności sytuacji. Procesowi nadano tak wiele rozgłosu i tak bardzo powiązano go z walką polityczną za i przeciw istnieniu obecnego rządu Pięciu Narodów, że zmiana werdyktu mogłaby

wyrządzić wiele szkody sprawie plemion. Cle Hightower był nadal niefortunnym pionkiem w wielkiej grze. Ale J. A. miał nadzieję, że przynajmniej uda się uzyskać odroczenie dnia egzekucji, aby zyskać czas na dalsze śledztwo.

Rozdział 19
Kryjówka nad Sunk Bayou

Przed stajnią koło domu na ranczu J.A.B. stał przywiązany do konowiązu nieosiodłany koń ze śladami podróży widocznymi na grzbiecie i kłębie. Ponieważ do obowiązków kowboja należy obserwacja wszystkich ludzi i zwierząt, które tylko wpadną mu w oko, Bob Lee zwrócił uwagę na jego umaszczenie, cechy szczególne, znak na boku i różne inne szczegóły.

Jego oczy zadały Toddowi pytanie bez słów.

— Należy do pana Sugga — odpowiedział stajenny. — Przyjechał może godzinę temu. Panna Broderick i on pojechali bryczką po pocztę.

Bob poszedł do pryczy i zanitował zerwaną linę. Przez okno zobaczył powracający powóz. Nie podniosło go na duchu to, że Willie May tryskała radością, a jej kawaler był niesamowicie przystojny i bardzo pewny siebie. Pomyślał, że ten świat to piekło, skoro ktoś taki jak Sugg może spijać z niego śmietankę. Zabawne, jak dziewczyny były zadowolone z tego, że biorą mężczyznę za pewną partię, jeśli tylko dobrze się prezentuje. Pewnie myślała, że słońce wschodzi i zachodzi, aby zadowolić tego łajdaka.

Pół godziny później Sugg odjechał w kierunku północnym. Bob słyszał, jak mówił Toddowi, gdy stajenny siodłał mu konia, że musi być w Atoka przed piątą.

Nawet jeśli nie ma w niebie Boga, płoty trzeba naprawiać. Bob pojechał na południowe pastwisko, aby naprawić wyrwę w ogrodzeniu, zgłoszoną przez jednego z poganiaczy bydła. Poprzedniej nocy mocno padało. Ziemia w dolnej części była rozmokła. Za ogrodzeniem znajdowała się przerwa w trzcinach, a za nią podmokły niski teren prowadzący do rozlewiska Sunk Bayou.

Przerwa w ogrodzeniu wskazywała na to, że zostało ono przecięte. Na zewnątrz pastwiska rozciągał się kawałek błotnistej ziemi. Były na niej widoczne świeże końskie ślady. Powstały po deszczu, prawdopodobnie w ciągu ostatniej godziny. Bob zsiadł z siodła, odpiął wodze i ruszył przed siebie, aby obejrzeć ślady.

To, co zobaczył, zaskoczyło go. Podkowy zwierzęcia były cienkie, a na zewnętrznej stronie przedniej prawej nogi widoczne było pęknięcie w żelazie. W południe widział taki sam odcisk kopyta w kurzu, przy poręczy do wiązania koni obok stajni J A B.

Sugg odjechał na północ. Powiedział Toddowi, że zmierza do Atoka i ma tam być przed piątą. Jeśli jednak wierzyć śladom, musiał skręcić na południe, kiedy tylko wyjechał poza zasięg widzenia ludzi z rancza. Aby dotrzeć do Atoka, jadąc w tym kierunku, musiałby przepłynąć Zatokę Meksykańską i kilka oceanów.

Dokąd więc zmierzał Sugg? Ponieważ Bob miał dociekliwy umysł, zamierzał się tego dowiedzieć. Przed przejazdem przez pole trzcin założył swój płaszcz przeciwdeszczowy i ściągnął z głowy wielki kapelusz, aby ochronić szyję przed strugami wody, który będą na niego tryskały przy każdym kroku, gdy koń będzie rozsuwał na boki łodygi trzcin.

Na otwartym bagnistym terenie po drugiej stronie trzcinowiska ponownie odnalazł ślady. Ścieżka biegła przez bagno aż do brzegu błotnistego zalewiska rzeki. Z wody wyrastały oznaczone wypalonymi znakami drzewa, których dolne pnie były wyjątkowo grube. Najwyraźniej był to bród. Było to dziwne miejsce, ale Bob przedostał się między cyprysami na drugą stronę. Gdy jego wierzchowiec wydostał się na suchy ląd, młody kowboj zauważył, ześlizgującego się z kłody do zielonego rozlewiska, mokasyna. Pan Sugg - lub jego duch - opuścił rzekę w tym samym miejscu. Ślady prowadziły dalej w górę zbocza, miedzy gęste krzewy na szczycie niewielkiego wzniesienia terenu.

Bob jechał ostrożnie i powoli. Upewnił się, że rewolwer u pasa spoczywa luźno w pochwie. W żołądku miał dziwne uczucie ciężkości. Serce waliło mu o żebra. Raz się zatrzymał, niepewny, czy zawrócić, czy jechać dalej. Rozsądniej byłoby udać się po pomoc, lecz z drugiej strony stałby się pośmiewiskiem do końca życia, gdyby przyprowadził tu grupę chłopców, a na końcu tropu nie było obozu Hickorych. Co więcej, do tego czasu Sugg prawdopodobnie już by udał się w siną dal.

Zsiadł z konia, poprowadził go kilka metrów od słabo wytyczonego szlaku i przywiązał zwierzę do młodego drzewa. Ścieżka była kręta jak trop węża. Wiła się wśród gęstej roślinności, podążając po linii najmniejszego oporu.

Przed nim, nad zaroślami, unosiła się cienka smużka dymu. Domyślił się, że musi być już gdzieś w pobliżu obozu i, nawet ryzykując słaby odgłos trzaskających gałązek, skręcił ze ścieżki w zarośla po lewej. Przez liście widać było otwartą przestrzeń. Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega poruszającą się postać, ale nie miał pewności. Chciał tylko zidentyfikować Sugga i jednego z Hickorych, a następnie wydostać się stąd, zanim zostanie zauważony.

Skręcił jeszcze dalej w lewo, poruszając się z największą ostrożnością, aby uniknąć jakiegokolwiek hałasu. Dostrzegł oparty o drzewo szałas. W ziemię wbito cztery pale, a nad nimi umieszczono dach z konarów. Kiepskie schronienie nie miało ścian. Przesuwając się nieco dalej, Bob zobaczył obozowisko wyraźniej. Dwóch mężczyzn siedziało na pniu starego powalonego drzewa. Byli to Jake Hickory i Hiram Sugg. Z miejsca, w którym leżał przyczajony Bob, nie mógł zrozumieć ani słowa z tego, co mówili.

Bob zaczął się wycofywać. Najszybciej jak potrafił dotarł do ścieżki. Kiedy już się na niej znalazł, ruszył szybciej w kierunku konia. Czuł w sobie wielką niecierpliwość, aby ulotnić się stąd niezauważonym. Musiał ze wszystkich sił powstrzymywać się od ucieczki.

Zszedł ze ścieżki i pośpieszył do konia. Gdy sięgał po wodze, jakiś głos zmroził go i sprawił, że po kręgosłupie przebiegł mu zimny dreszcz.

— Trzymaj je wysoko w górze — rozkazał głos.

Bob odwrócił się. Stał na celu karabinu Cassa Hickory. Kilka metrów od niego stał Rush Greer z wycelowanym w Lee rewolwerem.

Nie było czasu na dyskusje. Ręce Boba uniosły się do góry. Greer wyszedł z zarośli i wyjął mu rewolwer z kabury.

— Upewnij się, że nie ma drugiego — warknął Cass.

Rudobrody mężczyzna przesunął dłonią po ciele Lee.

— To jedyny, jaki ma.

— Przyszedłeś tu sam? — warknął Cass.

Bob myślał szybko. Jedyne, co mógł zrobić, to grać na czas. To go nie uratuje, ale może dać mu dodatkową godzinę.

— Raczej nie, prawda? — mruknął.

W jego głosie nie było słychać drżenia, choć czuł, że ogarnia go zimny dreszcz. Półmrok tego upiornego bagna, z jego gęstą roślinnością i cuchnącą miazgą roślinną, wisiał na nim jak ciężar mrożący wnętrze żołądka. Wystarczająco źle byłoby stanąć twarzą w twarz z niemal pewną śmiercią w jasnym słońcu, ale w spotkaniu z nią tutaj było coś wyjątkowo strasznego. Jego ciało zostanie wrzucone do mulistych, zielonych wód rozlewiska rzeki i żaden z jego przyjaciół nigdy nie dowie się, co się z nim stało. Mimo, że nadzieja w nim umarła, zacisnął zęby, aby odpędzić wzbierającą mu w gardle panikę. Musiał przeciwstawić się tym łotrom i stawić czoła nawet najgorszemu, co mogli mu zrobić.

— Poza koniem Sugga, tym szlakiem jechał tylko jeden inny koń — przypomniał Greer swojemu towarzyszowi.

— Przyjechał sam — stwierdził Cass z pogardą. — Tak mógłby zrobić tylko głupiec.

Zaprowadzili go na ścieżkę i wrócili nią na polanę. Cass podążał za Bobem, od czasu do czasu szturchając prowadzonego mężczyznę między ramionami, aby przypomnieć mu o głupocie próby ucieczki. Młody Lee przeszedł te sto metrów tak, jak robi to człowiek idący na szubienicę. Na jej końcu czekało go już tylko zakończenie ziemskiego żywota. Tym razem Sugg go nie uratuje. Nie odważyłby się, nawet gdyby chciał, ponieważ jego przyszłość zależała od usunięcia jedynego świadka łączącego go z Hickorymi.

Po pierwszym szoku związanym z pojmaniem, hart ducha Lee zaczął dominować nad jego strachem. Postanowienie, aby przetrwać bez oznak słabości umacniało się w nim coraz bardziej. Prośby o litość byłyby bezcelowe i sprawiłyby wrogom jedynie szaloną przyjemność.

Zanim dotarli na polanę, Cass krzyknął radośnie:

— Podejdźcie tu i powitajcie naszego gościa, chłopcy.

Z cyprysowego zagajnika wyszli Jake Hickory i Hiram Sugg. Obaj byli zaskoczeni widokiem Lee. Jake ryknął:

— Skąd on się tu wziął?

— Po prostu przyjechał złożyć nam miłą sąsiedzką wizytę — szydził Cass. — Ale skoro już się tu pojawił, to chyba lepiej, żeby został?

— Jak się domyślił, żeby tu przyjechać? — dopytywał się Jake. — Czy jest sam?

Cass popatrzył na Sugga z gniewną urazą.

— Wygląda na to, że poszedł po śladach pana Sugga. Były wypisane po całej ziemi, więc nawet ślepiec mógłby je odczytać. Nasz ostrożny przyjaciel doszedł do wniosku, że byłoby straszne, gdyby ktokolwiek dowiedział się, że jest z nami związany, więc niemalże zaprosił tego faceta i każdego innego, aby ruszył za nim.

— Dlaczego go tu przyprowadziłeś? — spytał ostro Sugg. — Czemu nie zatrzymałeś go tam, gdzie go znalazłeś?

— Żeby nie zobaczył pana Sugga? — Cass roześmiał się nieprzyjemnie. — No cóż, pomyślałem sobie, że nadszedł czas, abyśmy wszyscy byli równi w tej sprawie. Nie chcemy wyciągać kasztanów z ognia dla nikogo innego. Dałeś nam cynk o tym napadzie na pociąg. To ty powiedziałeś nam, że to pestka, żeby się wycofać i uciec bez szwanku. Dlaczego nie miałby zobaczyć ciebie, skoro widział resztę z nas?

— Wiesz dlaczego — odparł Sugg, a jego zimne oczy wypełnione były wściekłością. — Kto was uratował przed bandą Carsona w zeszłym tygodniu, kiedy się do was zbliżali? Jak miałbym to zrobić, gdybym też był podejrzany?

— Twierdzisz, że nas uratowałeś — odparł Cass z pogardliwym śmiechem. — Jak mógłbym o tym zapomnieć, skoro przypominasz nam o tym przy każdej okazji? Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że myślisz o swojej cennej skórze, a nie o pomaganiu nam.

— Też tak sobie pomyślałem — zgodził się Jake i odwrócił się gniewnie do finansisty. — Jesteś pełen mądrości o trzymaniu pana Sugga z dala od tej sprawy. Do diabła z tym. Nie jesteś lepszy od nas.

Sugg przemówił cicho, jakby bardziej do siebie niż do nich, a w jego słowach dało się wyczuć zjadliwość.

— Popełniłem błąd, wiążąc się z bandą nieudaczników, którzy rozwalają wszystko, czego się dotkną. Kupują w sklepie materiał na maski i oczywiście musi to być coś, co łatwo można zidentyfikować. Jedną z masek zostawiają pierwszemu szeryfowi, który się pojawi na miejscu napadu. Rozbijają obóz na otwartym terenie w pobliżu rzeki, niecałe sto metrów od drogi do McAlester i wysyłają jakiegoś idiotę do miasta, abym przyjechał i powiedział im, co mają robić. Gdybym nie uważał na tych głupców, złapano by ich w ciągu dwóch dni. Myślę, że może lepiej pozwolić im usmażyć się na własnym tłuszczu. Nie da się nic zrobić dla głupców.

Rush Greer odpowiedział szybko, aby zasypać pojawiający się rozłam.

— Niech się pan nie denerwuje, panie Sugg. Cass jest trochę wyrywny, ale musi pan pamiętać, że to tylko dzieciak. Jesteśmy zobowiązani wobec pana. Nie ma sensu, aby ktokolwiek z nas unosił się gniewem. W tej chwili chodzi o to, żeby załatwić sprawę tego gościa, który się tu pojawił. Nie ma sensu kłócić się między sobą.

— Zgadza się — zgodził się Jake. — Po pierwsze, jak znaleźliście tego wścibskiego ptaszka?

— Zauważyliśmy jego konia za krzakami w pobliżu ścieżki — wyjaśnił Cass. — Tam, gdzie jest osiodłany koń, gdzieś w pobliżu musi być jego jeździec, więc zaczekaliśmy sobie, aż się pojawi.

— Na pewno nikogo z nim nie ma? — spytał Sugg.

— Nie ma śladów żadnego innego konia - z wyjątkiem pańskiego — poinformował go Cass z nutką złośliwości wyraźnie słyszalną w tym zastrzeżeniu.

Sugg zignorował policzek.

— Lepiej, żeby któryś z was wrócił nad rozlewisko i stanął tam na straży, aby upewnić się, że nikt inny nie pojawi. Ty jedź tam, Cass.

— Jedź sobie sam, jeśli się boisz — odparł bezczelnie Cass.

Sugg podszedł do niego powoli, wpatrując się w zbuntowanego młodzieńca twardym spojrzeniem.

— Kiedy mówię jedź, to jedziesz.

Słowa padały rytmicznie z cienkich warg ust Sugga o, a każde z nich było starannie zaakcentowane, przesiąknięte lodowatą groźbą.

Zanim młodszy Hickory zdążył się zdecydować, czy się sprzeciwić, czy ustąpić, Suggowi pośpieszył z pomocą Jake.

— Lepiej jedź tam, Cass. Nie chcemy, żeby ktoś zwalił nam się znienacka na głowy. Jeśli ktokolwiek się pojawi, szybko wracaj. Rush sprowadzi konie i osiodła je, tak byśmy byli gotowi do natychmiastowej ucieczki, gdyby zrobiło się tu zbyt tłoczno.

Cass wpatrywał się w Sugga, a na jego chłopięcej twarzy malowała się złośliwość. Chciał podtrzymać rzucone finansiście wyzwanie, ale nie odważył się tego zrobić. Interwencja Jake'a dała mu możliwość wyjścia z sytuacji, z którego skorzystał.

— W porządku — warknął. — Ale mówię wam, że on przyjechał sam.

Gdy jego brat i Greer odeszli, Jake podszedł do jeńca, zdjął mu kapelusz i zamachnął się w jego odkrytą głowę niebieską lufą swojej czterdziestki piątki. W głowę Boba jakby uderzył piorun. Zakołysał się na piętach i ugięły się pod nim kolana. Nieprzytomny upadł na ziemię.

— Jeśli chcesz od niego informacji, to wybrałeś dziwny sposób na ich wydobycie — stwierdził zimno Sugg. — Prawdopodobnie będzie nieprzytomny przez pół godziny.

Hickory wpatrywał się w leżącą na ziemi postać z nienawiścią na brzydkiej, wilczej twarzy.

— Zasłużył sobie. Obiecałem mu, że go dorwę.

— I nie mogłeś poczekać, aż zmusimy go do mówienia, aby dowiedzieć się, czy nie ma tam jakiejś bandy, która podąża tuż za nim. Czy ty nigdy nie używasz głowy?

— Będzie mówił, jak tylko się obudzi — oznajmił samochwalczo Jake. — Wiem, jak rozluźnić języki takim ptaszkom jak on. Na Boga, wypalam z nich wszystko rozgrzanym żelazem.

Odwrócił się do ognia i zebrał tlący się żar w stos. Położył na nim więcej drewna, które wkrótce stanęło w płomieniach. W węgle wepchnął koniec żelaza do piętnowania bydła.

Sugg przyglądał mu się ponuro, z rękami w kieszeniach. Nie podobała mu się ta sytuacja. Choć zimny i bezwzględny, nie był ani brutalny, ani nieludzki. Nie mógł jednak sprzeciwić się tym surowym, nawet okrutnym środkom.

— Myślałem, że płynie w tobie indiańska krew Choctawów, a nie Apaczów — wspomniał ze swobodną pogardą.

Jake zarumienił się z gniewu. Uważał się za białego człowieka, a nie Indianina. Choć był gruboskórny, nie był na tyle tępy, by nie zrozumieć, że Sugg próbuje go obrazić.

— Dość już od ciebie przyjęliśmy obelg, Sugg — oznajmił szorstko. — Nie możesz nas przez cały czas obrażać i liczyć, że ujdzie ci to na sucho.

— Nie groź mi, Jake — odparł Sugg niskim, lodowatym głosem. — Jeśli nie jesteś zadowolony, powiedz to, a załatwimy sprawę od ręki.

Rabuś pociągów popatrzył jadowicie na swojego rozmówcę. Nie ufał Suggowi i zazdrościł mu tej siły, która czyniła go przywódcą gangu. Wzbierało w nim przemożne pragnienie podjęcia wyzwania, ale nie był w stanie doprowadzić swoich nerwów do punktu eksplozji. W oczach Sugga kryła się niezmienna śmiertelna groźba, która go onieśmielała.

— Nie ma sensu, żebyśmy rzucali się na siebie jak walczące koguty — warknął. — Musimy trzymać się razem, dopóki z tego się nie wydostaniemy.

Lee wyrwał się z gardła niski jęk. Jego oczy otworzyły się i zamknęły. Hickory złapał go za przód koszuli blisko gardła i potrząsnął nim gwałtownie. Poderwał Boba na nogi, lecz chłopak zachwiał się i upadł na ziemię.

Jake spojrzał na niego z gniewem i kopnął go w żebra. Wyładowywał na bezbronnym kowboju wściekłość, której nie ośmielił się okazać Suggowi.

Rozdział 20
Skrawek zwęglonego papieru

Z niezmordowaną cierpliwością charakterystyczną dla swojej rasy, Cle Hightower zajął się tropieniem rabusiów pociągów. Krążyło całkiem sporo plotek na temat miejsca pobytu gangu Hickorych, lecz większość z nich cichła, gdy tylko docierał do ich źródła. Dni następowały po sobie i minął tydzień, zanim otrzymał konkretną wskazówkę od wędrownego Indianina Creeka. Indianin ten przybył z kraju Kiamichi przez góry Sans Bois i natknął się na dwóch ludzi, którzy właśnie zastrzelili jelenia. Nawet wtedy ich zachowanie wydawało mu się dziwne, ponieważ celowali do niego z karabinów i kazali mu się do nich nie zbliżać. Kiedy dotarł do Wilburton, dowiedział się o napadzie na pociąg z Santa Fe i od razu zaczął podejrzewać zauważonych wcześniej myśliwych. Opis tych ludzi pasował do Cassa Hickory i Rusha Greera.

W przydrożnym piasku Creek narysował dla Cle zaostrzonym patykiem mapę drogi do miejsca, w którym widział myśliwych. Hightower bez trudu zapamiętał wszystkie szczegóły z tej mapy, płaską ścianę skalną wystającą ponad grzbiet, wierzby wzdłuż potoku, rozpadającą się ziemiankę starego łowcy bizonów, czerwone podnóża wzgórz z głębokim wąwozem, w którym leżały czaszki trzech koni.

Choctaw napełnił sakwy zapasami i ruszył przez prerię w kierunku pasma Sans Bois. W ciągu kilku godzin minął i zidentyfikował szereg punktów orientacyjnych podanych mu przez Creeka. Kiedy blisko zmroku jechał w górę wąwozu z czaszkami, wiedział, że musi znajdować się blisko miejsca, w którym widziano myśliwych.

Rozbił suchy obóz bez ognia i o świcie znów był w siodle. Dotarłszy do małego strumienia, podążył wzdłuż niego w kierunku wzgórz. Gdyby bandyci rozbili obóz w Sans Bois, prawdopodobnie musiałby znajdować się on nad brzegiem tego strumienia. Rozumowanie to było uzasadnione, gdyż godzinę później zatrzymał się i zobaczył zimne popioły niedawnego ogniska. Zsiadł z konia, aby zbadać podłoże – nagą, równą płaszczyznę rozpadającej się granitowej skały. Gołym okiem nie było widać na niej żadnych śladów. W pobliżu odnalazł jednak miejsce, w którym stały konie. Miejsce to opuszczono w ciągu ostatnich kilku godzin.

Hightower zauważył kawałek zwęglonego papieru. Podniósł go i wygładził zmięty arkusz. Była to część pierwszej strony gazety Guthrie Herald, a data wydania pokrywała się z datą napadu. Choctaw długo przyglądał się skrawkowi gazety, ale jego umysł nie skupiał się na tym, co było tam napisane. Rozważał w myślach historię, w jaki sposób gazeta znalazła się w tym miejscu. Jeden z bandytów musiał zabrać lub kupić „Heralda” w Guthrie w drodze do Mulhall. Kiedy skończył go przeglądać,

włożył gazetę do kieszeni, gdzie spoczywała ona nieruszana, dopóki nie została wyciągnięta, by rozpalić ognisko. Po tym, jak posłużył się nią w tej potrzebie, ani on, ani jego towarzysz nie zastanawiali się dłużej nad skrawkiem papieru. Był to jednak wyraźny dowód na to, że obozowicze byli w Guthrie w dniu napadu na pociąg. W końcu Cleburn znalazł się na tropie ludzi, których szukał.

Śmieci z obozu wskazywały, że bandyci przebywali w tym miejscu dwa lub trzy dni. Być może opuścili obóz, ponieważ zobaczył ich Indianin Creek. Dokąd się udali, można było tylko zgadywać. Być może wyruszyli do Arkansas lub Teksasu, albo skierowali się w stronę swoich dawnych siedlisk. Z pewnością nie mogli skręcić z powrotem na północ, do kraju, w którym prawie zostali uwięzieni. Przez całe swe życie krążyli po okręgu Kiamichi. Znali tam setki kryjówek, w których mogli się schować, by nie zostać odnalezionym przez stróżów prawa. Rozumiejąc, jak działają umysły takich ludzi, Hightower zdecydował, że uciekinierzy będą trzymać się terenu, którego byli pewni, i nie zapuszczą się na obce ziemie, poza granicami Narodu.

Gdyby zabrakło im prowiantu, musieliby zdobyć świeże zapasy. Wydawało się prawdopodobne, że kupią to, czego potrzebują, w punkcie handlowym Clayton Station. Zjechał ze wzgórz do doliny rzeki Kiamichi, przejechał przez nierówny teren, pocięty przez erozję wąwozami i wypłukanymi przez wodę kanionami, i dotarł do trawiastej prerii, na której znalazł pasące się bydło.

Tutaj zsiadł z wierzchowca i pozwolił mu się paść przez godzinę. W środkowych godzinach popołudnia dotarł do placówki handlowej. Choctaw nie powtórzył błędu, który popełnił kiedyś w Four Crossing. Zanim się pokazał, upewnił się, że do konowiązu przed budynkiem nie uwiązano żadnego konia. Kiedy uwiązał kasztana, którego dosiadał, zrobił to przy pomocy węzła, który mógł rozwiązać jednym szarpnięciem za wodze.

W sklepie nie było nikogo poza jego właścicielem, małym kulawym siwowłosym człowiekiem, reagującym na nazwisko Boden. Mieszkał w tym dzikim kraju od wielu lat i nabrał zwyczaju ochronnej tajemniczości osadnika, który za wszelką cenę stara się trzymać z dala od kłopotów.

Indianin kupił od niego tytoń, skręcił papierosa i zapalił. Boden znał go z widzenia. Zdawało mu się, że ten beznamiętny Choctaw czeka na wyrok śmierci, który ma zostać wykonany za kilka dni. Ale to była wyłącznie osobista sprawa Hightowera i nie należało o niej rozmawiać.

Ponieważ pogoda wydawała się bezpiecznym tematem, handlarz wspomniał, że w ciągu ostatniego tygodnia spadło sporo deszczu. Hightower chrząknął. Po dłuższej chwili milczenia Cleburn nawiązał mimochodem do polowania na Hickorych. Boden nie miał nic do powiedzenia na ten temat. Jeśli kiedykolwiek słyszał, że uciekają oni przed prawem, nie dał tego po sobie poznać. W odpowiedzi na bezpośrednie pytanie powiedział, że nie widział żadnego z nich od kilku miesięcy.

Hightower wyszedł z budynku i zobaczył szeryfa Whita Carsona oglądającego jego konia.

Stróż prawa popatrzył na Choctawa.

— Twój koń jest trochę wychudzony — powiedział. — Wygląda na to, że dosyć daleko podróżowałeś.

Cleburn opowiedział mu o swojej ostatniej wędrówce, o wystygłym ognisku obozu, na który się natknął, i o swoich podejrzeniach co do tych, którzy go założyli.

Jasnoniebieskie oczy w brązowej, skórzastej twarzy szeryfa spoczęły na Indianinie bez mrugnięcia okiem.

— Ty jesteś Cleburn Hightower, prawda? — spytał.

— Tak.

— Tak myślałem. Cóż, nie mam nic przeciwko temu, by powiedzieć ci, że przez dwa-trzy dni znajdowałem się tuż za plecami tych dwóch panów. Lecz zgubiłem ich gdzieś na wzgórzach. Myślę, że masz rację. To właśnie ich szukamy. Niecałe trzy godziny temu przyjechał tu jakiś człowiek i kupił prowiant. Zapytam teraz o to Bodena.

Hightower wrócił ze stróżem prawa do punktu handlowego.

Carson nie tracił czasu na zagajenie rozmowy ze sklepikarzem.

— Kilka godzin temu przyszedł tu jakiś człowiek i kupił zapasy — powiedział bez ogródek, po czym zadał ostre pytanie. — Kim on był?

Handlarz próbował udawać niewinność.

— Jakiś obcy facet ze wzgórz — wymigiwał się od odpowiedzi. — W dzisiejszych czasach to nieźli spryciarze.

— Nie okłamuj mnie, Boden — rozkazał krótko szeryf. — Wiem, kto to był - Green Scott. Tym razem nie uda ci się wykręcić od odpowiedzi. Hickory to mordercy i rabusie, a my zamierzamy wyczyścić całe to ich gniazdo. Powiedz nam, co wiesz, chyba że chcesz udać się ze mną do sądu sędziego Parkera jako współwinny po fakcie.

Jak się okazało, Boden nie wiedział zbyt wiele. Green Scott przyjechał i kupił kawę, mąkę, kawałek bekonu oraz trochę suszonej fasoli. Nie powiedział, dla kogo to miało być, ale sklepikarz przyznał, że mogło to być dla kogoś z Hickorych. Ruszył w drogę powrotną do swojego domu nad rzeką Black Fork. Ani szeryf, ani Hightower nigdy tam nie byli. Boden dał im wskazówki, jak go odnaleźć.

Carson nie czekał na swój oddział, który pod dowództwem zastępcy przeczesywał okolice Buffalo Creek. On i Cleburn natychmiast wyruszyli do miejsca zamieszkania Scotta. Pasmo Black Fork rozciągało się na północ od gór Kiamichi i to właśnie w zakamarkach tych wzgórz spodziewali się znaleźć przestępców, jeśli w ogóle się na nich natkną.

Na ich pukanie do drzwi, w wejściu dwupokojowego domu z bali, zajmowanego przez osadnika, pojawiła się pani Scott. Jej mąż, jak powiedziała, był na polu i kosił kukurydzę.

Green Scott był zaskoczony i zaniepokojony, gdy Carson zawołał go z końca zagonu. Ogólnie rzecz biorąc, był praworządnym obywatelem i kupił zapasy dla Hickorych tylko dlatego, iż bał się, że bandyci go dopadną. Wiedział jednak, co go teraz czeka. Zostanie poddany presji, która zmusi go do opowiedzenia się po jednej lub drugiej stronie. Od razu zdecydował się stanąć po stronie prawa. Jego historia była dosyć prosta. Cass Hickory i Rush Greer wyciągnęli go z domu wczesnym rankiem i powiedzieli, że

muszą mieć zapasy. Nie chciał się w to angażować, ale dali mu jasno do zrozumienia, że musi im pomóc albo poniesie konsekwencje odmowy.

— Gdzie rozbili obóz? — spytał Carson.

Scott pokręcił głową.

— Nie wiem. Wyłonili się z zarośli i spotkali mnie na drodze z miasta, tuż przy skrzyżowaniu z Fork.

— W którą stronę poszli, kiedy cię zostawili?

— Kierowali się z powrotem w zarośla, jakby zmierzali do gór Kiamichis.

Dla Carsona i Hightowera wyglądało to rozsądnie. Nie sądzili, że Scott próbuje sprowadzić ich na manowce. Osadnik chciał mieć tylko pewność, że bandyci nie zwrócą się przeciwko niemu za to, że ich zdradził.

— Nie powiedzieli ci niczego, co mogłoby dać ci namiary na ich obóz? — dopytywał się Carson.

Scott zawahał się.

— Coś co powiedział jeden z nich, wskazywało, że pomyślałem, iż czekają tylko na żarcie, żeby się stąd ulotnić.

— Dokąd?

— Nie powiedział. To był Cass. Wspomniał tylko, że więcej ich nie zobaczę i że mam w ogóle zapomnieć, że ich widziałem. Potem roześmiał się i powiedział, że wasze oddziały pościgowe robią się trochę zbyt przyjacielskie.

Carson zmarszczył brwi, zastanawiając się nad tym.

— Wczoraj przeczesywaliśmy Kiamichis. Mogli patrzeć na nas z półek skalnych, gdy przejeżdżaliśmy w dole.

— Możliwe — zgodził się Scott.

— Pytanie tylko, dokąd się stąd udadzą?

— Może ukryją się teraz w krainie Hackberry Creek — zasugerował Indianin. — Jest tam mnóstwo terenu porośniętego zaroślami.

Hackberry Creek była to ich ziemia ojczysta. Carson uznał za całkiem prawdopodobne, że mogą tam się zaszyć na jakiś czas.

— Może pojedziemy do Four Corners i zobaczymy, czego uda nam się tam dowiedzieć? — zasugerował Hightowerowi.

Choctaw przytaknął.

Przejechali przez spory kawałek terenu i dotarli do Four Corners po zmroku. Placówka handlowa była zamknięta. Carson i Hightower przejechali obok niej i zatrzymali się w domu doktora Taylora. Od niego dowiedzieli się, że gdy wracał z od chorego godzinę lub nieco więcej temu, ze sklepu wyszło dwóch ludzi, wsiadło na konie przywiązane do konowiązu i odjechało. Było już ciemno, a on nie był wystarczająco blisko, aby ich rozpoznać. Jedyną dziwną cechą tego incydentu było to, że w sklepie nie paliło się światło. Nie widział Cala Judsona, ale ktoś w środku zamknął drzwi za tymi ludźmi. Dotarł do niego szczęk przesuwanej zasuwy.

— Myślę, że lepiej będzie zobaczyć się z Judsonem — stwierdził ponuro szeryf.

Wyrwany z łóżka krzykami stróża prawa, Judson nie był w stanie ukryć przerażenia na ich widok. Przez chwilę myślał, że Indianin przybył zemścić

się na nim za fałszywe zeznania, które złożył podczas procesu. Ale już pierwsze pytanie Carsona pokazało mu, że tak nie było.

— Zadałeś się z bandytami i mordercami, co Cal?

Judson nie zdążył się nawet w pełni ubrać. Zadrżał w chłodnym nocnym powietrzu.

— Nie, nieprawda — odpowiedział, szczękając zębami. — Dlaczego tak pan mówi?

— Ponieważ niecałą godzinę temu odwiedziło cię dwóch ludzi z bandy Hickorych, którzy rozmawiali z tobą po ciemku.

— Czy mogę coś poradzić na to, że tacy ludzie przychodzą i zmuszają mnie do sprzedawania im jedzenia? — spytał handlarz po dłuższej chwili milczenia.

— Więc się przyznaj. Będziesz miał poważne kłopoty, jeśli nie będziesz uważał, Cal. Powiedz wszystko, co wiesz.

— Nic nie wiem, poza tym, że Jake Hickory wpadł dziś do mnie i powiedział, żebym przekazał młodemu Cassowi i Rushowi Greerowi, jeśli się pojawią, że znajdą w starym drzewie pocztowym eukaliptusa list wyjaśniający, co mają robić.

Judson przekazał tę informację z kwaśną miną. Czuł, że znalazł się między młotem a kowadłem, i że cokolwiek zrobi może to sprowadzić na niego poważne kłopoty.

— Co on miał na myśli - stare drzewo pocztowe eukaliptusa?

— Nie wiem, szeryfie. Pańskie przypuszczenia są równie dobre jak i moje.

— To musi być jakieś drzewo z dziuplą, w którym zostawiali sobie wiadomości — zaryzykował domysł Carson.

— Nad Hackberry Creek nie ma eukaliptusów — powiedział Cleburn. — Jedyne drzewa eukaliptusa, jakie znam w pobliżu, rosną w lasach wokół Sunk Bayou.

— Gdzie jest Sunk Bayou?

— Na południe od J A B. Czasami jeździmy tam, by wyciągnąć krowę z bagna. Nieczęsto. Łatwo się na tych bagnach zgubić.

Carson wpatrywał się w Indianina, a przez głowę przebiegały mu gromady myśli. Nikt by się nie spodziewał, że Hickory zaszyją się na skraju wielkiego rancza, na którym mieszkali ich wrogowie. Zadał Hightowerowi pytanie.

— Jeździcie w głąb bagien czy tylko tam, gdzie zaczyna się robić grząsko?

— Nigdy nie zapuszczamy się daleko w głąb bagien. Bydło się tam nie chce paść. Pasza nie jest dobra.

— Zjedźmy w dół, aż do trzcinowiska, przy którym są eukaliptusy — powiedział Carson. — Może znajdziemy ślady, które wskażą nam, dokąd się dalej udać.

Choctaw ubrał w słowa myśl, która kołatała się w głowie szeryfa.

— Być może Hickory mają kryjówkę w Sunk Bayou. Nikt by ich tam nie szukał.

Stróż prawa wydał Judsonowi krótki rozkaz.

— Idź i kładź się do łóżka, Cal. Nie próbuj się w to mieszać. Jeśli spróbujesz przekazać wiadomość tym bandytom, sam również wylądujesz w więzieniu.

Judson popatrzył na niego z wyrzutem.

— Najlepszą nowiną, jaką ktokolwiek mógłby mi przekazać, byłoby to, że gang Hickorych został rozbity — powiedział.

— Jeśli to prawda, to nie za długo dostaniesz dobre wieści — obiecał mu Carson.

Dwaj jeźdźcy skierowali konie na drogę, która biegła jak biała smuga światła, w mrokach księżycowej nocy.

Rozdział 21
Załatwmy go

Uderzenie ciężkiego buta Jake'a Hickory w żebra sprawiło, że Bob poczuł przeszywający ból. Niski jęk naparł na jego zaciśnięte zęby. Usłyszał zimny, stalowy głos Sugga.

— Nie bądź głupi, Jake. Daj mu szansę pogadać. Grupa pościgowa może właśnie zbliżać się do nas.

Lee wracał do wciąż zamglonego i dziwnie przechylonego na bok świata. Poza bólem i mdłościami mieszała mu w głowie niepewność. Wiedział, że jest w rękach swoich wrogów, ale nie do końca było dla niego jasne, jak do tego doszło. Lecz słowa Sugga wyraźnie wskazywały, że chcą go zmusić do mówienia. Lepiej wykorzystać mgłę, w której nadal unosiła się jego głowa i pozwolić im myśleć, że wciąż jest nieprzytomny, przynajmniej dopóki nie zdecyduje, co zrobić i co powiedzieć. Jego głowa opadła na bok i leżała bez ruchu.

— Znowu odpłynął, kretynie. — Władczy głos Sugga dotarł do Boba na fali mgły. — Przynieś wodę. Musimy go ocucić, a kiedy to zrobimy, ja się nim zajmę.

Odpowiedzią Hickory było warknięcie, które mogło oznaczać cokolwiek, jednak najwyraźniej poszedł po wodę, bo wkrótce całe jej wiadro zalało twarz i klatkę piersiową jeńca. Lee leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami. Pod koszulą czuł dłoń Sugga, który szukał jego serca.

— Mocno bije — powiedział finansista do swego towarzysza. — Dochodzi do siebie.

Jake zaklął głośno.

— Udaje trupa. Tak z nami pogrywa. Zdejmę mu buty i zobaczymy, jak mu się spodoba piętnowanie stóp.

— Nie wtrącaj się, dopóki ci nie pozwolę — rozkazał Sugg.

Ostro uszczypnął kowboja w ciało nad żebrami, blisko serca i zauważył grymas bólu na twarzy Lee.

— To nie ma sensu — oznajmił Bobowi. — Nie nabierzesz nas. Masz do wyboru dwie rzeczy. Odezwij się do mnie albo…

Sugg machnął ręką w kierunku Hickory. Alternatywa była oczywista.

Bob otworzył oczy.

— Już od tamtej nocy w Tecumseh wiedziałem, że jesteś oszustem — wysyczał.

— Teraz nie ma już znaczenia, co o mnie wiesz — odpowiedział Sugg. — Chciałem, żeby było inaczej. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żebyś się nie wtrącał, ale byłeś piekielnie zdeterminowany, by bez przerwy wsadzać nos w nie swoje sprawy. Odpowiedz mi na następujące pytanie. Czy któryś z twoich przyjaciół wie, że tu jesteśmy?

Młody mężczyzna skinął głową.

— Pierścień zaciska się wokół ciebie, Sugg, i wokół tych łotrów, którym przewodzisz. Nie przeżyjesz mnie długo. Może i byłem frajerem, ale nie większym niż ty.

— Nie sądzę, aby ktokolwiek wiedział, że tu przyjechałeś. Po prostu przypadkiem natknąłeś się na ślady mojego konia. Czyż nie tak to było?

— Nie, Sugg. Obaj jesteśmy skończeni. Ślady twojego konia cię zdradziły. Ale dam ci jedną szansę. Jeśli zgodzisz się natychmiast opuścić te tereny, powiem, że jeden z Hickorych przez cały czas cię oszukiwał.

Z gardła Jake'a wyrwało się gardłowe przekleństwo. Jego owłosiona dłoń powędrowała do kolby rewolweru wiszącego mu u boku.

— Zachowaj spokój, Jake — warknął jego towarzysz. — Kiedy nadejdzie czas, dam ci znać, a nadejdzie on wkrótce – może nawet już teraz, jeśli nie powie mi tego, co chcę wiedzieć.

Bob, zaciskając mocno zęby, pomyślał: „To potrwa tylko chwilę; strzał i to wszystko". Bez słowa spojrzał na Sugga. Następnie wstał, lekko się chwiejąc.

— Przyjmę to na stojąco, Sugg. Ty się tym zajmij. Nie chcę, żeby taki tchórzliwy kundel jak Hickory posłał mnie na tamten świat.

Słychać było, jak Greer prowadzi konie przez trzcinowe zarośla. Ptak przedrzeźniacz zaśpiewał swoją pieśń. Jake wyciągnął z wściekłością rękę w stronę Boba, z rewolwerem w dłoni. Sugg cofnął się o krok, by Hickory miał wolną drogę dla swojej kuli. Nieubłagany, ale bez żadnej urazy, Sugg machnął ręką na znak.

— W porządku. Załatwmy go.

Jego głos był równie lodowaty, jak wody jeziora świeżo wypływającego z lodowca.

Bob przygotował się na wstrząs śmierci. Na polanie rozległ się huk wystrzału. Mimowolnie Bob zamknął oczy. Otworzył je, zaskoczony, że nie poczuł uderzenia pocisku wbijającego się w jego ciało. Jake musiał spudłować.

Lecz Jake nie spudłował. Lufa jego czterdziestki piątki nie dymiła. W ogóle nie wystrzelił. Skierował zaskoczone spojrzenie na ścieżkę prowadzącą od rozlewiska.

— Boże wszechmogący, kto to? — zawołał.

Ołów zagwizdał wśród gęstego listowia za ich plecami. Dwie kolejne eksplozje wystrzałów zabrzmiały tak blisko po sobie, że jedna wydawała się echem drugiej.

Ścieżką biegł mężczyzna, jego stopy uderzały o mokrą ziemię. To był Cass Hickory.

— Nadciągają — zawołał. — Przez rozlewisko.

Bez chwili zwłoki Bob ruszył do akcji. Wiedział, że pierwszym odruchem Sugga będzie likwidacja świadka mogącego zeznawać przeciwko niemu. Kowboj przeskoczył drewnianą kłodę i pobiegł w stronę cyprysowego zagajnika, pochylony, aby tworzyć mniejszy cel. Sugg strzelił dwa razy. Bob usłyszał świst przelatujących kul.

Greer stał na skraju trzcin, trzymając osiodłane konie. Jake Hickory wiedział dokładnie, co ma teraz zrobić. Ruszył wytężonym galopem w

stronę swojego wielkiego gniadosza, próbującego wyrwać się rudowłosemu mężczyźnie. Jake rzucił się na jego grzbiet, szarpnął konia i zniknął w gęstym trzcinowisku. Cass i Greer podążyli za nim.

Umysł Sugga pracował w błyskawicznym tempie. Mógł ratować się teraz, dołączając do innych bandytów, albo chronić swoją przyszłość, ścigając Lee i niszcząc dowody przeciwko sobie. To drugie rozwiązanie wiązało się z większym niebezpieczeństwem, ponieważ jeśli zostanie tutaj, może zostać zestrzelony przez grupę pościgową. Ale na dłuższą metę ta bardziej ryzykowna droga mogła okazać się bezpieczniejsza, a Hiram Sugg nigdy nie był człowiekiem, który unikałby niebezpieczeństwa. Gdyby udało mu się zabić tego wścibskiego głupca, miałby szansę zniweczyć podszepty, które zaczęły się pojawiać przeciwko niemu, a może nawet zrealizować wielkie cele, które sobie zaplanował.

Biegnąc, Bob obejrzał się za siebie. Nie widział Hickorych ani Greera, choć słyszał, jak ich wierzchowce tratują w biegu trzciny. Sugg wykręcał koniem i zmuszał go do zatoczenia koła, aby podążyć za Lee.

Bob miał tylko jedną szansę - skręcić na skos w podmokły teren po prawej stronie. Tutaj koń niosący ciężkiego mężczyznę miałby kłopoty z poruszaniem się. Jego kopyta zapadałyby się w błocie głębiej niż buty o płaskich podeszwach, biegnącego człowieka.

Błoto zasysało stopy Boba, ale stawiał szybko kolejne kroki, aby nie ugrzęznąć. Jego prześladowca wpadł galopem na miękki, gąbczasty, bagienny grunt, zaledwie pięćdziesiąt stóp za nim i niemal natychmiast znalazł się w tarapatach. Koń ugrzązł. Sugg popędzał go wściekle, próbował z nim walczyć, aż w końcu zsunął się z siodła i ruszył za ofiarą pieszo.

Bob ponownie skręcił w prawo, w gęste zarośla trzcin. Jeśli od strony rozlewiska nadjeżdżał oddział pościgowy, jak najszybciej chciał się z nim spotkać. Wiedział, dlaczego Sugg musiał go zlikwidować i wiedział też, że gdyby finansista został rozpoznany próbując zabić Boba, zniweczyłoby to jego cel. Zabójca musiał działać szybko. Znalezienie go tutaj, w obozie Hickorych, skazałoby go na wieczne potępienie.

Bob słyszał za sobą, jak Sugg przedziera się przez zarośla, ale ciągle nie było go widać. Lee był tak oszołomiony uderzeniem w głowę bronią Jake’a Hickory, że w trakcie biegu chwiał się na nogach. Jeśli obaj znajdą się na otwartym terenie, Sugg go dogoni.

Z gąszczu trzcin wydostał się na ścieżkę prowadzącą na polanę. Ponieważ nie wiedział, czy oddział pościgowy minął już to miejsce, skręcił w stronę rozlewiska. Zmęczony, ostatkiem sił pokonał ostrym zakręt i stanął twarzą w twarz z dwoma jeźdźcami.

Jakiś głos wykrzyczał jego imię. Ludźmi na koniach byli Whit Carson i Cle Hightower. Zataczając się, chwycił się grzywy konia Choctawa.

— Uważajcie… Sugg! — wydyszał.

Lecz Sugg nie wyłonił się zza zakrętu. Być może usłyszał głosy. W każdym razie, gdy Carson pojechał dalej ścieżką, aby go poszukać, nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. Później znaleźli konia, na którym jechał, ale po samym Suggu nie było śladu. Zniknął gdzieś na bagnach Sunk Bayou.

Rozdział 22

Willie May przeżywa wstrząs

Po raz kolejny Hickory uciekli. Nie było sensu podążać za nimi na bagna, na których zniknęli. Szanse na ich odnalezienie byłyby niewielkie, a gdyby Carson natknąłby się na nich, prawdopodobnie wciągnęliby go w zasadzkę, zanim zdążyłby wkroczyć do akcji. W każdym razie bandyci stracili zapasy żywności i będą musieli się gdzieś pokazać, aby je odnowić.

Sugg również wymknął się szeryfowi, lecz nie było wcale pewne, czy znalazł bezpieczną kryjówkę. Sunk Bayou było dla niego nieznanym terenem. Pełno tam było grzęzawisk i ruchomych piasków. Nawet jeśli uciekinier ich uniknął, mógł przez wiele dni błąkać się wśród gęstej bagiennej roślinności, nie znajdując drogi wyjściowej.

Bob, choć był poobijany, cieszył się z ocalenia. Był o włos od śmierci. Gdyby szeryf i Choctaw przybyli choćby pięć sekund później, kula z rewolweru Jake'a Hickory zabiłaby Lee. Młody człowiek nie uważał tego za przypadek. Czuł, że miał w tym swój udział Bóg. Carson i Hightower mogli przecież szukać bandytów w setkach innych miejsc. Niesamowite było to, że natrafili na ślady w błocie na południe od pastwiska J A B i podążyli za nimi do rozlewiska.

Trzej mężczyźni pojechali do domu na ranczu i opowiedzieli Broderickowi o swoich przygodach. Usiedli na szerokiej werandzie i przedyskutowali problem schwytania Hickorych.

Z domu wyszła Willie May, w jej oczach błysnął gniew. Przez otwarte okno salonu, gdy przechodziła, dotarła do niej uwaga wypowiedziana przez ojca.

— To, co mówi Bob, przesądza sprawę Sugga. To on jest przywódcą gangu Hickorych.

Jej spojrzenie omiotło grupę i spoczęło na Lee. Wokół jego głowy zawiązana była poplamiona krwią chusta, ale zignorowała to.

— Co takiego powiedział Bob? — dopytywała się kwaśno.

Zapadła zakłopotana cisza, którą przerwał jej ojciec.

— Lepiej idź stąd, kochanie — powiedział jej. — To nie jest sprawa, o którą powinna się martwić dziewczyna.

— Chcę wiedzieć, co Bob mówi o Hiramie Suggu — powtórzyła, nie odrywając wzroku od kowboja.

— Przykro mi z tego powodu — odparł niechętnie Broderick. — Faktem jednak jest, że Sugg stał się przestępcą.

— Tak mówi Bob, prawda? — Jej głos brzmiał ostro i był pełen goryczy. — Więc, oczywiście, musi to być prawda.

Młody mężczyzna popatrzył na nią w milczeniu, z żalem. Był niezadowolony z tego, że zadał jej ten cios.

— Lepiej opowiedz jej wszystko, Bob — poradził Broderick.

— Chyba że wstydzi się powiedzieć mi to prosto w oczy — dodała. — Ale dlaczego miałby się wstydzić? W końcu Hiram Sugg uratował mu tylko życie. To przecież nic takiego.

— Nie mów tak, córko — upomniał ją Broderick. — Bob przez cały czas miał rację. To nie jego wina, że Hiram związał się z gromadą morderczych łajdaków.

— Czy ktokolwiek tak twierdzi, oprócz twojego bezcennego pastucha, który przecież nie mógłby zrobić nic złego? — rzuciła, i dodała na jednym oddechu: — A tak w ogóle, cóż nowego on powiedział?

Twarz jej ojca stężała.

— Kiedy Sugg stąd wyjechał, miał udać się na północ - powiedział, że jedzie do Atoka spotkać się z pewnym człowiekiem. Czyż nie to ci powiedział?

— Tak. I co z tego?

— Mniej więcej godzinę później Bob natknął się na ślady jego konia prowadzące do Sunk Bayou. Wydało mu się to dziwne i podążył tropem przez rozlewisko do obozu Hickorych. Tam go złapali. Sugg był z bandytami, najwyraźniej był ich przywódcą. Dał znak Jake'owi Hickory, aby zabił Boba. Właśnie wtedy Cle i szeryf dotarli na miejsce.

— Nie wierzę w ani jedno słowo! — zawołała dziewczyna. — Kto oprócz Boba go widział?

— Nie widzieliśmy go, lecz znaleźliśmy tam jego konia — powiedział stróż prawa. — Stoi teraz na podwórzu. Sugg uciekł na bagna.

— To pan tak twierdzi. Może Hirama wcale nie było na koniu. Może Hickory spotkali go i zabrali mu konia. Może zostawili go leżącego… gdzieś. — Jej głos się załamał.

— Nie — zaprzeczył jej ojciec. — Był tam z Hickorymi. Bardzo mi przykro, Willie May, ale musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Hiram był w poważnych tarapatach finansowych. Musiał zdobyć pieniądze i to szybko. No cóż, zdobył je i zaraz po napadzie na pociąg z Santa Fe spłacił weksle na ponad jedenaście tysięcy dolarów.

— Musiał zdobyć te pieniądze w inny sposób. — Popatrzyła na nich, wciąż z wysoko uniesioną głową, lecz wyraźnie wstrząśnięta i wystraszona. Usta miała bezbarwne. — Wszyscy jesteście przeciwko niemu, ponieważ...

Dławiło ją w gardle. Odwróciła się i szybko weszła do domu.

Boba bolało serce. Kochała tego łajdaka, a on musiał być tym, który go zdemaskuje. Przez całe życie będzie o tym pamiętać i nienawidzić go za zniszczenie Sugga, za ujawnienie go jako człowieka, który zszedł na złą drogę. Najbardziej żałował nie siebie, lecz dziewczyny. Była taka młoda, miała tak mało przygód w życiu, a już tragedia okrutnie ją przytłoczyła. Pewnego dnia zapomni o tym, dojdzie do siebie i poślubi dobrego człowieka. Ale teraz tego nie rozumiała. Tego dnia i o tej godzinie myślała, że dotarła do kresu życia.

Na polecenie Brodericka Bob poszedł do baraku sypialnianego kowbojów i położył się, aby odpocząć. Odwrócił się twarzą do ściany i udawał, że śpi. Nie chciał rozmawiać z żadnym gadatliwym jeźdźcem,

który mógłby tu wpaść po tytoń. On również, podobnie jak Willie May, czuł się tak, jakby fundamenty jego świata rozpadły się w gruzy.

Rozdział 23
„Jeden z nas jest kłamcą i bandytą”

Przez kilka dni nie było żadnych wiadomości o Hiramie Suggu. Wieści o postawionych mu zarzutach szybko się rozeszły i stały się głównym tematem rozmów w okolicy. Opinia publiczna była podzielona. Wielu z tych, którzy go znali, nie wierzyło w prawdziwość zarzutów. Argumentowali, że Sugg, człowiek z przyszłością, zdolny i ambitny, nie zaryzykowałby ruiny tak obiecującej kariery, stając w szeregu z bandą notorycznych przestępców. Jedynym dowodem przeciwko niemu były zeznania człowieka, który sam został oskarżony o współudział w tym samym przestępstwie.

Pewnego ranka Sugg pojawił się w Atoka, trzymając się łęku siodła, z białą twarzą i zaciśniętymi zębami. Kula przeszła mu przez mięśnie, tuż pod pachą, wystrzelona przez kogoś stojącego przed nim i z bardzo bliskiej odległości. Doczołgał się do chaty pewnego Choctawa, który sprowadził doktora Taylora, aby opatrzył ranę. Kiedy tylko był w stanie podróżować, pojechał do miasteczka na jednym z koni osadnika.

Opowiadał, że około godziny po opuszczeniu J A B został zatrzymany przez Boba Lee i postrzelony. Zanim spadł z konia, zdołał uderzyć napastnika w głowę rękojeścią pejcza. Musiał natychmiast stracić przytomność, ponieważ kiedy się ocknął, leżał na ziemi, a jego koń zniknął. Najwyraźniej Lee myślał, że Sugg nie żyje i po obrabowaniu go, zabrał również jego osiodłanego konia.

Sugg wyglądał na znękanego i zmęczonego, ale jego niezmącone oczy szczerze spoglądały na tych, którzy z nim rozmawiali. Słuchaczom trudno było wątpić w jego słowa. Oskarżenia Lee, powtarzane przez obwoźnych handlarzy, traktował z pełną goryczy i gniewną pogardą. Sugg zauważył, że ten człowiek musiał wyrobić sobie jakieś alibi, aby ratować swoją skórę, i desperacko rzucił się na nadarzającą się okazję.

Nikt ze słuchających go grup ludzi nie mógł dostrzec, że za pewną siebie twarzą Sugga kryła się dusza przesiąknięta strachem. Był jak człowiek stąpający po polu minowym, które w każdej chwili mogło eksplodować mu pod nogami. Musiał zachować uśmiechniętą twarz i pogardliwą pewność siebie. Jakiekolwiek poszlaki, które mogłyby zostać zebrane przeciwko niemu, pewnie byłby w stanie przechytrzyć. Wiedział jednak, że jego wspólnicy, jeśli zostaną złapani, zdradzą go natychmiast.

Nie wykazywał jednak żadnych oznak słabości. Najlepszą obroną był atak. Zdał sobie sprawę, że musi przyjąć taką postawę wobec Willie May. Choć był ranny, wynajął w Atoka powóz i pojechał do J A B. Nie był pewien, czy zostanie tam przyjęty, ale trzymanie się z dala byłoby przyznaniem się do słabości.

Willie May szła właśnie do corralu, kiedy podjechał i niezgrabnie zszedł z wozu. Dziewczyna spojrzała na bandaże na jego ciele, a jej oczy rozszerzyły się z niepokoju.

— Jesteś ranny! — zawołała.

— Pozdrowienia od bandyty — oznajmił lekko.

— Jakiego bandyty? — spytała.

— Boba Lee.

Oczy miał zapadnięte i zmęczone, a twarz pociągłą i pokrytą zmarszczkami. Ale jego słaby uśmiech wciąż miał w sobie odrobinę nieposkromionej wesołości.

— Boba Lee — powtórzyła. — Nie rozumiem. Bob mówi…

— Wiem, co mówi – a co ma powiedzieć człowiek, gdy jest przyparty do muru, a ręka sprawiedliwości zbliża się do niego. Ale nikt mu nie wierzy, z wyjątkiem tych, którzy z zazdrości chcą mnie pociągnąć na dno. Odkąd szeryf wywiesił afisz z nagrodą za niego, Bob Lee desperacko walczy, by wydostać się z tej matni, w której się znalazł. Ciągle wskazuje na mnie, aby odwrócić uwagę od siebie. No i, pewnego dnia wyruszył za mną z rancza i próbował mnie zamordować.

Wpatrywała się w niego zdumiona. To było niewiarygodne. Tak samo trudno było jej uwierzyć, że Bob jest przestępcą, jak myśleć w ten sposób o człowieku, którego kochała. Znała Boba Lee od dziecka. Chodzili razem do szkoły. Oczywiście bywał burzliwy i dziki, ale zawsze wyczuwała w nim pokłady głębokiej uczciwości. Wolał chłostę niż kłamstwo czy zdradę. Gdzieś w tym wszystkim musiał tkwić jakiś błąd.

— Jesteś ciężko ranny? — dopytywała się z niepokojem. — Opowiedz mi o tym. Ktokolwiek cię postrzelił, to nie mógł być Bob.

— Strzał w bok. Zostawił mnie na śmierć. — Dodał ponuro: — Ale zanim poleciałem na ziemię, zdążyłem go jeszcze mocno walnąć w głowę moim pejczem. Nie mylę się. Kiedy strzelał stał bliżej mnie, niż ty teraz. Kompletnie się tego nie spodziewałem. — Przez dziewczynę przeszła lodowata fala. Była wściekła i zła na Boba, i nadal te uczucia nie mijały, lecz tkwił w niej jakiś silny instynkt, który przyciągał ją do niego, pomimo jej urazy. Teraz miała uwierzyć, że był mordercą i złoczyńcą - albo musiała przyznać, że kłamcą, hipokrytą i bandytą był Hiram Sugg. Mogło być tylko jedno albo drugie.

— Doczołgałam się do jakiejś chaty i przeleżałam tam kilka dni. Kiedy byłem w stanie już ruszyć w podróż, wsiadłem na konia i pojechałem do Atoka. Potem przyjechałem tutaj. — Przez chwilę widziała na jego twarzy ciepły, zwycięski uśmiech, który zawsze wzbudzał w niej dziwne emocje. — Musiałem przyjechać do mojej dziewczyny.

Odrzuciła za siebie wątpliwości, które dręczyły jej serce. Jej ciepłe usta otworzyły się na jego. Pocałował ją łapczywie. Właśnie teraz, gdy cała przyszłość, na którą pracował, mogła tak szybko zostać przekreślona, wiara i miłość tej dziewczyny wiele dla niego znaczyły.

— Wiedziałem, że we mnie uwierzysz — zawołał uradowany. — Wiedziałem.

— Muszę w ciebie wierzyć, skoro cię kocham — odparła.

W jej głosie słychać było tęsknotę i więcej niż nutkę nieszczęścia. Nie powiedziała tego, lecz on zrozumiał, że jej miłość umrze, jeśli kiedykolwiek dowie się, iż jest on człowiekiem, który nie jest jej wart.

Z baraku kowbojów wyszedł mężczyzna niosący uzdę i podszedł do nich. Był to Bob Lee. Jego wzrok utkwiony był w matce i młodym ogierku w zagrodzie, więc nie zauważył Sugga i Willie May, dopóki nie znalazł się blisko nich. Zatrzymał się.

Wpatrzeni w siebie mężczyźni mieli oczy twarde jak agatowe marmury. Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza.

Bob odezwał się pierwszy.

— Ma pan tupet, panie Sugg — powiedział cicho.

Jego wróg to zignorował.

— Myślałeś, że zostawiłeś mnie na śmierć. Powinieneś strzelać celniej, Lee.

Bob nie rozumiał tego, ale wiedział, że przywódca bandytów ukuł historię, którą chciał opowiedzieć. Była ona przeznaczona dla uszu Willie May, a nie jego, ponieważ on wiedział, że wszystko cokolwiek powie ten człowiek, będzie kłamstwem.

— Mów dalej, Sugg — zasugerował Bob. — Kiedyż to zostawiłem pana na pewną śmierć?

Sugg pokręcił głową.

— Nie ma sensu udawać niewiniątka, Lee. Nie muszę ci mówić kiedy i gdzie.

— Rozumiem — odpowiedział Bob. — Jeden z nas jest kłamcą i bandytą, a pan chce, żeby panna Broderick myślała, że to ja nim jestem. Posłuchaj, Sugg. Zbliżasz się do końca swojej ostatniej oszukańczej drogi. Każdy krok przybliża cię do niego.

— Kiedy strzeliłeś do mnie zdradziecko tamtego dnia, gdy rozmawialiśmy, również myślałeś, że dotarłem do końca swego szlaku. Oszukałem cię, Lee. Wciąż żyję i zamierzam posłać cię na szubienicę.

— Dla porządku powiem, że ta historia, którą opowiadasz, cokolwiek to by nie było, mija się z prawdą o całe mile. Ostatni raz widziałem cię w Sunk Bayou, kiedy ty i Hickory próbowaliście mnie zabić i zrobilibyście to, gdyby Carson i Hightower nie pojawili się tam w samą porę.

Żaden z obu mężczyzn nie podniósł głosu nawet o ton, podczas tej rozmowy, choć można było w nich wyczuć śmiertelną i skoncentrowaną nienawiść. Żaden z nich nie rozluźnił ani na chwilę twardego rygoru swoich oczu. Mówili wyłącznie jeden do drugiego. Dziewczyna była na boku, nie brała udziału w tym pojedynku.

Lecz żadne słowo, żaden odcień tonu nie umknął jej czujnej uwadze. Znów poczuła dreszcz przerażających wątpliwości, zimne skurcze mięśni brzucha. Chciała wierzyć Suggowi. Tak bardzo chciała być go pewna. Gdyby to ktokolwiek inny niż Bob go oskarżał... Ale wciąż mały głosik w jej duszy powtarzał, że Bob Lee nie jest kłamcą.

Pamiętała też, że były momenty, nawet jeszcze przed tym napadem, kiedy przez króciutką chwilkę jej oczy widziały w Suggu ślepą nieczułość na wartości moralne.

— Jesteś zazdrosnym głupcem, Lee, strzelasz do celu znajdującego się o wiele za wysoko, byś mógł w niego trafić — rzucił z pogardą Sugg. — Jest takie stare powiedzenie, że nawet kotu wolno patrzeć na króla lub królową. Ale wolno mu tylko patrzeć. Kiedy zaczyna drapać, wsadza się go do worka i wrzuca do rzeki. Jedynym usprawiedliwieniem dla ciebie może być idea, że rozmyślałeś nad tym tak długo, że aż oszalałeś. Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, wsiądziesz jeszcze dziś na konia i wyruszysz do Teksasu.

Willie May spojrzała szybko na Boba. Czuła, że to był cios poniżej pasa. Młody Lee nie dał żadnego znaku, że rozumie, o co chodziło Suggowi.

— Zamierzam tu zostać, dopóki cała banda Hickorych nie zostanie schwytana — odpowiedział cichym głosem, cedząc przez zęby słowa.

— Czy któryś z Hickorych brał udział w tym napadzie, z wyjątkiem Eda? Wygląda na to, że on był jednym z rabusiów, chyba że to ty mu podłożyłeś skradzione pieniądze przed przybyciem Carsona. Może to twoi kumple byli kowbojami, o których jakoś nie wspomniano. Ale to wyjdzie na jaw. Skorzystaj z mojej rady i zwiewaj z powrotem do Lampasas lub skądkolwiek tam przybyłeś.

Dziewczyna była pewna, że w jej obecności gniew tych mężczyzn nie dojdzie do stadium wybuchu, ale przeczuwała, że jeśli kiedykolwiek spotkają się gdzieś, w jakichś bardziej sprzyjających okolicznościach, dojdzie do kłopotów, które prawdopodobnie doprowadzą do tragedii. Nic nie mogła na to poradzić. Mężczyźni już tacy byli. Zrobiliby wiele dla kobiety, którą kochali, ale gdy w grę wchodziła ich duma lub gniew, odsuwali ją na bok bez chwili zastanowienia.

Broderick i dwaj jego ludzie wjechali na podwórze przez bramę północnego pastwiska. Byli zajęci poszukiwaniem cieląt. Gdy tylko hodowca rozpoznał Sugga, podjechał do niego i zsiadł z konia.

— Co ty tu robisz? — zapytał sztywno.

Sugg popatrzył na niego twardo.

— Przyjechałem, aby uciszyć kilka brzydkich plotek, które ten młody łotr rozpuścił na mój temat — odpowiedział.

— Podjąłem już decyzję co do ciebie — odciął się prosto z mostu Broderick. — Byłeś wspólnikiem Hickorych przy tym napadzie, od początku do końca, choć uważałeś, by osobiście nie umoczyć w tym palców. Kolejnego dnia próbowałeś zabić Boba. I nic, co powiesz, nie zmieni mojego zdania.

— To moje słowo przeciwko jego. Nigdy nie podniosłem ręki, by go skrzywdzić, lecz to on strzelił do mnie po tym, jak opuściłem ranczo - z zimną krwią, zdradziecko, kiedy rozmawialiśmy. Potem ukradł mojego konia i zabrał go do Sunk Bayou. Kiedy pojawił się Carson, musiał odegrać jakąś gierkę, dlaczego tam jest.

— Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Wynoś się z tego rancza, Sugg. Nigdy więcej się tu nie pokazuj, łajdaku o czarnym sercu.

— Nie przyjąłbym tych słów od żadnego innego żyjącego człowieka, Broderick — oznajmił Sugg niskim, stanowczym głosem. — Gdybyś nie był ojcem dziewczyny, z którą zamierzam się ożenić, odpowiedziałbym ci na nie kulą.

— Nigdy, dopóki ja żyję i mogę temu zapobiec! — zawołał gwałtownie Broderick.

— Ojcze — zaprotestowała Willie May.

— Nie pozwolę ci poślubić takiego człowieka. Wolałbym już, żebyś żyła i umarła jako stara panna.

— Pozwól to mnie zdecydować, czy i kogo poślubię — oznajmiła cierpko dziewczyna. — Gniew i wrzaski nie przyniosą tu nic dobrego. W końcu i tak zrobię, co zechcę. Ale nie wyjdę za człowieka, który nie jest honorowy i prawdziwy. Chcę być tego absolutnie pewna, zanim wezmę go za męża.

— W porządku — zgodził się Broderick. — Po prostu mówię to temu tutaj.

— Jeśli mówisz o Hiramie Suggu, ojcze, to ja bardzo go lubię — przerwała mu. — Mam nadzieję, że któregoś dnia wyjdę za niego, jak tylko upora się z tymi wszystkimi kłopotami. Dlaczego nie dasz mu szansy na udowodnienie, że jest niewinny? Jesteś uprzedzony - stanąłeś po stronie Boba i zamknąłeś swój umysł. Myślisz, że to sprawiedliwe?

— Ponieważ wiem, że Bob mówi prawdę.

— Nie wiesz tego. Tak ci się tylko wydaje. Jest tyle samo dowodów po jednej stronie, co po drugiej. Ale ty jesteś uparty i nie chcesz spojrzeć na to w ten sposób.

Broderick zdusił w sobie oburzenie. To nie byłaby dobra polityka, aby wdać się w awanturę z dziewczyną. Mogłaby w odwecie uciec i poślubić Sugga.

— W porządku. — Zaproponował kompromis. — Jeśli poczekasz i pozwolisz, żeby ta sprawa sama się rozwiązała, to ja tak zrobię. W międzyczasie żadnych zobowiązań między tobą a Suggiem. Jeśli okaże się, że jest niewinny, usunę się wam z drogi i pozwolę ci zrobić, co zechcesz. Czy to uczciwe?

Jego córka skinęła głową.

— No to, układ. Nie będzie żadnych dzwonów weselnych, dopóki nie dowiemy się prawdy na ten temat.

Suggowi nie podobała się ta decyzja, lecz wiedział, że nie zdoła jej zmienić. Bob zaś, dla odmiany, był bardzo zadowolony. Nie czynił sobie żadnych specjalnych nadziei, ale przynajmniej odroczył dzień, w którym ona wyjdzie za mąż za tego człowieka, o którym wiedział, że jest zwykłym bandytą.

Rozdział 24
Dylemat

Szeryf Carson spotkał Sugga jadącego do Atoka, w drodze powrotnej z rancza J A B. Sugg nie czekał, aż stróż prawa przejmie inicjatywę, ale zatrzymał się i sam się do niego zgłosił.

— Chcę się z panem zobaczyć, Carson — zawołał przez ulicę.

Szeryf przeszedł przez zakurzoną drogę i oparł but na piaście koła stojącego koło nich wozu. Jeśli finansista chciał się z nim zobaczyć, to życzenie było obopólne. Szukał Sugga, a właściwie czekał na niego od pewnego czasu. Szef wypożyczalni powozów powiedział mu, że spodziewa się Sugga w każdej chwili.

Carson był w rozterce i miał nadzieję, że rozmowa z tym dżentelmenem wyjaśni mu pewne kwestie. Ani przez chwilę nie wątpił, że Sugg współpracował z Hickorymi w sprawie napadu na pociąg. To, co go niepokoiło, to kwestia aresztowania go. Najprawdopodobniej byłby to błąd. Z drugiej strony, jeśli tego nie zrobi, człowiek ten mógłby wymknąć się z kraju, zanim zgromadzone zostaną wystarczające dowody, do jego skazania.

— Ten łajdak Bob Lee próbował wyciągnąć się z kłopotów, opowiadając kłamstwa na mój temat — zaczął Sugg. — Jego historia jest głupia i niedorzeczna. Nie powinienem zwracać na niego uwagi, chyba że wychłostałbym go pejczem dla koni, gdybyśmy się spotkali. Ale niektórzy głupcy w to wierzą.

— Najlepszym sposobem na utrącenie kłamstwa jest udowodnienie, że jest ono nieprawdziwe — odparł Carson. — Najlepiej mieć ewidentne alibi, którego nie da się podważyć. Na przykład Bob twierdzi, że był pan z Hickorymi w Sunk Bayou i próbował go pan zabić. Jeśli uda się panu udowodnić, że był pan gdzie indziej, to jego historia nie będzie miała sensu.

— Czy człowiek o mojej reputacji musi udowadniać, że nie jest mordercą i bandytą, tylko dlatego, że jakaś szumowina go oczernia? — dopytywał się gniewnie Sugg.

— Nie, chyba że chce się pan oczyścić. Chodzi o to, że wielu ludzi ma niezbyt podejrzliwe umysły i lubi wierzyć w najgorsze o tych, którzy są bardziej zamożni niż oni. Jeśli pan tego nie wyjaśni, obawiam się, że będzie ci panu doskwierać przez resztę życia, zwłaszcza jeśli zajmie się pan polityką.

Szeryf dotknął swego rozmówcę w czuły punkt. Wkrótce to terytorium stanie się stanem. Hiram Sugg miał zamiar zostać jego pierwszym gubernatorem.

— Nie byłem nawet w promieniu kilkunastu mil od Sunk Bayou. — Głos Sugga był pełen oburzenia. — Ten morderczy łajdak Lee dobrze o tym wie. Zostawił mnie na śmierć na drodze, zabierając ze sobą mojego konia. Kiedy pojawił się pan nad rozlewiskiem, zmyślił wszystko, aby wytłumaczyć swoją tam obecność.

— Kiedy ktoś pana znalazł? — zapytał Carson.

— Nikt mnie nie znalazł. Po jakimś czasie sam doszedłem do siebie. Przez zarośla od drogi prowadziła jakaś ścieżka. Poczołgałem się wzdłuż niej, nie robiąc większych postępów. Moja rana bardzo krwawiła, a kiedy się poruszałem, za każdym razem krwawienie się nasilało. Dwa lub trzy razy zemdlałem. Nadeszła noc. Leżałem pod cedrem przez godzinę lub dwie. Po pewnym czasie znalazłem się na brzegu potoku. Nie wiem, jak długo tam byłem, ale przemyłem ranę i obmyłem głowę. Gorączka była dosyć wysoka, lecz nie majaczyłem. Rano znów ruszyłem w drogę i wkrótce dotarłem na polanę półkrwi Indianina o nazwisku Pettingill. On i jego żona zaopiekowali się mną najlepiej, jak potrafili. Potem przyjechał doktor Taylor i opatrzył ranę. Kiedy tylko byłem w stanie to zrobić, pojechałem do Atoka.

To była dobra historia, której nie dało się łatwo obalić. Bez wątpienia Pettingill i doktor Taylor będą mogli potwierdzić jej ostatnią część. Carson wiedział, że Sugg nie jest głupcem. Nie opowiadałby bajek, których nie dałoby się sprawdzić. Nie było to kompletne alibi, ale rozsądne wyjaśnienie osoby, która twierdziła, że jest strasznie oczerniana. Najbardziej przekonującym elementem była rana. Jeśli Lee go nie postrzelił, to kto?

Doktor Taylor potwierdził tę historię, lecz podniósł pewną kwestię. Ślady prochu wskazywały, że wystrzał z rewolweru miał miejsce z bardzo bliskiej odległości. Ale jeśli Bob Lee stał tak blisko, to było mało prawdopodobne, aby kompletnie ominął organy życiowe i posłał kulę przez mięśnie poniżej barku.

— Chce pan powiedzieć, że Sugg postrzelił się sam. — Carson ujął to bez ogródek.

— Nie wiem. Położenie rany trochę na to wskazuje. Jeśli Sugg nie miał alibi na te czternaście lub piętnaście godzin, to musiał je zdobyć. Jest wystarczająco twardym graczem, aby się postrzelić, skoro tak musiało być. Ale nie twierdzę, że to zrobił. Sugeruję jedynie taką możliwość.

Carson powoli zwinął papierosa, myślami błądząc zupełnie gdzie indziej.

— Znam młodego Lee dopiero od kilku dni — powiedział. — Z początku nie ufałem mu, ale im lepiej go poznaję, tym bardziej jestem pewien, że jest w porządku. Co innego z Suggiem. Dobrze się broni, patrząc człowiekowi prosto w oczy. Ale w jakiś sposób czuję, że jest fałszywy jak kiepsko podrobiona moneta dolarowa. Z dowodów wydaje się, że nie jest bardziej winny niż Lee. Ale kiedy jest się stróżem prawa tak długo jak ja, to wie się, że nie można polegać wyłącznie na dowodach. Człowiek patrzy na pewnych ludzi i wie, że są uczciwi. Bob Lee do nich należy. Jeśli on jest w porządku, to Sugg nie jest. A więc tak to wygląda.

Lekarz siedział na werandzie, z nogawkami spodni wpuszczonymi w zakurzone buty oparte o balustradę. Uśmiechnął się do szeryfa z żartobliwą złośliwością.

— Chciałby pan aresztować Sugga, ale nie może — stwierdził. — To ważny człowiek i nie można sobie pozwolić na pomyłkę.

— Do pioruna, wiem, że on jest winny.

— Ale boi się pan, że nie przekona do tego ławy przysięgłych.

— Nawet nie miałbym szansy aby tego spróbować, chyba że miałbym więcej dowodów.

— Niech pan złapie tych dwu Hickorych i przykręci im śruby. Powiedzą panu wszystko, czego można się dowiedzieć na temat pana Sugga - o ile w ogóle można czegokolwiek się dowiedzieć.

— Dziękuję panu za nic, Doc. Tyle to już wiem od dawna. To przekracza wszelkie pojęcie, jak tego rodzaju ludzie zawsze się wymykają, kiedy po nich wyciąga się rękę.

— Zawsze może pan aresztować Lee — zasugerował lekarz. — Nie ma żadnych powiązań z zamożnymi dżentelmenami - chyba że liczyć Brodericka.

— Ale ja nie chcę go aresztować. Ten chłopak niczego nie ukrywa. Wiem wszystko o tej sprawie. Nie brał udziału w napadzie bardziej niż ja, czy pan. — Carson podniósł się z krzesła, na którym siedział i popatrzył na gospodarza. — Sugg nie zdradził panu niczego - nie popełnił jakiegoś błędu, który nie pasowałby do reszty jego opowieści?

— Nie, proszę pana, żadnej pomyłki. Albo jego opowieść była prawdziwa, albo miał ją opracowaną perfekcyjnie.

— On jest za gładki — odparł z irytacją szeryf. Zszedł po schodach na werandę i podszedł do konia. Kiedy znalazł się w siodle, chwycił wodze i wygłosił zawziętą przepowiednię. — Ale dorwiemy tego pana, zanim zakończymy tę sprawę.

Doktor Taylor zachichotał.

— Sugg się nie zdradzi. Jest na to zbyt sprytny. Potrafi znaleźć najsłabsze ogniwa łańcucha i uderza w nie.

Carson nie musiał go pytać, co ma na myśli. Wydawało się jednak, że szansa na znalezienie Hickorych w tym kraju jest równie duża, jak na złapanie jednego konkretnego kojota. Oni znali każdy centymetr tej dzikiej ziemi oferującej tysiące kryjówek.

Rozdział 25
Uparta dziewczyna rzuca wyzwanie

W dniach, które nastąpiły po wizycie Sugga na ranczu, Bob niewiele widywał Willie May, chyba że z daleka. Pewnego razu, gdy poszedł do domu, aby zapytać jej ojca o przeniesienie bydła z zachodniego pastwiska, wyszła na werandę, gdzie rozmawiał z Broderickiem, lecz gdy tylko zobaczyła, kim jest rozmówca ojca, natychmiast wycofała się do holu i zniknęła. Nigdy nie słyszał jej wesołego śmiechu ani dźwięku fortepianu. Była zmartwiona, a on mógł odgadnąć powód po tym, co powiedział mu J.A. Choć była lojalna wobec swojego ukochanego, nie mogła pozbyć się obawy, że jest on winny.

Wybierała się na długie samotne przejażdżki, co bardzo martwiło Boba. Nie był pewien, czy to bezpieczne. Jeden z kowbojów z rancza widział, jak dwóch jeźdźców znikało na wzgórzach za pastwiskiem J A B. Nie był na tyle blisko, aby ich rozpoznać. Najprawdopodobniej byli to jacyś niewinni myśliwi lub podróżnicy. Lecz faktem było, że Hickory gdzieś się ukrywali. Mogli znajdować się na skalistych terenach graniczących z ranczem Brodericka.

Bob powiedział o tym szefowi. Broderick nie uważał tego za prawdopodobne, ale powtórzył ostrzeżenie młodego Lee swojej córce. To był błąd.

— To bardzo miłe z jego strony, że tak mocno interesuje się moim bezpieczeństwem — oznajmiła cierpko. — Przypuszczam, że to po prostu jego nawyk ciągłego wtrącania się w cudze sprawy.

— Kochanie, Bob ma dobre intencje — zganił ją hodowca bydła. — Nie sądzę, byś była wobec niego sprawiedliwa.

— Wiem, że jest twoim ulubieńcem, który nie jest w stanie zrobić niczego złego — odparła. — Ale nie musi być moim, prawda?

Broderick porzucił ten temat. Zdawał sobie sprawę, że była nieszczęśliwa, a jej spokój zakłócały rosnące wątpliwości co do człowieka, w którym była zakochana. Czuła zawziętość i gorycz wobec całego świata, a do tego kręgu niechęci zaliczała także ojca.

Ale jeśli chodzi o jej przejażdżki, hodowca wydał jej wyraźne polecenie.

— Niech będą krótkie, powiedzmy do skrzynki pocztowej, albo zabieraj ze sobą jednego z naszych chłopców. Mówię ci to ja, dziewczyno. To nie ma nic wspólnego z Bobem.

— Nigdy byś nawet o tym nie pomyślał, gdyby ci nie podpowiedział — nie zgodziła się. — On chce wszystkim rządzić. Ale pokażę mu, że nie może mną kierować, nawet jeśli robi to z tobą.

— Rób, co ci każę — rzucił Broderick, tracąc cierpliwość.

Nie był na nią zły, lecz znużony jej wiecznym nieszczęściem i jak w przypadku wielu mniej taktownych przedstawicielek płci pięknej, jego współczująca reakcja, wyrażała się w irytacji.

— Nawet gdybym spotkała któregoś z wyjętych spod prawa przyjaciół Boba Lee, nie zrobiliby mi nic złego — powiedziała, chcąc mieć ostatnie słowo. — Ale oczywiście nie spotkam żadnego z nich, bo jeśli on sugeruje, że siedzą gdzieś w skałach, to muszą być pięćdziesiąt mil stąd.

— Bob Lee nie ma żadnych przyjaciół wyjętych spod prawa. Hickory wielokrotnie próbowali go wyeliminować, a on był zmuszony zabić jednego z nich.

— Zawsze mówisz o Hickorych, jakby byli jedynymi rabusiami pociągów na tym terytorium. Nie słyszałeś nigdy o Daltonach i gangu Doolina? Nie wszyscy zostali zabici. Ci, którzy są nadal przy życiu, mogli pozostać przy swoich starych sztuczkach, nieprawdaż? A twój drogi przyjaciel, Bob Lee, mógł skierować wszystkie grupy pościgowe na Hickorych, żeby odciągnąć je od właściwego tropu.

Broderick otworzył usta, aby odpowiedzieć i zamknął je bez słowa. Jaki to miało sens? Utwierdzała się w błędzie, na wpół celowo, z powodu zawirowań, które wzburzały ją emocjonalnie.

Willie May poczekała, aż jej ojciec wyjedzie obejrzeć trawę na jednym z pastwisk, zanim skorzystała z okazji, aby pokazać Lee, jak bardzo szanuje jego rady. Kazała przyprowadzić swojego ulubionego wierzchowca i osiodłać go. W czasie kiedy stajenny dopinał popręg, Bob przyjechał właśnie ścieżką prowadzącą od skrzynki pocztowej. Gdy zsiadał z siodła, usłyszał, jak Willie May z udawaną beztroską wspomina, że nie będzie jej przez parę godzin, ponieważ spodziewała się pojeździć między skałkami.

Bob zawahał się chwilę, zanim się odezwał. Rozumiał, że jest to wyzwanie i zdawał sobie sprawę, że każda jego sugestia zostanie odrzucona. Poszłaby swoją drogą z jeszcze większym uporem.

Zapytał nieco nieśmiało:

— Czy chciałaby pani, żeby Bill z panią pojechał, panno Broderick?

Jej odpowiedź była dosadna i zdecydowana.

— Nie. Wolę pojechać sama.

Bob nie kwestionował jej decyzji. Prawdopodobnie zamieniał się w starą babcię, jeśli chodzi o Hickorych. Istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że ukrywali się tak blisko dużego wrogiego rancza. Jeśli już, to raczej gdzieś daleko za wzgórzami, o wiele dalej niż ona była skłonna pojechać. Praktycznie kazała mu pilnować własnych spraw. To może być dobry pomysł, pomyślał, skoro nie był jej opiekunem. Rozsiodłał konia i poszedł do baraku dla kowbojów. Przez okno obserwował, jak wyrusza w drogę.

Jego oczy śledziły konia i amazonkę, aż stali się kropką na horyzoncie. Długo po tym, jak zniknęli, ciągle martwił się o nią. Być może powinien był pojechać za nią, w większej odległości. Ale zobaczyłaby go i rozgniewałaby się, a w labiryncie usianych skałami wzgórz, mogłaby mu łatwo umknąć. Musiał zaakceptować gorzki fakt, że go nienawidziła, że nie chciała mieć z nim żadnego kontaktu.

Nasmarował wóz, a potem odprowadził parę koni do corralu, lecz ciągle czuł niepokój, pomimo tego, iż wmawiał sobie, że to głupie. Może powinien był narzucić jej swoje towarzystwo siłą. Jedyne, co mogłaby zrobić, to rzucać mu zjadliwe komentarze.

Kiedy zobaczył Brodericka z dwoma kowbojami, Bob wyszedł mu na spotkanie. Lee wspomniał hodowcy bydła, że jego córka wyruszyła między skały dwie godziny temu i jeszcze nie wróciła.

— Czy zabrała ze sobą Billa? — zapytał hodowca.

— Nie. Powiedziała, że chce być sama.

Broderick zmarszczył brwi.

— Mówiłem jej, żeby nie jeździła sama. Mam ochotę odesłać tę dziewczynę do Lampasas. Robi się zbyt uparta. — Mówił tak, aby dać upust swojej irytacji. Teraz mógł mieć ją na oku. Gdyby odesłał ją z powrotem do Teksasu, ona i Sugg mogliby uciec.

— Zastanawiałem się, czy nie powinienem pojechać w stronę skałek, by się z nią spotkać — zasugerował Bob.

— Nie sądzę, żeby było to konieczne. Wkrótce wróci do domu. Najwyższa pora na kolację.

— Tak. Bill mógłby wskoczyć na pony i wyjechać jej na spotkanie.

Ranczer zmienił zdanie.

— W porządku. Jedź ty. Jak tylko wróci, dam jej za to do wiwatu. Dam jej wyraźnie do zrozumienia, że musi się podporządkować moim poleceniom, kiedy będę jej wymierzał jej karę.

Nie czekając, aż dojdą do domu, Bob przeszedł przez podwórze i ruszył szlakiem ku skałkom. Broderick wszedł do środka i zjadł kolację. Po zjedzeniu posiłku wziął cygaro i usiadł na werandzie, by je zapalić. Zanim jednak je porządnie nadpalił, poderwał się na nogi, a jego oczy przeszukiwały równiny prowadzące do wzgórz. Willie May już dawno powinna była wrócić. Co ją zatrzymywało? Zaczął wyobrażać sobie różne możliwości. Mogła spaść z konia. Mogła też pojechać na spotkanie z Suggiem i nie zauważyć, że zrobiło się późno. Mogła też zgubić się na tych przeklętych pełnych krów wzgórzach. Zaczął chodzić po werandzie, zatrzymując się co jakiś czas, by przeczesać wzrokiem okolicę.

— Powinienem ją porządnie stłuc — powtarzał sobie i wiedział, że gniew, który próbował w sobie wzbudzić, był tylko maską dla dręczącego go niepokoju.

Nadciągnęła ciemność, a przed nią nie pojawili się ani jego córka, ani Bob. Zaszedł do baraku dla kowbojów i wysłał swoich jeźdźców na poszukiwania.

Podczas gdy jego ludzie siodłali konie, drogą od głównej bramy nadjechał Timmy Boggs. Przyniósł wieści, które bynajmniej nie uspokoiły ranczera. Greer i Cass Hickory przyjechali wczoraj wieczorem do punktu handlowego w Four Corners i kupili zapasy. Zagrozili Judsonowi śmiercią, jeśli wyjawi, że tam byli, ale Timmy wpadł tam nieco później, by zobaczyć się ze sklepikarzem w imieniu Cleburna Hightowera, i Judson wydusił z siebie, że właśnie odjechali. Handlarz nadal starał się unikać kłopotów, ale fala odwróciła się tak zdecydowanie przeciwko Hickorym, że nie odważył się już dłużej ukrywać informacji, choć nadal uparcie trzymał się historii,

którą opowiedział podczas procesu. Timmy pomyślał, że gdyby mógł to wszystko odwołać, nie narażając się przy tym za krzywoprzysięstwo, zrobiłby to. Judson był człowiekiem nieśmiałym, ale upartym. Posunąwszy się tak daleko, czuł, że nie ma odwagi się wycofać. Był jednak z tego powodu bardzo niezadowolony, gdyż do egzekucji Hightowera pozostały zaledwie dwa dni.

Timmy wypatrzył ślady Greera i młodego Hickory. Znalazł pasterza owiec, który widział dwóch mężczyzn uzbrojonych w karabiny, jadących w kierunku skałek. Mimo że nie udało mu się ich dziś namierzyć, wierzył, że gang Hickorych zaszył się gdzieś na wzgórzach za ranczem J A B.

Broderick obwiniał się, że nie potraktował ostrzeżeń Boba poważniej. Nie przywiązywał do nich większej wagi, choć zabronił córce jeździć samej poza zasięgiem wzroku z rancza. Teraz zrozumiał, że na tych przycupniętych wzgórzach znajdują się idealne kryjówki dla bandytów, co do których nie spodziewano się, że ukrywają się tak blisko J A B

Wysłał człowieka do Atoka z rozkazem przekazania Whitowi Carsonowi, że rabusie pociągów prawdopodobnie znajdują się w skałach. Wraz z Timmym Boggsem i pół tuzinem swoich ludzi wyruszył w nocy, aby zacząć przeczesywać wzgórza.

Rozdział 26

Spotkanie na wzgórzach

To był piękny dzień na przejażdżkę, dzień pełen słońca z jeziorami cienia w fałdach wzgórz. Lekki wietrzyk kołysał długą trawą prerii, a choć było już późne lato, od czasu do czasu spoza szlaku dobiegało nawoływanie łąkowego skowronka. Lecz Willie May nie była w nastroju do podziwiania piękna popołudnia. Wyjechała z domu w akcie buntu, by pokazać Bobowi Lee, że nie może kontrolować jej poczynań, nawet pośrednio, przez ojca.

Ten nastrój dominował w niej przez kilka pierwszych mil, lecz w miarę jak zbliżała się do skał, ustąpił miejsca tępej rozpaczy, która nie znajdowała w życiu żadnych wartości. Choć gorąco temu zaprzeczała, nie pokładała już tak silnej wiary w Hirama Sugga. Cofając się w przeszłość, jej umysł zbierał tu i ówdzie urywki wspomnień, które były jak słomki na wietrze, ale wszystkie wskazywały ten sam kierunek. Za czarującą życzliwością Sugga zawsze wyczuwała w tym człowieku coś mrocznego i tajemniczego. Zwiększało to fascynację, jaką go darzyła, lecz teraz już była niemal pewna, że ta jego strona miała naprawdę złowieszczy charakter.

Bob cały czas miał rację, ale nie sprawiało to, że mniej go nienawidziła. Był za bardzo zadowolony z siebie, pomyślała z urazą. Gdyby nie ta wrogość do Boba, wróciłaby na ranczo. Odkąd skończyła pięć lat, lubiła jeździć konno. Galop po rozległej równinie, wiatr i słońce na plecach sprawiały, że krew w jej żyłach buzowała. Dziś jednak nie potrafiła znaleźć w jeździe żadnej przyjemności, żadnej ciepłej radości młodości, pragnącej delektować się wszystkimi doświadczeniami, jakie miało do zaoferowania życie.

Znalazła wyłom w skale i wjechała przez przewężenie na położony powyżej niego grzbiet. Teren przed nią był bardzo potrzaskany i nierówny, a wzgórza tłoczyły się jedne na drugich. Na jednym z nich zobaczyła pasące się bydło, a ponieważ była córką ranczera, ruszyła w górę zbocza, aby odczytać znaki na bydle. Tak jak się spodziewała, zobaczyła znak na lewej łopatce.

Tuż za nią na wzgórzu znajdował się skalny garb, a zza niego dobiegło niespodziewanie rżenie konia. Jej kowbojski pony nadstawił uszu. Zaskoczona wjechała na szczyt i popatrzyła w dół.

Obok dwuletniego wołu, którego właśnie zarżnął, stał człowiek. Był to Jake Hickory i stał naprzeciw niej ze strzelbą w rękach. Jego konsternacja na jej widok i zdumienie były nie mniejsze niż jej własne. Wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, zanim spróbowała zawrócić konia, aby odjechać. Natychmiast wycelował w nią karabin.

— Stój tam gdzie stoisz — rozkazał ostro. Potem: — Zsiadaj z konia.

Zawahała się. Czy odważyłby się strzelić do niej, gdyby zawróciła i schowała się za grzbietem wzgórza? Był przerażony i odruchowo chciałby ją powstrzymać. Nie odważyła się zaryzykować.

— Nie waż się mnie tknąć — grała na czas.

— Zsiadaj — powtórzył.

Dziewczyna zsunęła się z siodła. Podszedł powoli do szczytu wzniesienia. Jego czarne oczy omiotły zbocze w dole.

— Jesteś sama — powiedział.

— To nie ma znaczenia — odpowiedziała twardo. — Jeśli zrobisz mi… jakąkolwiek krzywdę, za następne dwadzieścia cztery godziny będziesz trupem.

— Nie zrobię ci krzywdy, ale nie pozwolę ci mnie wydać — powiedział jej. — Pojedziemy stąd, głębiej na wzgórza.

Panika podeszła jej do gardła i dławiła jej głos. Nie mogła okazać napastnikowi strachu. Na razie nie był niebezpieczny, bo myślał tylko o własnym bezpieczeństwie, ale później przyjdą mu do głowy inne myśli.

— Nie, nie zsiądę — rzuciła mu.

— Zsiądziesz, inaczej wezmę lasso i ściągnę cię z siodła — odparł. — I nie próbuj mi tu wciskać kitu o pannie Broderick. Jesteś tylko dziewczyną, która wetknęła nos w nieswoje sprawy i teraz za dużo wie.

— W ciągu dwóch godzin wszyscy kowboje z naszego rancza zaczną mnie szukać.

— Tak, a gdybym cię wypuścił, to wszyscy oni szukaliby mnie — zadrwił. — Nie mogę na to pozwolić.

— Co ze mną zrobicie? — spytała cicho, a serce waliło jej ze strachu jak młotem.

— Zatrzymamy cię, dopóki nie będziemy gotowi do odjazdu. Myślisz, że pozwolę ci popędzić do domu i zepsuć nam polowanie?

— Dam wam czas na opuszczenie okolicy, zanim powiem komukolwiek choć słowo.

Zaśmiał się głośno.

— Nie jestem idiotą. Wyruszymy, jak tylko spakuję mięso.

— Jeśli zmusisz mnie, bym z tobą pojechała, cała okolica powstanie, aby wytępić was jak grzechotniki — prorokowała.

— Rozegramy to po mojemu, w bezpieczny sposób — odparł. — Wyjedziemy z tej okolicy, zanim twoi przyjaciele dowiedzą się, że wprosiłaś się do nas.

Hickory kazał jej poprowadzić konia w miejsce, w którym stał jego wielki gniadosz. Nie zauważył, że upuściła chusteczkę

— Nie próbuj uciekać, bo cię zastrzelę — ostrzegł ją. Położył broń na ziemi obok siebie, zapakował tylną ćwiartkę wołowiny do worka i przywiązał tobołek z tyłu siodła.

Kiedy wjechali na wzgórza, kolano w kolano, dziewczyna czuła się niemal fizycznie brudna. Była śliczną, młodą istotą, słodką i czystą, a ćwierć krwi Indianin był ogromnym, brzydkim, niedomytym i zaniedbanym człowiekiem. Górował nad nią wzrostem i choć na niego nie patrzyła, wiedziała, że wpatruje się w nią głodnym, zaborczym spojrzeniem, które

zdzierało z niej ubranie. Zabierał ją do obozu bandytów. Cieszyła się, że będą tam również i inni. Większa liczba ludzi oferowała bezpieczeństwo. Jego żądze zostaną okiełznane przez roztropność i poczucie przyzwoitości innych bandytów.

Na długo przed dotarciem do obozu przestępców straciła orientację. Słońce zaszło za jednym ze wzgórz i nie było już przewodnikiem. Wkrótce nad tymi złymi ziemiami zapadnie noc, a wraz z jej nadejściem znajdzie się tysiąc mil od wszystkich swoich przyjaciół. Coś równie zimnego i twardego jak lodowata pięść zacisnęło się jej na żołądku.

Wspinali się w górę osuwiskami i pokonywali kolejne wzgórza, zjeżdżając do krętych wąwozów. Wyłaniali się z nich na wierzchołkach wzgórz, które niemal natychmiast opadały w niewielkie doliny prowadzące na kolejne wzniesienia. Było już po zmroku, kiedy dojrzeli w dole światło ogniska. Hickory zahukał dwa razy jak sowa. Ktoś przy ognisku machnął zapalonym kijem.

Droga w dół, do potoku, była stroma. Konie ześlizgiwały się, stąpając pewnie jak koty, niemal przez połowę czasu opierając się na tylnych kopytach. Na widok dwóch wierzchowców zamiast jednego, człowiek przy ognisku wydał okrzyk zaskoczenia. Jego ochrypły głos zabrzmiał jak wyzwanie.

— Stój tam na miejscu! — rozkazał.

— Wszystko w porządku, Bart — zawołał do niego Jake. — To tylko pewna młoda dama, którą zgarnąłem, przyjechała do nas w odwiedziny.

Kiedy dziewczyna wjechała w krąg światła ogniska, na chwilę zapadła wstrząśnięta cisza.

— Wielki Jozafacie, panna Broderick! — wykrzyknął Rush Greer.

Willie May obrzuciła po kolei spojrzeniem obserwujących ją mężczyzn. Było ich trzech. Obok Greera, Cass i Bart Hickory.

— Po co ją tu ściągnąłeś? — spytał gniewnie starszego brata Bart. — Masz tyle rozumu co wesz.

— Sprowadziłem ją, bo natknęła się na mnie, kiedy ćwiartowałem wołu. Nie mogłem pozwolić, aby uciekła do domu i posłała pogoń na wzgórza, prawda?

— Nie chcemy jej tutaj — odezwał się Cass, wyraźnie zirytowany. — Nie walczymy z kobietami. Musiałeś przyprowadzić ją do obozu?

— A gdzie indziej miałbym ją zabrać? — warknął Jake. — Może miałem zataszczyć ją z powrotem do J.A. i powiedzieć mu, że oto jego mała dziewczynka, cała i zdrowa? No cóż, nie mogłem przecież tego zrobić. Zostanie tu z nami, dopóki nie wywieziemy naszych towarów z tej okolicy, jutro wieczorem.

Bart rzucił pytanie uwięzionej dziewczynie.

— Czy ktoś wiedział, że jedziesz między skały? — spytał szorstko.

— Tak. Mówiłam to chłopcu stajennemu. Bob Lee też tam był i mnie słyszał. Lepiej więc zabierzcie mnie z powrotem na obrzeża skał i puśćcie wolno. Nikomu nie powiem, że was widziałam - do czasu kiedy nie będziecie mogli stąd uciec.

— Dlaczego w takim dzikim terenie sama pojechałaś w góry, dziewczyno… jeśli naprawdę byłaś sama? — spytał podejrzliwie Bart. — To po prostu nie ma sensu.

Nie potrafiła wymyślić lepszego powodu niż prawda. Bob Lee namówił jej ojca, żeby zabronił jej wyjeżdżać z rancza. Nie podobało się jej, że się we wszystko wtrąca, więc nie posłuchała rozkazów, aby pokazać mu, iż nie jest jej szefem.

— Wtrącanie się to słowo, które pasuje do tego faceta — zgodził się z goryczą Cass. — Gdyby nie on, wyszlibyśmy z tego cało i nikt by się nie dowiedział. Dałbym wiele, żeby go dopaść i solidnie mu przyłożyć.

— Ale on nie jest jedynym, który wpędził nas w kłopoty — wtrącił dziko Jake. — Chodzi mi o tego mądralę, który musiał zostawić tropy w Sunk Bayou, gdzie każdy mógł za nimi pojechać.

Serce Willie May zadrżało. Jeśli Bob Lee mówił prawdę, wiedziała, kto był odpowiedzialny za pozostawienie tych śladów.

Rudawy mężczyzna, Greer, łagodnie zaprotestował.

— Nie ma sensu złościć się na… na naszego przyjaciela. On właśnie teraz załatwia, abyśmy mogli stąd uciec. Jutro będzie tu z informacją, w które strony najbezpieczniej się udać. Powinniśmy byli wyruszyć na szlak już wcześniej, kiedy kazał nam się wynosić.

— Po co teraz przejmować się tym wytwornym dżentelmenem? — Bart prychnął. — Jeśli nas wystawi do wiatru, to go załatwimy we właściwy sposób. Teraz mamy tę dziewczynę w ręku. Pytanie brzmi, co z nią zrobimy?

— Przyjechała tu z własnej woli — stwierdził Jake. — Nie wysyłaliśmy jej zaproszenia. Nie wróci do domu, żeby nie ściągnąć na nas wilki - nie, póki będę w stanie temu zapobiec.

To nie słowa, a głos i zachowanie tego człowieka sprawiały, że dziewczyna poczuła na plecach dreszcz. Nie patrzył na nią, kiedy mówił. Jego oczy nie odrywały się od oczu jego brata, Barta.

Pozostali mężczyźni wpatrywali się w niego, wyczytując okrutne znaczenie jego słów, którego nie chciał wyrazić słowami. Uważał, że najbezpieczniej będzie zlikwidować tego świadka i zakopać ciało pod stertą kamieni.

Rudowłosy bandyta natychmiast podjął wyzwanie.

— Jasne. Nie podejmiemy żadnego ryzyka, którego nie musimy podejmować, ale przede wszystkim dopilnujemy, aby tej dziewczynie nie stała się żadna krzywda. Dlaczego nie zabrać jej z powrotem na obrzeża skał, tak jak powiedziała, i nie pozwolić jej na powrót do domu? My zaś możemy wyruszyć dziś wieczorem.

— Nie. — Bart pokręcił głową. — Musimy zaczekać, aż… aż nasz przyjaciel da nam cynk, która droga jest wolna. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy na osobności, chłopcy.

Zostawili jeńca przy ogniu, a sami wycofali się w cień i szeptali sobie do ucha. Raz czy dwa ich głosy podniosły się, pełne gniewu. Udręczona dziewczyna wiedziała, że ma w tej grupie jednego przyjaciela, ale nie była pewna, czy wytrzyma on presję. Być może Cass Hickory również stanie po

jej stronie. Powiedział przecież, że nie walczą z kobietami. Ale Jake dominował nad całą czwórką.

Może przekonać pozostałych. Gdyby tylko zaczekali, aż przyjedzie Hiram Sugg. Z pewnością nie pozwoliłby im jej zabić, gdyby szala przechyliła się na tę stronę.

Jej nadzieje przeniosły się z Sugga na ojca, a potem na Boba Lee. Z jest ust nie wydostało się ani jedno słowo, ale słyszała w głowie, swój krzyk: „Och, Bob… Bob, przybądź tu i uratuj mnie”. I zdawało jej się, że usłyszała jego ciepłą i pogodną odpowiedź: „Już jadę, dziewczyno”.

Rozdział 27
Bob znajduje chusteczkę

Noc zapadła na długo zanim Bob dotarł do skał. Nie był pewien, czy w ciemnościach nie przeoczył Willie May, lecz wydawało mu się to mało prawdopodobne, gdyż co kilkaset metrów zatrzymywał się, by na nią krzyknąć. Kiedy dotarł do uskoku w skale, wjechał po osuwisku na szczyt, tak jak zrobiła to dziewczyna kilka godzin wcześniej. Tutaj dwukrotnie wystrzelił z rewolweru i czekał na odpowiedź. Żadna nie nadeszła. Otaczała go cisza ogromnych, pustych przestrzeni.

Niejasny niepokój, który go gnębił, zaostrzył się do poziomu ostrego zdenerwowania. Czuł, że wydarzyła się jakaś poważna katastrofa. W mrokach nocy nie miał nadziei na odnalezienie panny Broderick, ale nie mógł się zmusić do powrotu na ranczo bez niej. Jechał wzdłuż krawędzi urwiska, pokrzykując od czasu do czasu i nasłuchując odpowiedzi, po czym ruszał w głąb wzgórz, oddalając się o jedną ósmą mili, aby powrócić na drogę równoległą do tej, którą przebył wzdłuż krawędzi skał. Kiedy tak podążał swoim zmiennym rytmem, wszedł księżyc. Na zegarku była godzina jedenasta, kiedy podjechał na szczyt wzgórza i oddał ostatni strzał ze swojej czterdziestki piątki.

Na początku myślał, że to wróciło do niego echo. Lecz po pierwszej odpowiedzi rozległ się drugi strzał. Z nową nadzieją ruszył w kierunku, z którego dolatywał huk rewolweru. Jego koń zjechał do niewielkiej doliny i wspiął się na przeciwległe zbocze. Zza grzbietu wzgórza dobiegł go krzyk. Chwilę później stanął twarzą w twarz z Curtem Simsonem.

Bob rzucił mu pytanie, które cisnęło mu się na usta.

— Czy panna Broderick wróciła do domu?

— Nie. Szukamy jej - cała nasza ekipa — odparł Curt.

Na barki Lee jakby opadł wielki ciężar. Miał dziwne wrażenie, że właśnie w tej chwili Willie May wzywa go na pomoc. W głębi duszy słyszał słaby dźwięk jej głosu. Słyszał też siebie krzyczącego do niej, że już jedzie. Głosy w jego wnętrzu ucichły. Wrócił na ziemię i stał twarzą w twarz z Simsonem na skalistym zboczu wzgórza.

— O wschodzie słońca mamy się spotkać na Devil’s Head i wymienić się informacjami — przekazał mu Curt. — Zdaje się, że nikt nie będzie miał dobrych wieści, chyba że dopisze nam szczęście. Szanse na odnalezienie jej w tych ciemnościach są niewielkie. Wygląda mi na to, że spadła z konia i być może gdzieś leży ranna.

To mogła być prawda, lecz Bob obawiał się czegoś gorszego. Przez całą noc przemierzał plątaninę wzgórz. Gdy nastał świt, posłuchał rozkazów i dołączył do spotkania poszukiwaczy w Devil's Head. Znalazł się na terenie,

który już wcześniej przeszukał w nocy. Chociaż czuł ogromne zmartwienie, miał nadzieję, że któryś z ludzi mógł natknąć się na Willie May.

Niedaleko obrzeża skał, ze szczytu jakiegoś wzniesienia popatrzył w dół na widok, który normalnie bardzo by go zainteresował. Niedaleko od niego leżało ciało zabitego wołu. W nocy jakieś zwierzęta pożywiały się tuszą. Jednak kiedy podjechał bliżej, zobaczył, że ktoś odciął tylną ćwiartkę, najwyraźniej do zjedzenia. To była robota jakiegoś złodzieja bydła. Zastanowiło go to jednak. W pobliżu tej jałowej ziemi przemierzanej przez bandytów, nie mieszkali żadni osadnicy. Przewożenie mięsa na duże odległości byłoby niebezpieczne, ponieważ złodziej mógłby napotkać któregoś z kowbojów. Obóz, z którego pochodził złodziej musiał więc znajdować się w promieniu kilku mil. Wyjaśnienie pojawiło mu się przed oczyma jakby w gwałtownym rozbłysku. Był to obóz Hickorych.

Trzydzieści metrów dalej na porannym wietrzyku trzepotało coś białego. Podjechał koniem i popatrzył na ziemię. Serce niemalże stanęło mu w miejscu. Był to mały kwadracik płótna, damska chusteczka. Zsiadł z konia i podniósł ją. Na materiale widniały inicjały W. M. B.

Wiedział, że dziewczyna zostawiła ją jako sygnał, aby przekazać przyjaciołom, że ma kłopoty. Ostrożnie przebadał okoliczny grunt. Widniały tam ślady dwóch koni. Przypuszczał, że jeden z nich dosiadany był przez łowcę, który potrzebował wołowiny, a drugi przez dziewczynę, która złym zrządzeniem losu natknęła się na niego podczas roboty. Kimkolwiek był, musiał ją zabrać ze sobą.

Bob szybko podjął decyzję. Chciał jak najszybciej podążyć śladem tych koni w głąb wzgórz, ale wiedział, że najpierw musi poinformować ludzi na Devil's Head o tym, co znalazł. Puścił konia w galop, pojechał wzdłuż zbocza wzgórza i zobaczył człowieka wyjeżdżającego z wylotu małego wąwozu. Był to Timmy Boggs. Lee krzyknął do niego i po chwili zatrzymał się obok policjanta.

Timmy spytał:

— I jak, Bob?

Bob pokazał mu chusteczkę.

— Ktoś ją złapał i zabrał w góry. Ktoś z gangu Hickorych. Zostawiła to, żeby naprowadzić nas na trop.

— Skąd wiesz?

W kilku zdaniach Bob opowiedział mu, co odkrył.

— Zawieź to do Brodericka i przekaż mu, co ci powiedziałem. Ja natychmiast ruszam w drogę powrotną, w tamto miejsce. Skończyła mi się amunicja. Daj mi swój rewolwer. Ty możesz dostać naładowany od któregoś z chłopców, którzy wzięli też ze sobą karabin.

Timmy bez słowa wymienił się z nim rewolwerami. Indianin pojechał w kierunku miejsca spotkania. Bob wrócił do miejsca, gdzie znalazł chusteczkę. Na szczycie wzgórza przywiązał chustkę do krzewu, aby ludzie Brodericka nie przeoczyli tego miejsca.

Bob ponownie odnalazł tropy dwóch koni i podążył za nimi w głąb wzgórz. Ale ziemia była twarda, kamienista i sucha. Spalona słońcem powierzchnia gruntu nie zachowała śladów kopyt. Jedyne, co mógł zrobić, to jechać dalej w kierunku wyznaczonym wcześniej przez bandytę. Mogła

to być próżna nadzieja, ponieważ teren był tak pocięty wąwozami, parowami, wzgórzami i wąskimi dolinami, że nie można było poruszać się prosto, lotem ptaka. Musiał skręcać i zawracać tak często, że miał setki szans na przegapienie obozu.

Jechał przez kilka godzin. Słońce wznosiło się wysoko na niebie. Jego zegarek wskazywał południe. Znalazł trawiaste miejsce nad potokiem i zsiadł z konia, żeby odpocząć. Po uwiązaniu pony na paliku położył się w cieniu krzewów i spróbował nieco odpocząć. Sen nie był możliwy, ale wyciągnął się na plecach i zmusił swoje ciało do fizycznego rozluźnienia. Miał wielką ochotę, by po kilku minutach znów zacząć przemierzać niekończące się wzgórza, ale zmusił się do leżenia przez trzy kwadranse.

Potem ruszył w dalszą drogę. Jego kowbojski pony mozolnie wspinał się po ostrych wzniesieniach, docierając do wierzchołków, z których Bob rozglądał się po długich fałdach ziemi, ciągnących się aż po horyzont. Gdzieś na tym pustkowiu, powstałym miliony lat temu, ukrywali się bandyci.

W dole wąskim kanionem wił się strumień, miejscami ukryty przed wzrokiem obserwatora przez gąszcza dzikich wiśni porastających jego brzegi. Coś się tam poruszało. Mógł dostrzec odgarniane na boki gałęzie. To mógł być jeleń albo krowa. Czekał, aż z plątaniny wyjechał człowiek na koniu. Z tej odległości nie mógł dobrze zobaczyć, kto to był. Znalazł zjazd z grzbietu wzgórza i pchnął konia w dół. Musiał jednak zjeżdżać krętym skalistym wąwozem, i gdy dotarł do strumienia, jeździec już zniknął.

Podążył za strumieniem, w górę zwężającego się wąwozu, do szczeliny w skalnej ścianie, która otwierała przejście po wąskiej półce, w stronę szczytu. Ślad kopyta na piasku wskazywał, że drogę tę niedawno przemierzył jakiś koń.

— Myślę, że lepiej będzie, jak udamy się za naszym niespodziewanym przewodnikiem — powiedział do konia.

Półka była stroma i miejscami bardzo wąska. Przez większą część drogi wysypana była luźnym gruzem, który sprawiał, że podłoże było niepewne. Kiedy Bob popatrzył w dół z wysokości dwustu stóp, poczuł się niezbyt bezpiecznie. Lecz ktoś właśnie tędy dotarł na szczyt. Jeśli inny koń był w stanie tego dokonać, jego Keno też mógł.

Bob wrócił myślami do innego dnia, kiedy razem z Hightowerem pokonywali taki właśnie uskok skalny. W połowie drogi doszedł do wniosku, że mogą nie być w stanie dotrzeć na szczyt i odwrócił się w siodle, aby powiedzieć o tym Cleburnowi, lecz widok nieruchomej twarzy Choctawa powstrzymał go. Bob nic nie powiedział i jechał dalej do przodu.

Jutro miała się odbyć egzekucja jego przyjaciela. Bob wiedział, że ku ocaleniu Hightowera działają potężne siły, z których największą było narastające przekonanie, iż zabijając jednego z Hickorych, przysłużył się społeczności. Ale ani sędzia, który przewodniczył procesowi, ani Główny Wódz publicznie nie wykonali jeszcze żadnego ruchu. Być może czekali na ostatnią chwilę, aby go uratować, albo zdecydowali się pozostawić werdykt sądu w mocy. Poświęcenie Cle wydawało się Bobowi straszną pomyłką sądową, lecz takie błędy zdarzały się już wcześniej. Dręczył go strach, że

presja polityczna może okazać się na tyle silna, iż Indianin zostanie sądownie zamordowany pomimo istniejących okoliczności łagodzących.

Zamierzał pojechać dziś do Four Corners i po raz ostatni zaapelować do Cala Judsona o wycofanie jego fałszywych zeznań, ale przeszkodziły mu w tym pilniejsze obowiązki. Cle musiał ponieść to ryzyko. Obowiązkiem Boba było odnalezienie córki swojego szefa, jeśli tylko zdoła.

Kiedy dotarł na szczyt ściany kanionu, Bob ujrzał przed sobą teren tak zniszczony przez pradawne wstrząsy, że można było się na nim zgubić na każdym z tuzinów fałdów wzgórz. Jeździec, którego widział pół godziny wcześniej, zniknął w jednym z nich. Kowboj z J A B nie potrafił nawet logicznie zgadywać, w którą stronę mógł się udać śledzony podróżnik. Przez zarośla przedarł się do jednego z obniżeń terenu, znalazł się w impasie, zawrócił i spróbował z innym. W głębi serca nie miał nadziei, że może wybrać dobrą drogę. Dwie godziny później nadal jeździł niespokojnie od jednego wzgórza do drugiego, gdy nagle zaskoczył go odgłos wystrzału karabinu, który zahuczał gdzieś w dole.

Rozdział 28
Willie May znajduje obrońcę

Kiedy bandyci wrócili do ogniska, byli rozdrażnieni i skłóceni. Zaniepokojone spojrzenie Willie May przesuwało się od jednego do drugiego. Żaden z Hickorych nie spoglądał bezpośrednio na nią. Miała wrażenie, że unikają jej wzroku.

Bart rzucił szorstko:

— Lepiej idź spać, dziewczyno. — Dodał oskarżycielsko: — Wpakowałaś nas w niezłe kłopoty.

— Gdybyście pozwolili mi wrócić do domu…

Jake ze złością uciął jej sugestię.

— Nie puścimy cię do domu. Zostaniesz tutaj. Jeśli zostaniemy zaatakowani, będzie to miało dla ciebie przykre konsekwencje.

Rush Greer miał również coś do powiedzenia.

— Niech pani się nie martwi, panno Broderick. Nie spotka panią żadna krzywda, dopóki ja żyję. — Mówił niskim, gburowatym głosem, słyszalnym dla wszystkich.

Dziewczyna wyczuła, że w jego słowach kryła się wyraźna obietnica. Spojrzała na rudobrodego przestępcę z wdzięcznością. Zgodnie z kodeksem, według którego żyła, był łajdakiem, ale miał swoje własne standardy i dał jej do zrozumienia, że zamierza według nich żyć i umrzeć. Płonął w nim jakiś niewielki płomyk szacunku do samego siebie, którego nie można było zdmuchnąć, póki będzie oddychał.

Jake Hickory popatrzył na niego z groźbą w czarnych, paciorkowatych oczach.

— Człowiek nie zawsze wie, jak długo będzie żył.

Greer pogłaskał swą ognistą brodę i odpowiedział twardym spojrzeniem Jake'owi.

— To prawda. Nie zawsze. — Ze swej biblijnej młodości, dawno temu już zagubionej w bezmiarze lat złego życia, znalazł werset Pisma Świętego. — Choć czyhają na życie sprawiedliwego, chociaż potępiają krew niewinną… na pewno Pan będzie mi obroną, a Bóg mój skałą ucieczki. A tamtym za ich niegodziwość zapłaci; i zgubi ich własna złośliwość, nasz Pan Bóg ich zgubi.

Cass wpatrywał się w niego zaskoczony. Jego zęby błysnęły w szyderczym uśmiechu.

— Jeszcze nie słyszałem aby diabeł głosił Biblię — zadrwił.

Rodzice Greera byli szkockimi prezbiterianami. On „uległ zepsuciu” i porzucił prostą wiarę w religię, która determinowała ich sposób życia. Wciąż jednak tkwiła w nim ponura sztywność jego rodowej krwi. Nie pozwalał, by ktokolwiek poprowadził go ścieżką, której on sam nie wybrał.

— Wstydźcie się — oznajmił bez ogródek. — Oto dziewczyna przychodzi do nas w nocy, nie niosąc w swym sercu zła przeciw nam. Nasze życia poszły na zatracenie, wszystkich z nas. Wiemy o tym od lat. Myślałem, że jesteście mężczyznami, gotowymi podjąć ryzyko, które na siebie sprowadziliście. Ale teraz, przeciwnie, zmieniliście się w stado wylęknionych kojotów. Aby ocalić swoje brudne skóry, skrzywdzilibyście tę dziewczynę. Na Boga, nie pozwolę na to. Będę tu siedział przez całą noc i pilnował, żebyście nie podnieśli na nią ręki.

Publicznie ogłosił, do tej pory nieco skrywane zagrożenie dla życia dziewczyny. Domyślała się go, lecz teraz już wiedziała z pewnością. W środku trzęsła się jak galareta. Był sam, przeciwko trzem. Jeśli postanowili ją zabić, jakże mógłby ich powstrzymać?

Wiedziała jednak, że się nie ugnie. Mimo strachu uczepiła się siły drzemiącej w tym brzydkim, zniekształconym bandycie, który tak śmiało im się przeciwstawił.

— Nie wyrządzimy jej krzywdy, jeśli jej przyjaciele będą trzymać swoje łapska z dala od nas — odparł nadąsany Cass.

— Co z was za mężczyźni, że chcecie chować się za kobiecą spódnicą, żeby ratować życie? — dopytywał się pogardliwie Greer. — Czy to indiańska czy biała krew w was, ma kolor wody?

— Zamknij gębę, Rush — warknął Jake. — Jest nas trzech na jednego i mamy cię już dość. Szukasz kłopotów.

— I wątpię, żebym ich nie miał, skoro tak ich szukam. Dobrze wiecie, że nawet jeśli mnie załatwicie, dopadnę co najmniej jednego z was, zanim zginę.

Prawdopodobnie była to prawda, ponieważ wszyscy strzelcy wiedzą, że zdecydowany człowiek, nawet jeśli zostanie trafiony w serce, ma dobre pół sekundy, w którym to czasie może posłać kulę w przeciwnika, zanim wstrząs uderzy go na tyle mocno, aby zniszczyć koordynację między umysłem a mięśniami.

Greer stał naprzeciw trzech braci, którzy utworzyli wokół niego półokrąg, jak warczące wilki czekające na ofiarę. Byli to ludzie, którzy źle znosili sprzeciw wśród współpracowników. Zwykle groźba ich wspólnego gniewu wystarczała, aby zniechęcić opornego kompana. Było jednak coś przerażającego w tej ciężkiej, beznamiętnej twarzy, która ostrzegała ich, aby zachowali ostrożność.

Ta sytuacja zaskoczyła ich, ponieważ nie doszło jeszcze w ogóle do żadnego kryzysu. Jake nie proponował aby wyrządzić dziewczynie jakąś natychmiastową krzywdę. Wskazał jedynie, że jej obecność stanowi zagrożenie i że jeśli wrogowie opadną ich z przytłaczającą siłą, będą musieli pozbyć się świadka, którego zeznania mogą posłać ich na szafot. Greer natychmiast zadeklarował się jako jej obrońca. Pod żadnym pozorem nie pozwoli jej skrzywdzić. Jego życie już dawno poszło na zatratę, jak powiedział im bez ogródek, i nie doda zbrodni zabójstwa tej młodej kobiety do swoich grzechów ani nie pozwoli im wykonać żadnego kroku przeciwko niej.

— Nie igraj z ogniem, Rush — poradził mu Jake, powściągając wściekłość. — Nie zamierzamy w żaden sposób źle potraktować panny

Broderick. Nie ma sensu się z nami o to kłócić. Wszyscy tu obecni, jesteśmy przyjaciółmi.

Rudobrody mężczyzna wzruszył ciężkimi ramionami i nie odpowiedział ani słowem. Wiedział, jak daleko sięga przyjaźń Hickorych. Gdyby było to dla nich korzystne, nie zawahaliby się naszpikować jego ciała ołowiem. Z natury byli podejrzliwi i brutalni. Sami zdradzieccy, zawsze więc szukali tych samych cech u innych.

Greer zaparzył mocną kawę i wypił kilka filiżanek. W nocy zamierzał czuwać i obserwować co się dzieje. Jego zdaniem dziewczyna była na razie dosyć bezpieczna, ale na Hickorych nie można było polegać. Byli tym bardziej niebezpieczni, że brakowało im mocnych nerwów, by czekać do ostatniej chwili, aż trzeba będzie kogoś zabić. W ciągu ostatnich kilku godzin sporo wypili, co zawsze czyniło ich jeszcze bardziej lekkomyślnymi. Sprzeciwił się im, z pogardą poddając w wątpliwość ich dumę. Dopóki był w ich towarzystwie, żył w ciągłym niebezpieczeństwie. Do chwili kiedy nie będzie mógł odłączyć się od grupy, musiał uważnie ich obserwować, nieustannie, przez cały czas. Dla niego samego, jeszcze bardziej niż dla niej, sen mógłby mieć śmiertelne skutki.

Kiedy Hickory odsunęli się na bok i zaczęli rozmawiać szeptem, jego wzrok ani na moment ich nie opuszczał. Gdy wrócili do ognia, Greer trzymał się najpierw w pobliżu jednego, a potem drugiego z nich. Jego ociężały bezruch skrywał błyskawiczną czujność. Jego prawa ręka nigdy nie odrywała się od czterdziestki piątki u boku.

Jake i Bart zwinęli się w swe koce i zasnęli. Cass usiadł po turecku naprzeciwko Greera. Najwyraźniej bracia postanowili podzielić się wartą w czasie nocy. Nie ufali rudowłosemu bardziej niż on im.

Greer przyniósł swój koc i podał go dziewczynie.

— Nie będę dzisiaj spał — zapewnił ją. — Będę tu siedział niecałe dziesięć stóp od ciebie. Nie byłabyś bardziej bezpieczna, gdybyś była we własnym łóżku, w domu. Ci ludzie cię nie skrzywdzą, chyba że zostaną do tego zmuszeni, aby ratować swoje skóry. Ta chwila jeszcze nie nadeszła i prawdopodobnie nigdy nie nadejdzie.

— Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie robisz — powiedziała z wdzięcznością w oczach. — I jeśli kiedykolwiek nadejdzie moja kolej, by ci pomóc, zrobię to.

— Im mniej będziesz miała do czynienia z takimi ludźmi jak my, tym lepiej — powiedział jej szorstko. — Jesteśmy ludźmi na wskroś przeżartymi złem.

— Wcale nie — odparła szybko. — Nigdy w to nie uwierzę. — Jej głos opadł nieomal do szeptu. — Kiedy mówili o kimś, kto pomoże im uciec, czy mieli na myśli pana Sugga?

— Nie będę mówił o takich rzeczach — odpowiedział szorstko.

— Bo jeśli to pan Sugg, to jestem pewna, że będzie po naszej stronie.

— Idź spać i przestań gadać — rozkazał jej.

Nie spodziewała się, że zaśnie, ale po pewnym czasie udało jej się to. Zapadła w niespokojną drzemkę, z której budziła się co chwilę, aby spoglądać na swojego nowego przyjaciela, siedzącego naprzeciwko

najpierw jednego, a potem drugiego z Hickorych. Czasami mocno palił. Raz pił kawę.

— To świetna rzecz, żeby zmusić cię do czuwania, Jake — usłyszała jego drwiące słowa. — Ostatnio za dużo spałem. Miło jest dla odmiany usiąść i pomyśleć o dobrych przyjaciołach, jakich mam.

Jake odparł przymilnym głosem.

— Jesteśmy kumplami już od bardzo dawna.

— Nie mam zamiaru dłużej trwać w tym błędzie, Jake. Kiedy zwiniemy obóz, wy pójdziecie w swoją stronę, a ja w swoją.

— Niech będzie tak jak mówisz, Rush. Po naszej stronie nie ma urazy.

Zjedli śniadanie przed wschodem słońca i natychmiast zgasili ogień, aby dym nie zdradził lokalizacji ich obozu. Dla uwięzionej dziewczyny stało się jasne, że ścigani odmierzają już ostatnie godziny do przybycia wspólnika, o którym wspominali poprzedniej nocy. Dwaj młodsi bracia opuścili zagłębienie terenu, przez które przepływał potok, i wjechali na strome zbocze, aby zabezpieczyć się przed każdą niespodzianką. Wiedzieli, że Broderick musi przeczesywać pustkowie w poszukiwaniu córki i byli przygotowani do szybkiej ucieczki, gdyby zaszła taka potrzeba. Wszystkie konie osiodłano i pozostawiono uwiązane w gaju młodych wierzb nad potokiem.

Jake Hickory został w obozie, by mieć oko na Greera i pannę Broderick. Był wyraźnie zdenerwowany. Odkąd córka J.A. przebywała z nimi, nie było to bezpieczne miejsce. Kilkanaście razy spojrzał na duży, gruby zegarek, który nosił przy sobie.

— Dlaczego Sugg jeszcze się nie pojawił? — wymamrotał w końcu. — Pewnie nie obchodzi go, co się z nami stanie, więc woli trzymać się z boku. Dam mu za to nauczkę, pewne jak amen w pacierzu. Jeśli nas dopadną, na pewno pociągnę go za sobą.

Greer spojrzał szybko na dziewczynę. To był pierwszy raz, kiedy którykolwiek z nich wymienił Sugga z nazwiska. Kolory zniknęły z jej twarzy. Teraz już wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że człowiek, którego chciała poślubić, współpracuje z tymi bandytami i prawdopodobnie jest, w pewnym sensie, ich przywódcą. Każde słowo, które Bob Lee powiedział jej ojcu, było więc prawdą.

— Czasami zastanawiam się, jak ktoś z takim tchórzliwym sercem jak twoje mógł żyć poza prawem — powiedział pogardliwie rudobrody mężczyzna. — Przez cały czas się boisz, że ktoś chce cię sprzedać. Kiedy zakończymy tę pracę, kończę z tobą, Jake. Daję ci słowo, zapamiętaj.

Jake zatrzymał się w połowie nerwowego kroku i popatrzył na swojego byłego kumpla, a w jego oczach pojawiło się silne pragnienie aby wyciągnąć rewolwer i naszpikować towarzysza zbrodni ołowiem. Greer przyglądał mu się nieufnie, z kciukiem zaciśniętym na luźno opadającym pasie i pogardą w zimnych, szyderczych oczach.

Rudowłosy mężczyzna potrząsnął głową.

— Nie próbuj tego, Jake — ostrzegł. — Nie masz wystarczająco dużo zimnej krwi, aby wyjść z tego bez szwanku. Nawet jeśli mnie dopadniesz, na pewno też cię załatwię.

Spojrzenia obu mężczyzn uważnie się badały. Willie May wstrzymała oddech. Usłyszała w piersi tykanie wieczności, bicie skrzydeł anioła śmierci. Potem napięcie opadło. Odetchnęła z ulgą. Jake wybrał bezpieczniejszą drogę.

Hickory spróbował się uśmiechnąć, aby rozluźnić sytuację i obniżyć panujące napięcie. Rezultatem jego wysiłków był paskudny krzywy grymas, który obnażył jego wilcze zęby.

— Rush, nawet nie myślałem o takim szalonym kroku — wyjaśnił zdenerwowanym głosem.

— Więc tego nie rób — odparł łagodnie Greer, a w jego głosie czuć było lodowaty powiew.

Z wierzchołka wzgórza dobiegł sygnał. Na półce pojawili się jeźdźcy. W dół popłynęło pohukiwanie sowy.

Serce dziewczyny zaczęło bić szybko. Rozpoznała człowieka na jednym z koni. Jeźdźcy zniknęli za załomem wzgórza i pojawili się niżej niż poprzednio. Do obozu doleciały szydercze słowa Cassa Hickory.

— Mamy dla pana przyjemną niespodziankę, panie Sugg. Mówią, że jeden dobry uczynek pociąga za sobą drugi. Podczas gdy pan pocił się, aby wyciągnąć nas z tej matni, my przygotowaliśmy dla pana małe przyjęcie powitalne. Myślę, że będzie pan bardzo zadowolony.

Sugg popatrzył w dół i nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Rozdział 29

Sugg przybywa z ratunkiem

Hiram Sugg natychmiast zorientował się, że wszystkie jego plany na przyszłość runęły jak domek z kart. Jego myśli śmigały to w jedną, to w drugą stronę, próbując znaleźć jakieś wyjaśnienie, które mogłoby zadowolić pannę Broderick. Przyszła mu do głowy tylko jedna szansa. Gdyby udało mu się ją przekonać, że on także jest jeńcem, mógłby jeszcze uniknąć katastrofy.

— Jeśli ona domyśli się, że jestem jednym z was, to jesteśmy zgubieni — powiedział niskim głosem do Cassa. — Nie pomogę wam w ucieczce.

— Dlaczego nie? — zaczął dopytywać się młody Hickory.

— Ponieważ zamierzam zabrać ją ze sobą, a jeśli ona domyśli się, że jestem z wami, nie będę mógł ściągnąć wam z drogi oddziału Whita Carsona, wysyłając go na fałszywy trop.

— Dlaczego ona musi pojechać z tobą?

— Nie zostawię jej tutaj. Nie kłóć się ze mną, Cass. Musi być tak, jak powiedziałem. Zachowuj się tak, jakbym był twoim więźniem.

Cass zawahał się. Zawsze był podejrzliwy wobec Sugga, ale zależało mu na jego pomocy. Zdecydował, że przynajmniej przez jakiś czas lepiej będzie grać zgodnie z jego wolą. Zmienił ustawienie karabinu, wycelowując z niego w starszego mężczyznę.

— Krzyknij, że właśnie mnie schwytałeś — rozkazał Sugg.

Młody bandyta zrobił, co mu kazano.

— Zobaczcie, kogo tu mam — krzyknął. — Znalazłem go jak włóczył się po wzgórzach, jakby kogoś zgubił. Pomyślałem więc, że sprowadzę go do obozu i sprawdzę, czy nie mamy tu jego zguby.

— Najwyższa pora żebyś się tu pojawił, Sugg — warknął Jake.

— Zgadza się. — Cass szybko wyjaśnił uwagę brata. — Zanim by się wymknął i sprowadził bandę uzbrojonych ludzi, żeby nas dopadli.

— Czy on zamierzał to zrobić? — spytał ostro Jake.

— Myślę, że szukał swojej dziewczyny — powiedział Cass z drwiącym uśmiechem.

Sugg podchwycił proponowany sposób wyjścia z tej sytuacji. Domyślił się co się stało i zaryzykował.

— Przeczesywaliśmy wzgórza w jej poszukiwaniu.

— Tak? — zadrwił Jake. — A teraz ją znaleźliście.

Willie May powiedziała:

— Tak się cieszę, że się tu pojawiłeś, Hiram. Możesz mnie zabrać do domu, proszę?

Jake pokazał zęby w brzydkim uśmiechu.

— Byłoby miło, co? Pan Sugg byłby prawdziwym bohaterem. Ale co by się stało z nami?

Dziewczyna kontynuowała spokojnie, jakby Jake w ogóle się nie odezwał.

— Obiecałam im, że nikomu nie powiem, że tutaj są, dopóki nie będą mieli szansy wydostać się z okolicy. Zabierzesz mnie do domu, prawda?

— Nie wiem, skąd się tu wzięłaś, ale oczywiście nie wyjadę stąd bez ciebie. Tak jak mówiłaś, nie powiemy nikomu o chłopcach, dopóki nie dowiemy się, że są bezpieczni. Mogą przedostać się do Teksasu, pod warunkiem, że wyniosą się stąd dziś wieczorem. — Spojrzenie Sugga spoczęło na czarnych, paciorkowatych oczach Jake'a. — Nikt nie stanie im na drodze, jeśli przejadą przez Sunk Bayou i ruszą na południe.

— To ty tak mówisz. — Głos Jake'a był ciężki od pełnego goryczy sarkazmu. — Skąd mamy wiedzieć, że nas nie podpuszczasz? Dziewczyna zostanie z nami, dopóki nie będziemy bezpieczni.

— A więc nigdy się stąd nie wyrwiecie. Nie bądź głupi, Jake. Te wzgórza są pełne jeźdźców szukających panny Broderick. Jedynym sposobem na to, by się stąd wynieśli i wrócili do domu, jest pozwolić mi, abym zabrał ją na ranczo. Już na długo wcześniej, zanim tam dotrzemy, spotkamy kogoś, kto rozgłosi, że poszukiwania dobiegły końca. W ciągu kilku godzin wszyscy chłopcy zaczną wycofywać się ze skał, zmęczeni i marząc o długim śnie. O zmroku na tym pustkowiu nie będzie już nikogo oprócz was. Zamiast was załatwić, to polowanie zadziała na waszą korzyść. Po zmroku, kiedy wyruszycie w drogę, wszyscy ludzie pragnący waszych skalpów będą chrapać jak niedźwiedzie.

Jake chciał w to wierzyć. Brzmiało to rozsądnie. Nie mógł jednak pozbyć się nieufności wobec Sugga. Może ten szykował pułapkę na nich.

— A kiedy my będziemy przemykać się w ciemnościach, próbując uniknąć kul, ty będziesz sobie siedział z dziewczyną i odgrywał wielkiego bohatera, który ją uratował, przez cały czas będąc tak samo winny jak my.

Strach Jake'a wyraźnie podkreślała rozgoryczona żółć zazdrości. Nie mógł znieść tego, że Sugg cieszy się względami kobiety, której on pożądał na próżno.

Finansista zignorował nastrój Jake’a. Musiał zatrzeć skutki tego, co przed chwilą powiedział Hickory. Zaśmiał się lekko.

— Proboszcz Ewing powiedziałby ci, że wszyscy jesteśmy nędznymi grzesznikami i to z pewnością prawda. Byłem winny wielu rzeczy. Ale trzymajmy się sedna sprawy, Jake. Oferuję pomoc zarówno wam, jak i pannie Broderick. Nie mogę jej tu zostawić. Gdybym to zrobił, każdy z was wiele by za to zapłacił. Jedyną waszą nadzieją jest uwolnienie jej oraz mnie.

Rush Greer wysłuchał najpierw jednego, a potem drugiego. Rozumiał dylemat Sugga i to, jak desperacko starał się zbudować w umyśle dziewczyny obraz swojej niewinności. Rudobrody był realistą. Nie miał pretensji do Sugga. Chciał przede wszystkim zapewnić bezpieczeństwo pannie Broderick, a potem sobie. Zaproponowany plan wydawał mu się dobry.

— Ja też tak uważam, panie Sugg. Myślę, że pan i panna Broderick postąpicie uczciwie. Jestem za uwolnieniem was obojga.

Willie May zdawała sobie sprawę, że Hiram Sugg walczy o jej zaufanie, a młody Hickory i Greer wspierają go, każdy z własnych powodów. Próbowali przebić się z tym pomysłem przez grubą czaszkę Jake'a, ale im się to nie udawało.

— Porozmawiajmy o tym na osobności — zasugerował Cass.

Hickory i Greer odsunęli się na tyle, by nie było ich słychać. Zabrali ze sobą konia Sugga.

— Nie ufają nam — stwierdził Sugg z uśmiechem.

— Nie sądzę, by Hickory ufali komukolwiek — odpowiedziała.

— Jak to się stało, że tu jesteś?

— Pojechałam na wycieczkę w skały i spotkałam Jake'a. Sprowadził mnie tutaj, bo bał się, że powiem, iż go widziałam.

— Rozumiem. Nie martw się. Jakoś cię z tego wyciągnę. Greer wydaje się mieć trochę rozumu.

— On jest moim przyjacielem, odkąd dotarłam do obozu.

— Dobrze. Zapamiętamy mu to, jeśli kiedykolwiek złapiemy tych łobuzów.

— Nigdy mu tego nie zapomnę — mruknęła z głębokim uczuciem.

— Kiedy Jake cię znalazł? — spytał.

— Wczoraj wieczorem, przed zmrokiem. Znalazłam go, jak ćwiartował jednego z wołów mojego ojca.

— Musiałaś mieć okropną noc.

— Nie było tak źle, jak mogłoby być. Ten człowiek, Greer, siedział do rana, żeby pilnować Hickorych, podczas gdy ja spałam. Byłam pewna, że nie pozwoli im zrobić mi krzywdy, jeśli tylko będzie mógł.

— Pewnego dnia odpłacę mu za to. Dzięki Bogu, że Cass na mnie wpadł i przywiózł mnie do obozu. Wyciągnę cię stąd, moja droga. — Jego głos był ciepły i pewny siebie, a zachowanie swobodne. Chciał, by wiedziała, że może na nim polegać. Wierzyła, że tak, ale czuła, że uważnie ją obserwuje, żeby zorientować się, czy przyjęła jego historię. W tej chwili nie miała zamiaru rozjaśniać mu w głowie tej kwestii.

— Wiem, że tego dokonasz — odpowiedziała.

— Bez względu na to, ile to by mnie kosztowało.

Spojrzała na bandytów, stłoczonych i kłócących się.

— Myślisz, że nas puszczą?

— Tak. Nie martw się. Mamy ich w ręku. Muszą pozbyć się ludzi, którzy cię szukają. — Dodał, tonem szorstkim od uczuć: — Nie mogę pozwolić, żebyś narażała się na takie ryzyko, kochanie. Wyjdź za mnie natychmiast i pozwól mi się tobą zaopiekować.

Wybuchła wściekłością na samą siebie.

— Byłam taka głupia, że pojechałam między skały, mimo że mój ojciec mnie ostrzegał.

— Potrzebujesz opiekuna — uśmiechnął się, — kogoś, kto kocha cię jeszcze bardziej niż twój ojciec.

— Muszę nabrać trochę rozumu w głowie — wykręciła się. — Przez moją głupotę, pięćdziesięciu ludzi zamęczało się przez całą noc, szukając mnie, jak przypuszczam. Skąd się dowiedziałeś, że się zgubiłam?

— Pewien człowiek w Atoka mi powiedział. Nie miałem cierpliwości, żeby dołączyć do oddziału, lecz od razu ruszyłem.

Z niechęcią spoglądała na rolę, jaką musiała odegrać. Miała porywczą i szczerą naturę, ale teraz musiała udawać młodą niewinność i stawić czoła podstępowi. Ten człowiek pogrążył się głęboko w złu i bezprawiu, a ona nie odważyła się jeszcze wybuchnąć na niego oburzeniem i pogardą za jego hipokryzję i podłość. Nie przybył tutaj, aby jej szukać. Nie wiedział nawet, że się zgubiła. Jej bystre oczy dostrzegły jego zdumione zakłopotanie, gdy po raz pierwszy spojrzał w dół ze stoku wzgórza i zobaczył ją w obozie. Hiram Sugg był potajemnym wspólnikiem bandytów i przyjechał do ich obozu z informacją o najlepszej trasie ucieczki. Tego była pewna. Nic, co byłby w stanie zrobić lub powiedzieć, nie mogło zachwiać jej pewnością.

— Kiedy tylko zobaczyłam, że zjeżdżasz szlakiem, wiedziałam, że jestem bezpieczna — odpowiedziała. To była w zasadzie prawda, przynajmniej do pewnego stopnia, choć nie w sensie, jaki mogłyby sugerować jej słowa.

Objął ją ramieniem, a jego palce zacisnęły się na jej bicepsie z przyjacielskim naciskiem.

— Nic nie może cię zranić, dopóki ja tu jestem — obiecał.

Ciało dziewczyny zesztywniało. Wysiłkiem woli kontrolowała instynktowne kurcze mięśni.

— Idą z powrotem — powiedziała.

Jake ogłosił podjętą przez nich decyzję.

— Puścimy was - oboje. Nie wyrządziliśmy żadnej krzywdy pannie Broderick. Jej własny tatuś nie mógł jej lepiej traktować. Przywiozłem ją tutaj wyłącznie dla naszej ochrony. — Zwrócił się do Willie May błagalnym głosem. — Czyż nie tak, dziewczyno?

Kiwnęła głową na znak zgody.

— Nie zrobiliście mi nic złego. Nikomu nie powiem, że was widziałam, dopóki nie będziecie mieli wystarczająco dużo czasu, żeby uciec.

— Powiedzmy do pojutrza rano.

— W porządku.

— To samo dotyczy pana, panie Sugg? — zapytał Jake.

Sugg skinął głową na zgodę.

— Powiedział nam pan, jak najlepiej ominąć oddziały pościgowe. Może podejdziemy do tego nieco ostrożniej.

— Jestem gotów udzielić wam wszelkiej pomocy, jakiej zdołam, w zamian za wasze zaufanie do nas — powiedział Sugg.

Jake pokazał swoje poszarpane zęby w sarkastycznym uśmiechu.

— Tak sobie myślałem, że może byłby pan skłonny.

Poprowadził finansistę w miejsce, w którym bandyci odbyli swoją naradę. Rozmawiali długo. Dziewczyna, która ich obserwowała, widziała, że Hiram Sugg zapewniał Jake’a Hickory, że robi dla niego wszystko, co w jego mocy.

Metys potrzebował długiego przekonywania. Nadal wyglądał na ponurego i niepewnego, gdy wrócili.

Cass przyprowadził Willie May należącego do niej konia. Dziewczyna podeszła do Rusha Greera i podała mu rękę.

— Mam nadzieję, że uda się panu uciec bez przeszkód — powiedziała mu.

Wielki, niezgrabny łobuz niezręcznie wziął jej małą rączkę w swoją wielką łapę.

— Ja też mam taką nadzieję — uśmiechnął się szeroko.

— Mój ojciec ma ranczo niedaleko Lampasas w Teksasie. Jeśli kiedykolwiek zmieni pan swój styl życia, zawsze będzie tam dla pana miejsce. Proszę o tym pamiętać.

— Zapamiętam, pani słowa i podziękuję teraz. Może J. A. będzie miał inne zdanie. Prawdopodobnie nie będę go niepokoić swoją osobą.

— Nie zna pan mojego ojca. Dotrzyma tej obietnicy tak samo mocno jak ja. Proszę przyjechać i zobaczyć.

Sugg pomógł jej wsiąść na siodło. Ruszył za nią wąską ścieżką na leżące nad nimi wzgórze.

Podjechali na jego wierzchołek i spojrzeli w dół na obóz.

— Przypuszczam, że byłam bardziej wystraszona, niż było to potrzebne — stwierdziła dziewczyna. — Bardzo prawdopodobne, że w ogóle nie byłam w niebezpieczeństwie.

Jej towarzysz nie chciał, żeby tak zaczęła myśleć.

— Wręcz przeciwnie, myślę, że byłaś w bardzo wielkim niebezpieczeństwie — powiedział poważnie. — Teraz mogę ci już powiedzieć, że naprawdę jesteś bezpieczna. Jake Hickory to nikczemny łobuz, który nie cofnie się przed niczym, żeby ratować własną skórę. Gdybym nie przyjechał… — Zatrzymał się, najwyraźniej przerażony myślą o tym, co mogło się wydarzyć.

— Nie mogli mnie tknąć, dopóki tam był Rush Greer. — Ponownie puściła konia w ruch. — To dziwne, że taki człowiek mógł rzucić się w wir walki ze złoczyńcami pokroju Hickorych. On jest zły, jak sądzę, ale nie w taki sposób, jak oni. Zastanawiam się, co sprawia, że człowiek zaczyna wędrować krętymi ścieżkami zła, kiedy tak naprawdę jest w nim wiele dobra.

Nie odwrócił się do niej. Jego spojrzenie utkwione było w szlaku przed nimi, gdzieś w jakimś dalekim miejscu. Wiedziała, że nie myślał o Greerze, ale o kimś znajdującym się znacznie bliżej.

— Bóg jeden wie — odpowiedział. — Jest nim jest jakiś cień pogardy dla prawa - albo wpada w jakieś tarapaty - i już po nim. Wszyscy mamy w sobie jakieś buntownicze impulsy. — Machnął ręką w stronę zagłębienia, z którego właśnie wyjechali. — Gdyby nie łaska Boska, Hiram Sugg też mógłby się znaleźć w tamtym miejscu.

Ledwie oddychała. Przemknęło jej przez myśl, że zamierza się przyznać. Natychmiast jednak zdała sobie sprawę, że wcale nie miał takiego zamiaru.

Dodał, radosny i zadowolony z siebie:

— Na szczęście istnieje jeszcze coś takiego jak charakter. W dawnych czasach wielu hodowców - żeby podać przykład - tworzyło swoje stada, kradnąc bydło i wyłapując zabłąkane cielaki, lecz J. A. Broderick nigdy nie oznakował cielęcia, które nie należało do niego.

Policzki Willie May zarumieniły się ze złości. Poczuła urazę i pogardę dla tego człowieka, który próbował wzmocnić swoją pozycję, porównując się do jej ojca. Wiedziała już, że wszystkie jej emocje wobec niego opierały się na błędnych przesłankach. Jego uroda, urok i siła nie były odzwierciedleniem dobrego ducha, ale częścią fałszywej fasady, która ukrywała jego zepsucie. Gorący wstyd przebiegł przez nią, że mogła dać się oszukać takiej taniej podróbce.

Ciszę słonecznego dnia nagle rozdarł odgłos wystrzału. Zanim jego echo ucichło, nadleciały kolejne, ostre i wściekłe. Strzelanina musiała mieć miejsce w obozie bandytów. Strach napiął mięśnie ciała dziewczyny. Jej przyjaciele musieli natknąć się na ich kryjówkę.

Rozdział 30
Jake popełnia błąd

Ludzie w obozie spoglądali, jak sylwetki Sugga i panny Broderick rysują się na tle nieba, na szczycie grzbietu. Jake uderzył gwałtownie pięścią w lewą dłoń.

— Głupcy z nas, że pozwoliliśmy im odjechać! — zawołał. — Mam ochotę wskoczyć na konia i sprowadzić ich z powrotem.

— Nie ma potrzeby się denerwować — poradził beztrosko Cass. — Ona będzie trzymać gębę na kłódkę. Sugg o to zadba. Zawsze za nim szalała.

— Dlaczego? — dopytywał się Jake. — Co ona widzi w tym śliskim draniu? Nigdy go nie lubiłem.

Greer wzruszył ramionami.

— Z tobą i mną w pobliżu, nikt by nigdy nie pomyślał, że dziewczyna spojrzy więcej niż dwa razy na Sugga — stwierdził z sarkastycznym uśmiechem. — Nie co dzień spotyka się takie piękności jak my.

— Mów za siebie — warknął nadąsany Jake.

— Będę mówić za nas obu — odparł bez ogródek Greer. — Jesteśmy parą obrzydliwych, paskudnych, steranych życiem starych łajdaków, którzy młodość stracili w piekle hazardu i burdeli, a Sugg to przystojny młody diabeł, który ma na tyle gładki język, by szeptać nim brednie, które podobają się dziewczynom. Byłoby jej głupio, gdyby wybrała któregoś z nas przed nim. Co?

Jake wiedział, że rudobrody podjudza go dla zabawy. Rzucił gniewne przekleństwo i odwrócił się. Jedną z jego słabości była nadmierna próżność. Uważał, że mając uczciwą szansę, byłby nie do odparcia dla żadnej kobiety.

Greer zachichotał. Cass mrugnął do niego. Sam był przystojnym młodzieńcem i nie miał nic przeciwko temu, że Jake zszedł na trochę z piedestału. Ani on, ani Bart nie lubili swego starszego brata.

— Trochę mi się chce spać — oznajmił Greer, ziewając. — Chyba teraz nadrobię zaległości. Będziemy jechać przez całą noc.

— Dobry pomysł — zgodził się Bart. — Sam się też zdrzemnę.

Powolnym, ciężkim krokiem Greer podszedł do koni.

— Blacky prawie wyjadł całą trawę — zawołał do swoich towarzyszy. — Przestawię go w inne miejsce.

Wyciągnął palik i zwinął linę, zmierzając wzdłuż niej do łba swojego wierzchowca. Chwilę majstrował przy uździe, wbijając wzrok najpierw w jednego, a potem w drugiego z Hickorych, po czym z niewiarygodną u tak ciężkiego mężczyzny zwinnością wskoczył na siodło i poderwał Blacky'ego do galopu. Rzucił się ku wierzbom na polanie, z ciałem wciśniętym nisko w siodło. Od razu odrzucił ścieżkę na grzbiet wzgórza. Zanim dotarłby na

wierzchołek, karabiny pozostałych bandytów podziurawiłyby jego ciało kulami.

Zaskoczeni Hickory stracili bezcenną chwilę. Nim odezwał się huk ich rewolwerów, koń Greera już zanurzył się w wierzbach. Kule pocięły liście nad jego głową.

— Brać go, chłopcy! — zawołał Jake. — Brać go!

Pobiegł po karabin i podniósł go z ziemi. Greer zniknął, ale Jake widział, jak młode drzewa trzęsą się od gwałtownej szarży rudobrodego. Mając nadzieję na jakieś przypadkowe trafienie, wystrzelił na ślepo w głąb zarośli.

Jego bracia już pędzili do swoich koni. Wjechali między wierzby, nie zważając na gałęzie, które ich chłostały. Na przedzie parowu widzieli Greera, daleko po lewej stronie. Zawracał, by schować się w kępie drzew poniżej wierzchołka grzbietu. W pobliżu drugiego wylotu parowu znajdowało się pole głazów, na którym mógłby znaleźć dobrze osłonięte stanowisko, gdyby go mocno nacisnęli.

Cass jadąc dwukrotnie strzelił do niego z siodła, ale był zbyt mocno rozemocjonowany, aby oddać celny strzał. Zmusił konia do galopu. Greer wjechał między drzewa i zniknął. Kiedy Hickory zobaczyli go ponownie, pędził po podłożu lasku. Jake spróbował do niego strzelić. Nawet się nie obejrzał, dopóki nie dotarł do pola głazów. Tam odwrócił się, pomachał im ręką w szyderczym geście pożegnania, a następnie zniknął im z pola widzenia.

Jake Hickory zatrzymał się i dał znak braciom, aby się zatrzymali. Nie było sensu pakować się w zasadzkę.

— Zdejmie nas, kiedy tylko się zbliżymy — powiedział Jake.

— Możliwe — zgodził się Bart. — Mógł też pojechać dalej, wiedząc, że stracimy czas, by upewnić się, że na nas tam nie czeka.

— Nie możemy rzucić się wszyscy na łeb na szyję — warknął Cass. — To byłoby dla niego zbyt łatwe. Zatoczę koło i dotrę do pola głazów przez tę dębinę po prawej. Wkrótce dowiem się, czy już tam jest.

Młody Hickory popędził z powrotem na dół i ruszył przez krawędź lasku. Dziesięć minut później krzyknął do swoich braci, aby podjechali. Greer domyślił się, co zrobią, i wykorzystał ten kwadrans, by oddalić się od swoich prześladowców.

Z drugiego końca pola głazów bandyci popatrzyli na długi zjazd i zobaczyli Greera wspinającego się na zbocze przeciwległego wzgórza.

— Wygląda na to, że zamierza dołączyć do Sugga nad Dry Creek — domyślił się Bart. — Moglibyśmy przeciąć mu drogę, gdybyśmy się pośpieszyli.

Jechali szybko przez nierówny teren, skracając drogę przez najeżoną odłamkami skalnymi dolinę na wzgórzach. Doprowadziło ich to do okolicy, w której ciasno piętrzące się wzgórza nie były takie wysokie, lecz niemalże ściśle przylegały do siebie. Pół mili na lewo od nich znajdowała się przerwa w tym paśmie. Skierowali się w stronę tej szczeliny, by odciąć Greera, gdy wyjedzie z wąwozu.

Rozpadlina znajdowała się jeszcze dwieście jardów od nich, gdy wyłonił się z niej jeździec. Jake nie czekał nawet chwili, by unieść karabin. Wycelował i wystrzelił.

— Mam go! — krzyknął strzelec. — Prosto w serce.

To, że trafił, było pewne. Jeździec chwycił się łęku siodła przed sobą, opadł na niego i powoli osunął się głową na ziemię.

Z szczeliny wyjechał drugi jeździec. zatrzymał się, zsiadł z siodła i pobiegł aby pomóc leżącemu.

— Boże wszechmogący, to dziewczyna Brodericka! — zawołał Cass. — Postrzeliłeś nie tego człowieka, Jake.

— Jak cholera, trafiłeś — powtórzył Bart. — Załatwiłeś Sugga.

Dziewczyna pomogła rannemu stanąć na nogi, podłożyła mu rękę pod ramiona i podtrzymywała go, gdy szli w kierunku wąwozu, z którego wyjechali. Mężczyzna odepchnął ją, jakby chciał wrócić do konia. Jego towarzyszka popatrzyła z niepokojem na trzech bandytów wyraźnie widocznych na tle nieba, po czym wykonała gest zgody. Podbiegła do konia, którego dosiadał Sugg, i wyciągnęła z pochwy przy siodle karabin.

Po raz drugi strzelba Jake'a wystrzeliła, dokładnie w chwili gdy Cass podbił mu lufę do góry.

— Co ty, do diabła, chcesz zrobić - założyć nam wszystkim sznur na szyje?

Jake zwrócił ku niemu dziką twarz, z której patrzyły na niego przekrwione oczy.

— Teraz nie ma innego wyjścia — oznajmił chrapliwie. — Ona wie, kim jesteśmy. Jeśli kiedykolwiek dotrze do swoich przyjaciół, napuści na nas całą gromadę, a oni rozerwą nas na strzępy. Musimy dokończyć to, co zaczęliśmy.

— To, co ty zacząłeś — warknął Bart. — Jesteś tak wystraszony, że nie mogłaś poczekać, aby upewnić się, że masz na celu odpowiedniego człowieka. Teraz mamy przez to niezły bałagan.

— Musimy dorwać ich oboje, a potem posłać ich pod ziemię — nalegał Jake. — A mnie… nic nie powstrzyma przez zrobieniem tego.

Popatrzyli ponuro po sobie.

— Jedźmy — zgodził się Bart. — Skoro tak musi być.

Cass gwałtownie zaprotestował. Nie chciał brać w tym udziału. Nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Potem nagle podniósł ręce w geście kapitulacji. Ale, upierał się. Jake to zaczął. Sam będzie musiał dokończyć sprawę.

Rozdział 31
Droga przestępcy

Strzał padł gdzieś w bliskiej odległości, z karabinu. Bob Lee postanowił dowiedzieć się, kto jest za niego odpowiedzialny, ale ponieważ miał przy sobie tylko rewolwer, podszedł do sprawy ostrożnie. Zsiadł z konia i przywiązał go do młodej topoli, po czym przedarł się przez gęste zarośla na szczyt najbliższego wzniesienia. Zanim tam dotarł, ponownie odezwał się karabin.

Spoglądając przez zarośla, zobaczył nie więcej niż pięćdziesiąt jardów od siebie trzech braci Hickory. Rozproszyli się i bardzo ostrożnie posuwali się w kierunku przecinającej grzbiet rozpadliny. Prawdopodobnie kogoś w tym wąwozie przyszpilili. Przynajmniej jeden jego koniec był przez nich zamknięty. Ale ktoś z ich bandy mógł pilnować również i drugiego wyjścia.

Na zboczu wzgórza, tuż za wylotem rozpadliny, znajdowały się dwa osiodłane konie. Puls podniecenia zaczął bić Bobowi w gardle. Pozbawiony jeźdźca koń, stojący bliżej niego, był to pony na którym wyjechała wczoraj z rancza panna Broderick.

Nie mając ochoty na popełnienie samobójstwa, Bob nie obwieścił swojej obecności. Nie tracił jednak ani chwili. Lekko wbiegł po leżącym za plecami Hickorych zboczu, do podnóża wieńczącej wierzchołek skały i zaczął się na nią wspinać. Wiedział, że wystarczy iż któryś z bandytów się odwróci, a będzie zgubiony, lecz miał nadzieję, że są tak zaaferowani pościgiem za swoją ofiarą, że nie obejrzą się za siebie. Jeśli to zrobią, ołów wbije mu się w plecy. Skalna korona wzgórza miała około dwudziestu stóp wysokości i tworzyła ją niemal prostopadła ściana. Jednak na jej nierównej powierzchni łatwo było znaleźć uchwyty dla rąk i stóp, a ze szczelin w pobliżu wierzchołka wyrastały krzewy. Przy pomocy mocnej roślinności, wciągnął się na szczyt.

Do rozpadliny prowadziła w dół wąska ścieżka. Pędził po niej, a gdy dotarł na dno wąwozu, usłyszał huk karabinu odbijający się echem między wąskimi ścianami. Dostrzegł Willie May z dymiącą bronią w rękach. Klęczała przed Suggiem, który leżał na ziemi.

Bob wykrzyknął jej imię i pobiegł do niej. Odwróciła się i wydała okrzyk radości.

— Weź to — ponagliła i rzuciła mu karabin. — Nie czekałam, aż ich zobaczę, tylko strzeliłam, aby uprzedzić ich, że jestem gotowa.

— Czy on może chodzić? — spytał Bob, kiwając głową w stronę rannego.

— Nie. Upadł zaraz kiedy tu dotarliśmy.

— Poniosę go. — Bob podał jej karabin. — Wracaj na ścieżkę i trzymaj się pod osłoną.

Przerzucił Sugga przez ramię i ruszył za dziewczyną. Nie biegła, ale szła przed nimi, co chwila rzucając przerażone spojrzenia na znajdujące się za nimi wejście do rozpadliny.

— Jeśli się pojawią, daj mi znać, a wezmę Winchestera — powiedział jej. — Kiedy to zrobię, przyciśnij się do ściany.

Byli już prawie na ścieżce, gdy zawołała:

— Są tam!

— Nie zatrzymuj się — rozkazał. — Schowaj się szybko na ścieżce.

Dotarł do miejsca schronienia ułamek sekundy po niej. Delikatnie położył na ziemi ciało nieprzytomnego mężczyzny.

— Jake Hickory go postrzelił — powiedziała.

— Tak. Teraz nie możemy nic dla niego zrobić. Idź na drugi koniec tej ścieżki i uważaj, żeby ktoś nie spróbował zejść nią, tak jak ja. Upewnij się, że cię nie będzie widać.

Zrobiła, co jej kazano. Bob wyjrzał za róg. Kula świsnęła mu obok głowy.

— Wyjdź z rękami w górze, Sugg - ty i dziewczyna też. Nie zrobimy wam krzywdy. Nie strzelałbym do ciebie, ale myślałem, że to Greer. — Głos należał do Jake'a Hickory.

— Nie jestem Sugg — krzyknął Bob. — Jestem kowbojem z J A B. Inni są już blisko. Teraz, gdy usłyszeli strzelaninę, szybko się tu pojawią, żeby cię załatwić.

— Nie ma sensu opowiadać takich bredni, Sugg — krzyknął Jake. — Wiemy, kim jesteś i że jesteś ciężko ranny. Wyjdź spokojnie, albo zrobimy z ciebie i dziewczyny tarcze strzelnicze.

— Wyjdę, jeśli twoi bracia wycofają się z wąwozu, żebym mógł porozmawiać z tobą sam na sam — odpowiedział Bob. — Boję się spotkać z wami wszystkimi, dopóki nie załatwimy sprawy.

Jego głos brzmiał słabo i błagalnie. Jego ton bardzo ucieszył Jake'a.

— Jasne, Sugg — zgodził się. — Nie prosimy o nic nieuczciwego. Ty i ja obgadamy wszystko razem, a chłopcy nie będą mieli nic przeciwko temu.

— Nie, Bob — wtrąciła się dziewczyna. — Nie ufaj im. Oni chcą nas wszystkich zabić. Proszę cię, nie wychodź.

Twarz Boba była ponura, miał stalowe oczy.

— Nie martw się. Nie ufam mu ani za grosz.

— Co zamierzasz zrobić?

— Zrobię mu niespodziankę.

— Chłopcy już opuszczają rozpadlinę. — Jake przemówił z surowym autorytetem. — Żadnych głupot, Sugg. Wyrzuć karabin, zanim wyjdziesz.

Bob wyjrzał, by upewnić się, że dwaj młodsi Hickory wycofują się. Właśnie przejeżdżali przez bramę wąwozu.

— W porządku. Odjechali. — W ciężkim basie Jake'a słychać było napięcie i niepokój. — Wyrzuć strzelbę i sześciostrzałowca. Nie zapomnij, że mam cię na muszce.

Aby odwrócić na ułamek sekundy uwagę swojego przeciwnika, Bob wyrzucił kapelusz. Zanim ten wylądował na ziemi, młody kowboj był już na otwartej przestrzeni. Z gardła Hickory wydobyło się zduszone, przerażone przekleństwo. Dwa pistolety huknęły, prawie razem. Kula

bandyty odłupała kawałek skalnej ściany blisko ucha kowboja. Bob myślał, że on także spudłował. W rozpadlinie rozległ się drugi strzał z karabinu Jake'a. Bob strzelił jeszcze raz, ale jeszcze zanim jeszcze nacisnął spust, wiedział, że metys ma kłopoty. Jego potężne ciało kołysało się. Zachwiał się jak pijany i karabin wyślizgnął mu się z rąk. Kolana ugięły się pod nim. Uderzył barkiem w leżący u jego stóp skalny gruz.

Huk broni Boba ponownie wypełnił wąwóz. Wycelował w jednego z pozostałych braci, którzy pojawili się w wejściu.

— Wracaj, Bob! — krzyknęła dziewczyna, ogromnie wystraszona.

Bob cofnął się do niszy utworzonej przez ścieżkę.

— Jesteś ranny? — zawołała Willie May, z bladymi ustami.

— Nie. Myślę, że zabiłem Jake'a Hickory.

Spokój jego słów i surowość jego twarzy bardzo nią wstrząsnęły. Przerażenie podeszło jej do gardła.

— Och, Bob — zawodziła. — To wszystko moja wina. Gdyby cię zabił…

— Ale nie zabił — uciął krótko Bob. W tej chwili nie było czasu na histerię. — Wracaj do swojego punktu obserwacyjnego. Wyjdziemy z tego. Ale przestań zachowywać się jak dziecko.

Wpatrywała się w niego.

— Przestanę — obiecała pokornie.

W wąwozie zabrzmiały gromkie groźby.

— Rozwalimy cię za to, Sugg, do cholery, natychmiast!

— Nie rozmawiacie z Suggiem — odpowiedział Bob. — Mówiłem wam to już wcześniej. Jestem Bob Lee.

— To kłamstwo. Skąd Lee miałby się tu znaleźć?

— Wspiąłem się po ścianie, kiedy nie patrzyliście i zszedłem ścieżką do wąwozu. Lepiej stąd uciekajcie, póki jeszcze żyjecie. Przynoszę pecha Hickorym.

— Jeśli jesteś Lee, pokaż się. Nie zrobimy ci krzywdy.

— Nie, dzięki. Podoba mi się tu, gdzie jestem. Trzymaj się, Cass. Cała ta strzelanina zaraz przyciągnie paru naszych chłopców. Z przyjemnością poznam was ze sobą.

Przez kilka chwil Bob słyszał dźwięk ich głosów, słabnący wraz z rosnącą odległością. Potem wydawało mu się, że wychwycił stukot końskich kopyt. W końcu nastała długa cisza. Lee spojrzał wzdłuż rozpadliny i nie dostrzegł żadnych śladów wrogów, z wyjątkiem ciała Jake'a, leżącego na kamieniach. Uznał, że nie spodobała im się ta sytuacja i pośpiesznie uciekli.

— Myślę, że się wycofali — powiedział do Willie May. — Pilnuj wąwozu, a ja zobaczę, czy będę w stanie coś zrobić dla Sugga.

— Postrzelili go, kiedy wyjeżdżaliśmy z rozpadliny — wyjaśniła. — Po tym, jak wcześniej nas wypuścili i pozwolili jechać nam do domu. Słyszeliśmy strzelaninę po opuszczeniu ich obozu. Myślę, że może Hickory zabili rudobrodego Greera. Stanął w mojej obronie.

Bob uklęknął obok rannego i rozchylił mu płaszcz i koszulę. Jedno spojrzenie powiedziało mu, że Sugg jest śmiertelnie ranny. Kula przeszyła jego ciało kilka centymetrów powyżej bioder.

Sugg otworzył oczy. Na jego ustach pojawił się cienki ironiczny uśmiech.

— To nie ma sensu — wyszeptał. — To więcej niż jestem w stanie znieść. Gdzie jest panna Broderick?

Bob zastąpił ją na stanowisku obserwatora. Podłożyła rękę pod głowę Sugga. Wiedziała, że umiera. Aby dosłyszeć, co mówi, musiała zbliżyć ucho do jego ust.

— Pocałuj mnie jeszcze raz.

Pocałowała go w usta.

— Droga przestępcy — powiedział, słowo po słowie. — Lepiej już w nią wyruszę.

Głowa opadła mu na jej ramię.

— Odszedł — powiedziała do Boba, a z jej twarzy zniknął cały kolor.

Bob patrzył na niego w milczeniu. Nie potrafił powiedzieć niczego, co mogłoby ją pocieszyć. Ona oznajmiła na głos, bardziej do siebie niż do swojego towarzysza.

— Myślałam, że go kocham. Nie mogłam uwierzyć, że on... że on...

Głos jej się załamał. Odwróciła się twarzą do skalnej ściany, a jej ciałem wstrząsnął suchy szloch.

Młody Lee powiedział bardzo cicho:

— Posiadał tak wiele. Ale to mu nie wystarczało. Chciał więcej i podążył ścieżkami przestępstwa, aby to zdobyć. Był słaby, choć wydawał się taki silny. Tak będzie lepiej. Miał co do tego rację. Nie mogło już być dla niego odwrotu po tym, jak zaszedł tak daleko.

— Nie mogło — zgodziła się.

Wspomnienie tych wszystkich radosnych i przyjemnych godzin, które spędzili razem, dławiło ją. Nie był takim złym człowiekiem. Jeśli ją oszukał, to dlatego, że miał nadzieję, iż ze zła w jego życiu wyrośnie jakieś dobro i że pewnego dnia będzie mógł odrzucić przeszłość jak brudną szatę.

Gdzieś w oddali wybuchł huk wystrzału, a po nim kolejny. Bob i Willie May spojrzeli na siebie, czekając. Ale żaden inny dźwięk nie przerywał ciszy pustkowia.

— Hickory chyba kogoś spotkali — powiedział. — Rzucę na to okiem ze szczytu ścieżki.

— Bądź ostrożny. Mogą spróbować wciągnąć cię w pułapkę.

Popatrzył z góry na najeżone skałami i poszarpane pustkowie, i wkrótce dostrzegł jeźdźca jadącego w kierunku rozpadliny.

— Czarny koń i wysoki jeździec — zawołał Bob do dziewczyny. — Zbyt daleko, bym mógł dostrzec, kto to jest.

Dołączyła do niego. Obserwowali zbliżającego się jeźdźca przez kilka minut.

— To Rush Greer! — zawołała Willie May.

— A więc to on. — Bob przesunął karabin w dłoniach.

— Nie będzie ci potrzebny — zapewniła go. — On nas nie skrzywdzi. Pokłócił się z Jakiem Hickory, żeby mnie uratować.

Kiedy Greer był już na tyle blisko, że jego głos mógł do nich dotrzeć, krzyknął.

— Wszystko w porządku?
Willie May podeszła do urwiska i spojrzała na niego. Bob stanął obok niej.
— Tak. Zaatakowali nas i zabili pana Sugga. Bob zastrzelił Jake'a Hickory. Później usłyszeliśmy dwa strzały.
— Wróciłem się, gdy usłyszałem strzały. Ze wzgórza zobaczyłem, jak przejeżdżają w dole. Bart i ja wymieniliśmy strzały. Leży tam martwy.
Bob opuścił kolbę karabinu na ziemię.
— Zerwałeś z nimi.
— Po niezłej awanturze — odpowiedział Greer, przyglądając mu się uważnie.
— Panna Broderick mówi, że stanąłeś w jej obronie.
— Co z tego? — zapytał ponuro banita.
— Jeśli tak, to żaden człowiek z J A B nie ma z tobą zatargu. Lepiej zaszyj się gdzieś na noc, a potem ruszaj na południe. Może ci się uda.
— Być może. — Głos Greera zabrzmiał sucho i sarkastycznie. — Żadnej gwarancji, jak sądzę?
— Żadnej gwarancji — odpowiedział Bob.
— Ale życzę ci wszystkiego najlepszego — zawołała dziewczyna. — I nie zapomnij, co ci mówiłam o przyjeździe na ranczo do pracy.
— Po wyjściu z więzienia — dodał bandyta z krzywym uśmiechem. — Cóż, powiem *adios*, panienko.
Chwycił wodze i ruszył w drogę.
— Chwileczkę — zawołał szybko Bob. — Cle Hightower ma zostać jutro zastrzelony za zabicie Sama Hickory. Byłeś tam. Co ci szkodzi powiedzieć teraz prawdę. Czy Indianin zabił w samoobronie?
Greer zawahał się. Wyznanie prawdy nie mogło mu ani pomóc, ani zaszkodzić. Nie był nic winien Cassowi Hickory. Hightower nic dla niego nie znaczył, ale nie czuł żadnej niechęci do Choctawa.
— Hickory postanowili go załatwić, gdy tylko wszedł do sklepu. Ja nie miałem o tym pojęcia. Wszyscy rzuciliśmy się na niego. Zabił Sama i uciekł. Tego dnia miał całą furę szczęścia.
— Nie, jeśli jutro zostanie zabity. — Bob rozważył problem. Próba zatrzymania Greera nie przyniosłaby nic dobrego. Pod presją wyparłby się tego, co właśnie powiedział. — Czy mógłbyś napisać i podpisać oświadczenie, że Hightower został zaatakowany i strzelał w samoobronie? To może go uratować.
Szarpany śmiech Greera nie był wesoły.
— A to dobre. Mam go uratować, podczas gdy twoi przyjaciele będą na mnie polować. Jeśli o mnie chodzi, to ja gram samotnie. On ma wielu pomocników.
— Nie. — Głos dziewczyny zabrzmiał pewnie. — Nie jesteś taki, jak bracia Hickory. Nie obchodzi mnie, jak zły byłeś. W gruncie rzeczy jesteś przyzwoitym człowiekiem. Wiem o tym. Ryzykowałeś życie, aby mnie uratować. Mam nadzieję, że uciekniesz. Ale może ci się nie udać. To może być twoja ostatnia szansa, aby zrobić coś dla niewinnego człowieka w tarapatach - i zamierzasz to zrobić. — Pewność, z jaką zaczęła, opuściła ją. Jej ostatnie słowa były krzykiem rozpaczy. — Zrobisz to - proszę?

— No dobrze. — Ton jego głosu zdradzał poirytowane zniecierpliwienie. — Nie warto się o to spierać. Zrobię to dla ciebie, nie dla niego.

Wyjął z kieszeni brudny notatnik i kawałek ołówka. Przez chwilę gryzł koniec ołówka, zastanawiając się, co napisać. Powoli i mozolnie coś pisał, po czym oderwał kartkę.

— Zostawię ją pod tym kamieniem. Możesz po nią przyjść, jak już sobie pojadę.

Odwrócił się i odjechał, niezręczny, brzydki złoczyńca. Ani razu nie obejrzał się za siebie. Wiedział, że Bob Lee nie strzeli mu w plecy. Niebezpieczne lata spędzone na pograniczu nauczyły go oceniać ludzi. Sam był zabójcą, ale nie takim, który by strzelał od tyłu.

Rozdział 32

Broderick staje przed dylematem

Koło wylotu rozpadliny Bob złapał konia Willie May i sprowadził go do niej. Zdjął z szyi bandanę i podał ją dziewczynie.

— Będziemy musieli przysłać tu kilku chłopców, żeby go przywieźli — powiedział łagodnie.

Willie May zakryła twarz Hirama Sugga chustą. Bob pomógł jej wsiąść na konia. Musieli objechać końmi, aby nie przejechać po leżącym ciele Jake'a Hickory. Wstrząśnięte spojrzenie panny Broderick, które padło na odwróconą ku górze, zniekształconą gniewem twarz przestępcy, natychmiast uciekło na bok. Jeszcze niecałe pół godziny wcześniej, ta leżąca bez ruchu postać wypełniona była gwałtownym życiem, które chciało zniszczyć jej własne.

Bob prowadził. To były dla niego nieznane tereny, ale był pewien wskazań kompasu. Jadąc dalej na południowy wschód musieli dotrzeć do równin. Jechali szlakiem wijącym się wokół wzgórz, podążając możliwie najłatwiejszą trasą, czasem jadąc w kierunku przeciwnym do celu. Bob zauważył, że głowa i ramiona jego towarzyszki zaczynały opadać. Była zmęczona, bardziej z powodu napięcia nerwowego, jej poddanego silnym wstrząsom organizmu, niż z powodu rzeczywistego fizycznego zmęczenia.

Wznosząc się, stopniowo pod niewielkim kątem, wspięli się na długi, niski grzbiet górujący nad wypaloną przez słońce doliną. Jakiś jeździec właśnie skręcał z niej w wąwóz wysadzany młodymi topolami. Był to Red Yocum, kowboj z J A B. Okrzyk skłonił go do zatrzymania się. Spotkał się z nimi na dnie doliny, którą właśnie miał zamiar opuścić.

Spojrzał na dziewczynę.

— Na Boga, masz ją! — zawołał. — Pewnie zgubiła się w górach. Cieszę się, że jest pani bezpieczna, panno Broderick. Pani ojciec prawie oszalał ze zmartwienia.

— Przekaż mu, że panna Broderick się odnalazła — poprosił Bob.

— Możesz się założyć! — Uśmiechnął się radośnie do córki swojego pracodawcy. — Tym razem mogę być pewien miłego przyjęcia przez starego.

Willie May uśmiechnęła się. Chciała, aby Yocum zachował wspomnienie tego uśmiechu i przekazał je jej ojcu, dla podniesienia ducha.

— „O jak są pełne wdzięku na górach nogi zwiastuna radosnej nowiny" — zacytowała. — Powiedz mojemu ojcu, że Bob Lee uratował mnie z rąk Hickorych.

— Czy te skunksy panią porwały? — zapytał Red.

— Opowiem ci o tym później — obiecał Bob. — Znajdź pana Brodericka i powiedz mu, że nie musi się już martwić. I miej oczy szeroko otwarte.

Gdzieś na tych wzgórzach jest Cass Hickory. Jest wystraszony i nerwowy - bardzo prawdopodobne, że będzie strzelał do każdego kogo zobaczy.

— Ma przecież paru braci, prawda? — dopytywał się Red. — Po co marnować czas na Cassa, a ich pomijać?

— Już nie ma żadnych braci. Jake i Bart zostali zabici.

Red wpatrywał się w niego.

— Jasna makrela! Kto zrobił tę dobrą robotę?

— Rush Greer zastrzelił Barta. Ja załatwiłem Jake'a.

Zaskoczony kowboj miałby ochotę zadać po sześć pytań na raz. W końcu zdecydował się na jedno stwierdzenie.

— Rush jest jednym z ich bandy. Musiałeś coś pomylić, Bob.

— Opowiem ci o wszystkim, kiedy będziemy mieli czas, Red. Lepiej roześlij wieści. A jeśli zobaczycie Greera, zostawcie go w spokoju. Bardzo pomógł pannie Broderick.

Zaskoczony Yocum ruszył w dalszą drogę. Zanim skontaktował się z Broderickiem, spotkał dwóch innych poszukiwaczy i powiedział im, aby przekazali pozostałym wiadomość o odnalezieniu panny Broderick.

Wyjeżdżając ze skał Bob i Willie May spotkali jeszcze dwóch kowbojów, obaj odjechali, aby przekazać dobrą nowinę o ocaleniu poszukiwanych.

Panna Broderick ledwo zdążyła się wykąpać i przebrać w świeże rzeczy, kiedy ludzie z J A B zaczęli się zjeżdżać do domu na ranczu. Jej ojciec był w drugiej grupie. Na początku poszukiwań był na nią wściekły i poprzysiągł jej straszliwą karę, lecz długie godziny przeżytego piekła, wypaliły jego gniew. Był wdzięczny, że odzyskał ją na jakichkolwiek warunkach. Rzuciła mu się w ramiona, a on tulił ją, wyrzucając z siebie wszystkie miłosne określenia, którymi obdarzał ją, odkąd była dzieckiem. Wszelka obcość, jaka ich dzieliła, uległa unicestwieniu. Opowiedziała mu historię swojej przygody, nie oszczędzając ani siebie, ani mężczyzny, który ją zafascynował. Bohaterem był Bob Lee, choć ani ona, ani jej ojciec tego nie podkreślali. Nie zrobił nic więcej, niż zrobiłby którykolwiek z trzydziestu kowbojów z rancza, gdyby miał taką szansę.

Willie May właśnie doszła do wniosku, że łóżko będzie cudownym pomysłem, kiedy Curt Simson i trzej inni ludzie z J A B dotarli na ranczo ze schwytanym więźniem. Broderick kazał im zaprowadzić tego człowieka do dużego salonu, który właśnie opuszczała jego córka. Na widok mężczyzny ze związanymi nadgarstkami natychmiast podeszła do niego i położyła mu ręce na dłoniach. Kowboje wpatrywali się w nią ze zdumieniem.

— Chcę wam wszystkim powiedzieć, że Rush Greer siedział całą noc, aby upewnić się, że żaden z Hickorych mnie nie skrzywdzi — oznajmiła niskim, ochrypłym głosem.

Bandyta uśmiechnął się hardo.

— Powiedziałaś mi, że twój ojciec będzie miał dla mnie robotę, więc się po nią zgłosiłem — powiedział.

— Gdzie schwytałeś Greera? — Broderick zapytał Simsona.

— Niedaleko solnisk. Dick zastrzelił pod nim konia, który przygniótł go tak, że nie mógł wyciągnąć strzelby. Sądzę, że gdyby nie to, próbowałby z nami walczyć.

Broderick czuł zakłopotanie. Był praworządnym obywatelem i nie mógł sprzeciwić się temu, co zrobili jego ludzie, ale w tym momencie był bardziej ojcem, który czuł się zobowiązany wobec tego bandyty. Nie mógł powiedzieć Simsonowi, aby uwolnił tego człowieka i wypuścił go; nie mógł też oddać go prawu do ukarania.

Usłyszeli wjeżdżających na podwórze jeźdźców. Jeden z nich wspiął się po schodach ganku i wszedł do domu. Stanął w drzwiach i przyjrzał się rozgrywającej się scenie.

— Słyszałem, że znalazłeś pannę Broderick, J.A. — powiedział. — To świetnie. Jestem zachwycony. Ale nie powiedziano mi, że złapałeś jednego z tych bandytów, których szukaliśmy. To też dobrze.

Broderick odchrząknął.

— No cóż, będziemy musieli o tym porozmawiać, szeryfie Carson — odpowiedział. — Faktem jest, że wiele zawdzięczam Rushowi Greerowi, a oddanie go w twoje ręce ze związanymi rękami, byłoby dla niego raczej nędzną zapłatą.

Szeryf spojrzał na hodowcę zimnymi, twardymi oczami.

— Co jesteś mu winien, Broderick?

— Moja córka twierdzi, że uratował jej życie przed Hickorymi. — Teksańczyk spojrzał mu prosto w oczy. — Ty też jesteś mu coś winien, Whit. Zabił Barta Hickory i oszczędził ci kłopotów.

— Kiedy to się stało?

— Jakieś cztery czy pięć godzin temu.

— Opowiedz mi tę historię. Wtedy będę wiedział, o czym mówisz.

Do pokoju właśnie wszedł Bob Lee. Broderick zwrócił się do niego.

— Opowiedz mu tę historię, Bob.

Lee opowiedział, przedstawiając swój udział w niej, jako niewielki.

Szeryf zwrócił się do Willie May.

— Wydaje mi się, że zgadza się to z pani historią, panno Broderick. A co z tym człowiekiem, Greerem? Czy zabezpieczał się, żeby mu pomóc, gdyby go złapano?

Dziewczyna zarumieniła się z rozemocjonowania.

— Nie, było inaczej. Uratował mi życie, ryzykując własne. Było ich trzech, a on powiedział im prosto w oczy, że nie da im mnie tknąć, dopóki on żyje. To były jego słowa. Odszedł od Hickorych, a później zabił jednego z nich w walce. To nie wszystko. Kiedy był jeszcze wolny, podpisał papier, w którym stwierdził, że Cle Hightower zastrzelił Sama Hickory w samoobronie. — Odwróciła się do Lee. — Gdzie jest ten papier, Bob?

Bob wyjął papier z kieszeni i podał Carsonowi, który przeczytał go powoli. Słowa napisane na papierze zostały nabazgrane na płaskim wierzchołku rogu siodła, który posłużył za biurko.

Czterech z nas zaatakowało Indiana Choktawa Hightowera w sklepie Judsona. Zaczął Sam Hickory. Judson i Dike Sims skłamali. Judson bał się powiedzieć co się naprawdę stało. Przysięgam, że to prawda.

RUSH GREER

Szeryf przytrzymał kartkę papieru przed oczami schwytanego bandyty.

— To twoje pismo, Greer?

— Tak — odpowiedział rudobrody.

— Jak to się stało, że to napisałeś? Czy ktoś ci obiecał, że to ci pomoże wydostać się z tego?

— Ani słowa obietnicy.

— Bo gdyby ktoś to zrobił…

Bandyta wszedł mu w słowo.

— Nie próbuj mnie straszyć, Carson. Nie boję się. I nie obchodzi mnie, co myślisz. Teraz, kiedy mnie złapali, dużo gadasz, ale kiedy byliśmy na wolności, jedyne, co potrafiłeś zrobić, to kręcić się wokół własnego ogona.

— Postarajmy się być rozsądni — przerwał Broderick. — Greer jest przestępcą, Whit. Nie da się temu zaprzeczyć. Kiedyś był jednym z gangu Hickorych, ale odszedł od nich, bo stanął w obronie mojej córki. Później zabił jednego z nich, jak powiedziała Willie May. Wygląda mi na to, że sprawa Greera jest szczególna.

— Nie jest to żadna szczególna sprawa, jeśli chodzi o mnie — poprawił go Carson. — To będzie musiało zostać rozstrzygnięte w sądzie sędziego Parkera.

— Chcemy sprawiedliwości, a nie prawa — nalegał Broderick. — W Fort Smith będzie po prostu kolejnym przestępcą z ziemi Narodu. Nie będą brane pod uwagę żadne okoliczności łagodzące. Greer nie jest takim złoczyńcą jak Jake Hickory.

— Był z Hickorymi podczas napadu na pociąg z Santa Fe, kiedy zabito Pata Foleya. Moim zadaniem jest aresztowanie przestępców. Nie jestem sędzią ani ławą przysięgłych.

Broderick stanął przed nieszczęśliwym dylematem. Wiedział, że Carson nie może zrobić nic innego, jak tylko zabrać schwytanego bandytę na rozprawę do Arkansas, w którym to przypadku Greer prawdopodobnie zostałby skazany i powieszony. Ostatnio było zbyt wiele napadów na pociągi, a to była zaostrzona sprawa, ponieważ wiązała się z morderstwem. Wszystko, co mógł zrobić, to obiecać Greerowi najlepszego prawnika, takiego, który dopilnuje, aby wszystkie fakty korzystne dla jego klienta zostały przedstawione.

Bandyta beznamiętnie wzruszył ciężkimi ramionami. Wiedział, że jeśli jego sprawa kiedykolwiek trafi do sądu, zostanie uznany za winnego i stracony.

Hodowca poszedł z Bobem na drugi koniec pokoju.

— Przykro mi z tego powodu. Pójdziemy na rozprawę do Fort Smith i zrobimy, co się da dla Greera. Sam się o to prosił. Nie mogę stać między nim a Carsonem.

— Nie — zgodził się Bob.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby upewnić się, że Hightower zostanie uratowany. Dowody, które mamy, pewnie wystarczą, ale czasu jest bardzo mało. Napiszę telegramy i wyślę je z Atoka przez jednego z chłopców. Jeden do sędziego, który prowadził sprawę, a drugi

do szeryfa odpowiedzialnego za egzekucję. Z Byronem Piercem zobaczę się osobiście. Z tym pisemnym wyznaniem Greera nie będzie się opierał i nie będzie chciał pozwolić na wykonanie egzekucji. Za kilka minut ruszam. Jeśli dziś w nocy będę spał, to w siodle.

— Jadę do Judsona. Teraz, gdy banda Hickorych została rozbita, może uda mi się go skłonić do powiedzenia prawdy.

— Może. Życzę ci powodzenia.

Ranczer wyszedł z pokoju. Nie było czasu do stracenia. Jego córka wyglądała na tak przygnębioną, że Bob do niej dołączył.

— Będziemy dzielnie walczyć o Greera na rozprawie — obiecał. — Twój ojciec zamierza to zrobić osobiście.

Pokręciła głową.

— To nic nie da. Musimy pomóc mu teraz.

— Jak? — spytał Bob.

Jej łagodne oczy błagały go, żeby uratował Greera.

Rozdział 33
Ucieczka z więzienia

Odchodząc Willie May powiedziała do Boba:

— Do zobaczenia w sadzie.

Zastał ją tam, spacerującą w tę i z powrotem pod konarami jabłoni.

— Co ja mam zrobić, Bob? — spytała nieszczęśliwa. — Nie mogę pozwolić, żeby zabrali go do Fort Smith po tym, co dla mnie zrobił. Jakoś muszę go z tego wyciągnąć.

Przed oczami Boba pojawił się obraz Sally Collins, która pomogła uciec innemu człowiekowi, oskarżonemu o ten sam napad na pociąg. Widział ją wyraźnie, podekscytowaną, młodą, żarliwą, popychaną do działania przez współczucie, czuł jej małą dłoń spoczywającą mocno na jego ramieniu, gdy wymykali się na paluszkach z rancza.

— Wiem, jak się czujesz — skinął głową. — Gdybyśmy mogli cokolwiek zrobić. Ale nie ma sensu rozmawiać z Carsonem. On musi dostarczyć Greera przed oblicze sądu.

— Ojciec szykuje kolację dla oddziału pościgowego i ich więźnia. Potem wyruszą do Atoka. Czy po drodze nie mogłoby się coś wydarzyć?

W księżycowej poświacie była bardzo piękna. Padające z góry światło nadawało jej eteryczny wygląd, a wrażenie to potęgowały cienie pod drobnymi oczami. Słodkie linie jej małego, uniesionego biustu sprawiały, że wydawała się śmiesznie młoda. Była tak smutna i przygnębiona, że chciał jej pomóc za wszelką cenę. Jednocześnie miał ochotę wziąć ją w ramiona i przycisnąć do siebie, aż jej duch i ciepłe, młode ciało połączą się z jego. Co oczywiście było absurdem, ponieważ nienawidziła go i udała się po pomoc do niego tylko dlatego, że nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie. Carson nie dopuści do żadnego ryzyka.

— Skoro wszyscy Hickory nie żyją oprócz jednego, nie będzie się spodziewał żadnej próby ratunku.

Jej niski, ochrypły głos, tak żarliwy i błagalny, chwytał go za serce. On też chciałby uratować Greera, ale byłoby głupotą naruszać prawo, próbując to zrobić.

— Nie, nie możemy zrobić czegoś takiego — powiedział. — Carson jest prawdziwym łowcą. Będzie walczył. Ktoś może zginąć.

Wykonała słaby, rozpaczliwy gest.

— Obawiałam się tego. Ale pomyślałam sobie, że może ty znajdziesz jakiś sposób. Tak bardzo chcę mu pomóc.

Myślał gorączkowo na głos.

— Dziś wieczorem wsadzą go do więzienia w Atoka. George Vickery zajmie się nim do rana. Może…

Zdanie urwało się, zanim zdążył je naprawdę zacząć. Lepiej, żeby nie znała jego planów, jakiekolwiek by one nie były.

— Nie chcę, żebyś ryzykował — powiedziała, już zaniepokojona i na wpół żałując, że się do niego zwróciła o pomoc.

— Nie — odpowiedział roztargnionym głosem. Już zaczynał sobie mgliście wyobrażać, jak można by przeprowadzić akcję ratunkową.

— Gdyby tobie lub któremuś z chłopców stała się krzywda, to ja byłabym winna. Zapomnij, że z tobą o tym rozmawiałam, Bob.

— Tak może będzie najlepiej — zgodził się.

Poddał się tak łatwo, że poczuła lekkie rozczarowanie. Mógłby przynajmniej wytrzymać, dopóki to ona by go nie przekonała, aby nie robił niczego niebezpiecznego. Lecz bez wątpienia, odkąd się z nim pokłóciła, nie był zainteresowany wykorzystywaniem szans, aby zrobić jej przyjemność.

— Jestem pewna, że tak — potwierdziła. — Przepraszam, że sprawiłam ci kłopot.

Nie czekając na niego, wyszła z sadu i wróciła do domu. Łzy napłynęły jej do oczu. Myślała, że zrozumie, iż jej przyjście do niego było gestem przyjaźni, próbą przywrócenia ciepłych uczuć między nimi, zachwianych przez różnicę zdań na temat Hirama Sugga. Prawdopodobnie jednak nie chciał odnowienia dawnego statusu. Uratował ją dzisiaj, ponieważ był to jego obowiązek, jako pracownika jej ojca, a nie dlatego, że była dziewczyną, którą lubił.

Bob patrzył, jak odchodzi, a na jego twarzy malował się ponury uśmiech. W dzisiejszych czasach nie potrafił niczego zrobić dobrze, jeśli chodziło o nią. Zamierzał, jeśli to możliwe, wymyślić sposób ucieczki Greera, ale nie mógł pozwolić na to, aby uczestniczyła w jego niezgodnej z prawem eskapadzie. Musiała pozostać czysta i nie mogła być współwinna przed faktem tego przestępstwa, jeśli tak można było to określić w prawniczym języku.

Ostrożnie dobrał sobie ludzi, jeźdźców z rancza, na których mógł polegać, że są gotowi na wszystko i nie będą o tym później mówić. Jednym z nich był Curt Simson. Pozostali, na których się zdecydował, to Red Yocum i spokojny chłopak znany jako Kansas. Bob był w siodle przez ponad dwadzieścia cztery godziny i miał tylko godzinę lub dwie odpoczynku, ale wsiadł na świeżego konia i po cichu wymknął się, by dołączyć do pozostałych na końcu drogi dojazdowej do rancza.

Dotarli do Atoka na długo przed oddziałem szeryfa. Skrót przez prerię pozwolił im zaoszczędzić dwie do trzech mil. Z cienia zarośli po drugiej stronie drogi do więzienia, Kansas wypatrywał przybycia grupy na którą czekali. Reszta oddziału ratunkowego spała pod dębem wirginijskim, sto metrów od drogi. Wszyscy trzej mieli za sobą długą drogę i cieszyli się, że mogą odpocząć

Kansas obudził ich krótko po północy. Poinformował, że przywieziono Greera, Carson wszedł z nim do środka, oddał więźnia na noc Vickery'emu i poszedł ze swoimi ludźmi spać do stodoły Medforda. Kansas twierdził, że

niemal na pewno wszyscy śpią. Przynajmniej widział, jak zdejmują siodła ze swoich wierzchowców i odprowadzają konie na pastwisko. Słyszał następnie, że wspinają się na stryszek z sianem i zaczynają chrapać.

Plan Boba był prosty. Jedyny problem polegał na tym, że łatwo mógł on posłać ich do więzienia. Red Yocum powiedział, że to nie byłoby takie złe. Jego matka zawsze chciała, żeby został wojskowym kapelanem. Gdyby dostał kopniaka do więzienia, miałby czas ciężko się uczyć i wyjść jako pełnoprawny ewangelista, jak brat Jones.

George Vickery był weteranem wojny secesyjnej w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat. Z zawodu był szewcem. Na boku pełnił również funkcję sędziego pokoju i strażnika więziennego. Jedyne przypadki, kiedy miał więźniów, związane były z sytuacją, gdy zastępca szeryfa zostawiał na noc zatrzymanego człowieka w zakratowanym pokoju w jego chacie, który przeznaczony był na celę dla tego rodzaju niezbyt chętnie pozostających u niego gości.

Głośne pukanie do drzwi wyrwało go ze snu, w który właśnie zapadł. Wychylił głowę przez okno na piętrze i dosyć złośliwie zapytał, czego od niego chcą. Był to już drugi raz, kiedy przeszkadzano mu tej nocy i był tym nieco podirytowany.

— Mamy dla ciebie kolejnego z Hickorych — odpowiedział głos.

W cieniu domu dostrzegł paru ludzi. Ten, który najwyraźniej był więźniem, miał związane z tyłu ręce.

— Czy musicie sprowadzać mi te wszystkie niebieskie ptaszki w środku nocy? — mruknął.

— Dostajesz dwa dolce za przetrzymanie go do rana, prawda? — odparł wesoło mężczyzna na dole.

To była prawda, a dwa dolce, to dwa dolce, pomyślał Vickery.

— Już schodzę na dół — warknął były żołnierz Konfederacji.

Gdy tylko otworzył drzwi, Vickery poczuł, że coś jest nie tak. Jego goście byli ubrani jak kowboje. Wielkie kapelusze mieli mocno nasunięte na czoła, a twarze zasłaniały im bandany. Cofnął się i spróbował zatrzasnąć drzwi, ale goście byli już koło niego. Jeden z nich wcisnął mu w brzuch lufę czterdziestki piątki.

— Spokojnie, George — poradził człowiek z drugiej strony rewolweru. — Wszystko będzie dobrze, jeśli będziesz grzeczny.

— Czego chcesz?

— Zamknęliście naszego przyjaciela. — Bob wyciągnął z kieszeni dwa dolary i wręczył je strażnikowi. — Oto twoja opłata za przetrzymywanie go. Zabierzemy go ze sobą, a ty zaoszczędzisz na kosztach jego śniadania.

Vickery syknął z oburzeniem.

— Nie chcę twoich pieniędzy. Nie masz prawa go zabierać.

— Oddaj pieniądze na kościół. Jeśli chodzi o zabieranie stąd kogokolwiek, zostawmy to Rushowi Greerowi. Jeśli nie będzie chciał jechać, może zostać.

— Kim wy w ogóle jesteście?

— Nie zadawaj głupich pytań, George. To przecież ucieczka z więzienia. Nie chcemy cię skrzywdzić, chyba że będziemy musieli to zrobić. Weź klucze i wpadniemy do Greera.

Stary żołnierz mruknął, ale był posłuszny. Dawno temu już się nauczył, że stojąc przed lufą broni trzeba opanować w sobie buntownicze pragnienia. Ci ludzie byli najwyraźniej bandyckimi przyjaciółmi ludzi Hickorych. Nie pozwolą na żadne nonsensy.

Greer leżał na łóżku, przykuty kajdankami do drewnianej poręczy. Na początku pomyślał sobie, że to grupa linczująca.

— Przyszliście po mnie, jak sądzę — oznajmił chłodno.

— Tak, Rush. Jesteśmy przyjaciółmi.

Przestępca nie zadawał więcej pytań. Mogli być lub nie być tymi, za których się podawali. Wkrótce się o tym przekona.

— Gdybym miał przy sobie broń… — zaczął strażnik.

— Wpadłbyś tylko w kłopoty — powiedział Bob, pomagając mu „dokończyć zdanie”. — Nie ekscytuj się, George. Położymy cię grzecznie spać na miejscu Greera. Miłych snów.

Zostawili go zakutego w kajdanki, tak jak przestępcę.

Ludzie z J A B przyprowadzili konia dla Greera. Pięć minut później zatrzymali się na wzgórzu pół mili od miasta.

— Pożegnamy się tutaj — powiedział Bob do bandyty. — Kieruj się na południe, ale trzymaj się mocno wschodu.

— Dostanę broń? — zapytał Greer.

— Nie. Dam ci pieniądze, jeśli będziesz ich potrzebował.

— Będę ich potrzebował. Zabrali mi wszystko co miałem przy sobie, co do grosza.

Kowboje mieli przy sobie trzynaście dolarów. Oddali pieniądze zbiegowi.

— Jestem bardzo zobowiązany, chłopcy. Rozpoznałem dwóch z was, choć Vickery’emu się to nie udało. Oczywiście będę milczał. Wiem też, dlaczego to robicie. Nie mieliście obowiązku mi pomagać. To, co zrobiłem zeszłej nocy w obozie, zrobiłby każdy biały człowiek.

— Powiedzmy to sobie jasno, Greer. Nie wymieniając żadnych nazwisk, wyciągnęliśmy cię z tego kłopotu, ponieważ ktoś był niezadowolony z tego, że zostałeś złapany. — Bob zakończył z nutą lekkiego sarkazmu. — A teraz, jeśli ruszysz w drogę, wszyscy uznamy to za koniec wspaniałej przyjaźni.

Zatwardziały łajdak zjechał do doliny i zniknął z ich życia. Od czasu do czasu docierały do nich pogłoski na jego temat. Pod innym nazwiskiem pracował na ranczu w hrabstwie Dimmit w Teksasie. Kilka lat później kowboj, który opuścił J A B, spotkał go i rozpoznał w Tucson w Arizonie, niedaleko skąd miał swoją małą farmę. List od tego kowboja wspominał, że Greer dorobił się młodej żony i dwójki dzieci.

Rozdział 34

Cle Hightower przymierza trumnę

Tej nocy Bobowi nie był dany odpoczynek. Choć był potwornie zmęczony, musiał zobaczyć się z Judsonem i powiadomić go, że gang Hickorych został zniszczony, a Rush Greer podpisał zeznanie uniewinniające Hightowera. Gdy dotarł do Four Corners i wyrwał właściciela sklepu z niespokojnego snu, było już po trzeciej.

Opowiedział swoją historię szybko i prosto. Nie było czasu do stracenia, jeśli mieli dotrzeć do Stringtown przed porannym pociągiem. Judson był na wpół ubrany i drżał na zimnym porannym powietrzu.

— Od czasu tej strzelaniny w moim sklepie źle się czuję — poskarżył się Lee. — Tam, skąd pochodzę, desperaci nie terroryzują uczciwych ludzi. Co mogłem zrobić? Takim jak ty łatwo mnie krytykować, ale gdybym zeznał, że to Hickory rozpoczęli strzelaninę, zabiliby mnie na pewno, bez dwóch zdań.

Bobowi było żal tego człowieka. Został wciągnięty w sytuację zbyt niebezpieczną, aby mógł sobie z nią poradzić. Judson nie pasował do tego dzikiego, pogranicznego kraju. Był zbyt nieśmiały, zbyt pełen obaw. Być może każdy człowiek rodził się tchórzem lub ryzykantem, i musiał grać takimi kartami, jakie dostał do ręki.

— W tych lasach człowiek musi mieć żyłkę do walki — powiedział mu Bob. — Jak tylko się stąd wydostaniesz, lepiej wracaj do Indiany, czy skądkolwiek pochodzisz. Ale to może poczekać. Teraz pytanie brzmi: czy zamierzasz się przyznać, skoro gang Hickorych został złapany? Jeśli tak, to musimy znaleźć dla ciebie konia i ruszać *prontito*.

— Będą twierdzić, że złożyłem fałszywe zeznania i poślą mnie do więzienia — błagał Judson.

Lee nie był w stanie powstrzymać nutki pogardy w głosie.

— Nie. Będą przecież wiedzieć, że Hickory kazaliby cię zabić i wypuszczą cię. Mój Boże, chyba nie zamierzasz siedzieć tu na tyłku i pozwolić niewinnemu człowiekowi umrzeć, nie wykonując żadnego ruchu, co?

Judson nie mógł się zdecydować. Od wielu dni dręczyło go sumienie. Noce zmieniły się w długie godziny piekła. To była ostatnia szansa, aby naprawić zło, jakie wyrządził. Być może Lee miał rację co do bezpiecznego wyjścia. Mógł zgodnie z prawdą twierdzić, że podczas składania zeznań miał niemalże przystawiony rewolwer do głowy.

— Jeśli mamy zdążyć na pociąg, to lepiej już ruszajmy — rzucił z irytacją.

W drodze do Stringtown Judson gadał, kiedy tylko pozwalało na to tempo jazdy. Próbował się usprawiedliwiać. Jego towarzysz nie spierał się

z nim. Bob domyślał się, że Judson odetchnął z ulgą, gdy na czas dostał szansę zrzucenia z siebie tego ciężaru.

Było jeszcze kilka godzin przed świtem, kiedy wsiedli do pociągu. Bob opadł na siedzenie, usadowił się wygodnie i natychmiast zasnął. Judson obudził go w South McAlester. Tutaj opuścili pociąg K. & T., by przesiąść się na ten do Wilburton. Lee nadrobił kolejne zaległości we śnie. Zszedł na peron stacji w tym mieście jako zupełnie nowy człowiek.

Ulice były zatłoczone. Minęło już kilka lat, odkąd jakiś Choctaw został stracony po tym, jak zwolniono go z obietnicą powrotu na wykonanie wyroku. Większość ludzi stanowili Indianie, ale było też sporo białych. Od znajomego kowboja Bob dowiedział się, że Hightowera jeszcze nie widziano.

— Założę się o dolara, że się nie pojawi — zaproponował młody chłopak w nogawicach. — Nie pojawi się, jeśli ma choć odrobinę rozsądku.

— Możemy się założyć — powiedział szybko Bob. — Cle jakoś by tu dotarł, nawet gdyby połamał sobie obie nogi.

— Myślisz chyba, że chce zostać zastrzelony.

— Po prostu go znam — odparł Bob z przekonaniem.

Kowboj poszedł z Bobem i sklepikarzem na miejsce egzekucji, na którym ktoś im powiedział, gdzie może znajdować się szeryf. Na miejscu zebrał się już tłum. Setki wozów przyjechało z okolicznych terenów. Wiele z nich znalazło się tu już poprzedniej nocy. Ogniska, przy których ich właściciele przygotowali sobie śniadanie, wciąż dymiły. Dziesiątki ciekawskich zgromadziło się wokół indiańskiego cieśli, który robił trumnę. Była ona bardzo duża, wykonana tak, aby zmieścił się w niej Cleburn Hightower.

Bob przedstawił siebie i Judsona szeryfowi Choctawów.

— Jest pan przyjacielem Hightowera — powiedział stróż prawa.

— Tak.

— Dobry z pana przyjaciel. Może będzie chciał, żeby to pan go zastrzelił. Jeśli tak, to zgadzam się.

— Nie — odmówił Bob z naciskiem. — Nie mógłbym tego zrobić. Ale on nie zostanie zastrzelony. Czy nie dostał pan telegramu od J.A. Brodericka?

— Tak. Poinformował, że widział się z Głównym Wodzem Piercem. Mam nadzieję, że dostanę od niego wiadomość. Jest jeszcze dużo czasu - sześć i pół godziny.

Sędzia wyznaczył czas egzekucji między dziesiątą rano a czwartą po południu. Bob wiedział, że szeryf będzie czekał do ostatniej chwili.

— Pan Judson był jednym ze świadków na procesie — powiedział Bob do szeryfa. — Chcę, żeby wysłuchał pan jego historii.

Stróż prawa wysłuchał jej.

— Zabieram pana do sędziego. To dobry człowiek – bardzo żałował Hightowera. Proszę go poprosić, aby wysłał telegram do Byrona Pierce'a.

Wezwali sędziego, a on zgodził się wysłać wiadomość do Głównego Wodza z prośbą o ułaskawienie lub przynajmniej odłożenie kary. Sędzia był przekonany, że gdyby Pierce był na miejscu, podjąłby działania w imieniu Hightowera.

Kiedy Bob wrócił na miejsce egzekucji, brakowało zaledwie pięciu minut do dziesiątej. Od południa drogą nadjechał wóz na resorach. Zatrzymał się na placu i wysiedli z niego Cleburn Hightower, jego matka i Jessie MacPherson. Dziewczyna nazywała się teraz Jessie Hightower. Ona i Cleburn pobrali się trzy dni wcześniej.

Bob pomógł kobietom zejść z wozu. Hightowerowie nie słyszeli o wydarzeniach ostatnich dwóch dni. Żyli bardzo spokojnie i nie dopuszczali do siebie gości. Kiedy Bob podekscytowany opowiedział o nowinach i wspomniał o swoich wielkich nadziejach, twarze Cleburna i jego matki były pozbawione wyrazu jak skały. Żadne z nich nie okazało najmniejszego śladu emocji, które musiały ich ogarnąć. Ale Jessie tak. Przytuliła się do Cleburna i rozpłakała się.

— Ty dzielny człowieku - prawdziwy przyjacielu — powiedziała spokojnie matka Cleburna. — Jeśli mój syn zostanie ułaskawiony, ty go uratowałeś. Bardzo ci dziękujemy.

Indianie byli zbyt dobrze wychowani, aby tłoczyć się wokół Hightowera i gapić się na niego. Był dla nich człowiekiem wyodrębnionym, przeznaczonym na śmierć, ale nie dawali tego po sobie poznać. Nie poświęcali mu więcej uwagi niż komukolwiek innemu. Niektórzy biali nie byli tacy uprzejmi. Podążali za nim w pewnej odległości.

Cieśla, który robił trumnę, powiedział coś do Cleburna w języku Choctaw. Młody Indianin skinął głową. Rozciągnął się na całą długość w długiej drewnianej skrzyni.

— Ładnie leży — powiedział do robotnika.

Sędzia zaprosił Hightowerów do swojego domu, obiecując im, że mogą zostać sami, dopóki szeryf nie wezwie Cleburna.

Dodał z powagą:

— Nie sądzę jednak, by ta godzina kiedykolwiek nadeszła.

Matka skazanego poprosiła Boba, aby poszedł z nimi.

— Chciałabym, żebyś był teraz z nami — powiedziała.

Bob uznał tę prośbę za najwyższą oznakę przyjaźni, jaką mogła mu okazać. Zgodził się, bo wiedział, że go potrzebują i że nie będzie przeszkadzał.

Sędzia dał im odrębny pokój dla siebie. W południe murzyńska służąca nakryła do stołu, przyniosła posiłek i podała go. Jessie nic nie jadła. W miarę jak mijały godziny bez wieści o ułaskawieniu, stawała się coraz bardziej nerwowa i nieszczęśliwa. Chwilami rozpacz dławiła jej gardło.

Bob pocieszał ją, choć bardzo się martwił. Do tej pory Główny Wódz powinien już się odezwać. Podziwiał matkę i syna. Siedzieli cierpliwie, spokojni i wyprostowani, bez słabości na swych stoickich twarzach.

Do domu podjechał człowiek na koniu i zeskoczył z siodła.

— Szeryf! — Jessie zawołała z przerażeniem w oczach.

— Z dobrymi wieściami. — Bob podszedł szybko do drzwi i otworzył je. — Nie jechałby tak, gdyby było źle.

Szeryf pomachał telegramem, gdy wchodził do holu. Wypowiedział do Hightowerów zdanie w języku Choctaw. W oczach Jessie pojawiło się światło, jakiego Bob nigdy wcześniej nie widział na kobiecej twarzy.

Bob uchylił kapelusza i wydał z siebie radosne „Hi-yi yippy yi!”. Zawstydził się własnego entuzjazmu, gdy zobaczył, jak matka i syn przyjęli tę wiadomość. Uśmiechnęła się do Cleburna i powiedziała parę słów w ich języku.

Rozdział 35
Długa droga przed nimi

Willie May wysłała przez stajennego liścik do Boba i zapytała w nim, czy mógłby się z nią spotkać w sadzie, o wpół do siódmej wieczorem. Bob nigdy wcześniej nie otrzymał od niej takiej wiadomości. Nie był pewien, czy w ogóle kiedykolwiek widział jej pismo. Wmawiał sobie, że to absurdalne, by taki gwałtowny przypływ nadziei zalewał go jedynie dlatego, iż chciała się z nim zobaczyć. Mogło chodzić o coś zupełnie nieistotnego, na przykład o podkucie jej pony. Chociaż to też nie było raczej specjalnie prawdopodobne, ponieważ w takim przypadku poprosiłaby go o przyjście do domu.

W baraku dla kowbojów było jeszcze dwóch ludzi. Nie miał ochoty z nimi rozmawiać i udawał, że śpi… Bez wątpienia musiała usłyszeć o ucieczce Greera. Być może chciała się dowiedzieć, czy on coś wie na ten temat. Prawdopodobnie o to chodziło. A może chciała poznać wszystkie szczegóły tego dnia w Wilburton, którego kulminacyjnym momentem było ułaskawienie Cleburna.

Bob nie udał się do sadu przez bramę na tyłach dużego domu. Przeszedł w poprzek pastwiska i pokonał ogrodzenie z drutu kolczastego. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, nie było też widać gwiazd. Światło dnia zaczęło dopiero ustępować miejsca szarówce pojawiającej się o zmierzchu.

Początkowo widział ją jako białą plamę płynącą w jego stronę przez sad. Potem pojawiły się szczegóły - duże rękawy, które były obecnie w modzie, szeroki niebieski pas wokół talii, mała, dobrze ukształtowana głowa, tak pięknie wyrastająca z ramion, słodka krągłość jej piersi.

W końcu stanęli przed sobą oko w oko. Miała pewne trudności z rozpoczęciem tego, co miała do powiedzenia. Bob poczuł pulsowanie w opuszkach swych palców, mocno zaciśniętych w pięści.

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Bob — powiedziała. — Byłam dla ciebie strasznie wredna. Jest tak, jak mówił ojciec. Przez cały czas to ty miałeś rację, a ja się myliłam.

— To nic złego wierzyć w kogoś, kogo się... lubi — zauważył łagodnie. — I bronić go, i walczyć o niego, kiedy jest oskarżany o jakieś złe rzeczy.

— Nie broniłam cię i nie walczyłam o ciebie, kiedy to ty zostałeś oskarżony — stwierdziła niskim, ochrypłym głosem.

— To było co innego. Ja jestem tylko najemnym pracownikiem twojego ojca.

— Byłeś chłopcem, który chodził ze mną do szkoły i żyłeś w niebezpieczeństwie, ponieważ stanąłeś w mojej obronie na tańcach — oburzyła się na jego ocenę swojej własnej osoby. — Poza tym, co masz na

myśli mówiąc, że jesteś tylko najemnym pracownikiem mojego ojca? On ma o tobie bardzo wysokie zdanie. Słyszałam, jak kiedyś powiedział, że gdyby miał syna, to chciałby, żeby był on taki jak ty.

Bob poczuł ciepły dreszcz przyjemności. J.A. nie był skłonny do ekstrawaganckich i obfitych pochwał. Jeśli szef tak o nim myślał… Ale oczywiście nie mógł tego powiedzieć po głębszym przemyśleniu sprawy, lecz w jakimś przypływie entuzjazmu.

— Myślę, że wcale nie miał tego wszystkiego na myśli — zasugerował Bob.

— Z pewnością miał. — Willie May mówiła szybko, by ubrać przeprosiny w słowa, zanim zabraknie jej odwagi. — Byłeś wspaniały - przez cały czas. Nikt inny nie zdołałby uratować Cle Hightowera. Wiele grup pościgowych ścigało rabusiów kolejowych, ale to ty udowodniłaś im winę i zlikwidowałaś gang.

— Miałem niewielką pomoc — mruknął, obracając jej aprobatę w żart.

— Wcale nie miałeś… a przynajmniej nie taką dużą. A kiedy poprosiłam cię o uratowanie Rusha Greera, dałeś mi do zrozumienia, że tego nie zrobisz, bo nie chciałeś mnie w to mieszać.

Roześmiał się, aby powstrzymać rosnącą falę nadziei przepływającą przez jego ciało.

— Jeśli udowodnisz, że miałem coś wspólnego z tą ucieczką, poślesz mnie do więzienia.

— Nie muszę niczego udowadniać. Ja to wiem. Bob, byłam strasznie głupia. Chcę, żebyś mi wybaczył i żebyśmy znowu byli przyjaciółmi, tak jak kiedyś.

— Mnie to pasuje — oznajmił lekkim tonem. Gdyby pozwolił sobie na okazanie emocji, bałby się, że powie zbyt dużo. — Nie muszę ci wybaczać, bo nie ma niczego do wybaczenia. Musiałaś dokonać wyboru między nim a mną. Jeden z nas był winny. Musiałaś zachować wiarę w niego tak długo, jak tylko mogłaś.

— Tak — zgodziła się. — Ale nie musiałam być dla ciebie aż taka surowa.

— To już nie ma znaczenia, ponieważ teraz jesteśmy przyjaciółmi.

Patrząc na dziewczynę, tak młodą, i piękną, o błyszczących oczach, wiedział, że trzyma ona jego szczęście w swej małej dłoni. Nie zamierzał zadowalać się przyjaźnią, chociaż to było wszystko, co miała mu do zaoferowania w chwili obecnej. W jego żyłach tętniła radosna radość. W tym młodym, odważnym świecie wszystko może się zdarzyć. J.A. podobno powiedział, że chciałby mieć go za syna. No cóż, pewnego dnia być może będzie go za syna miał. Willie May jeszcze sobie nie zdawała z tego sprawy, lecz Bob tak. Przynajmniej w tej chwili był tego pewien, choć później może mieć wątpliwości.

Uścisnęli sobie dłonie. W panującym w sadzie półmroku była taka słodka i piękna, że poczuł gwałtowny impuls, aby wziąć ją w ramiona i domagać się więcej. Powstrzymał się jednak surowo. Jeszcze nie nadszedł na to czas.

Spoglądał, jak Willie May wraca lekkim krokiem do bramy sadu, szczupła, pełna wdzięku. Przed oczyma stanęła mu wizja długich lat, w czasie których będzie szedł obok niej, ramię w ramię.

KONIEC